

Dalton Margot

Pierwsze wrażenie

Detektyw Jackie Kaminsky prowadziła wiele spraw, lecz żadna nie poruszyła jej tak bardzo. Nie była to krwawa zbrodnia ani brutalny gwałt - ot, zwykłe zaginięcie. Nigdy jednak nie czuła takiej bezradności i tak wielkiej potrzeby przyjścia z pomocą ofiarom zdarzenia.

Zdarzenie zaś było jak z koszmarnego snu; oto matka trzyletniego chłopca straciła go na moment z oczu, a kiedy odwróciła się, by go odnaleźć, z przerażeniem spostrzegła, że jej synka nie ma. Zginął bez śladu, a gorączkowe poszukiwania nie przyniosły rezultatu.

Jackie rozumie rozpacz matki i domyśla się, co grozi małemu Michaelowi. Dlatego też robi wszystko, by odnaleźć bezbronne dziecko. Rozpoczyna śledztwo i niemal od razu stwierdza, że przesłuchani kłamią. Wśród nich jest mężczyzna, którego słowa są równie intrygujące, jak wygląd i osobowość, fakty przemawiają przeciw niemu i właściwie Jackie powinna go aresztować. Intuicja podpowiada jej jednak coś innego....

ROZDZIAŁ 1

Jackie Kaminsky stała pod prysznicem i, bez szczególnych rezultatów, usiłowała ogolić nogi. Żyletka okazała się tępa, powinna ją zmienić, ale nawet kiedy miała ostrą żyłkę, zwykle brak jej było cierpliwości żeby dokładnie ogolić nogi.

- Cholera! - mruknęła, zacinając skórę nad kostką. Krew zmieszała się z wodą i spłynęła cienką stróżką na terakotę.

Jackie wychyliła się spod prysznica, urwała kawałek papieru toaletowego, przykleiła go do ranki, po czym wyszła z kabiny i zaczęła się wycierać.

W wieku trzydziestu dwóch lat wyglądała tak, że na jej widok gwizdali kierowcy ciężarówek i robotnicy budowlani na rusztowaniach. Pod warunkiem jednak, że nie była w mundurze.

Zerknęła na swą szczupłą sylwetkę widoczną w lekko zaparowanym lustrze. Nie pamiętała już, kiedy po raz ostatni jakiś mężczyzna widział ją nagą. Ostatnimi czasy była zbyt zajęta i wyczerpana, by myśleć o przygodach.

Włączyła suszarkę i skierowała strumień ciepłego powietrza na mokre włosy; może powinna wreszcie coś z ni-

6

mi zrobić, nie tylko je farbować? Prosta fryzura, taka, jaką powinna nosić policjantka, wyglądała porządnie i schludnie, ale była zupełnie pozbawiona stylu.

Jackie dwa lata wcześniej awansowała wreszcie na detektywa i zaczęła chodzić do pracy w cywilnym ubraniu. Gdyby chciała, mogłaby wreszcie zacząć się czesać inaczej, nikt nie miałby jej tego za złe, ale niełatwo zmienić przyzwyczajenia nabyte przez dwanaście lat służby. Poza tym niezbyt interesowała się swoim wyglądem.

Papierowy opatrunek przesiąknięty był krwią. Skończyła więc suszyć włosy i zakleiła skaleczenie plastrem. .Potem włożyła białe, frotowe skarpetki, szare spodenki do joggingu i taką samą koszulkę ze znakiem komendy w Spokane. Wzięła jeszcze ze sobą powieść kryminalną, niedokończony list do przyjaciółki w rodzinnym Oakland i notatki do comiesięcznego raportu, nad którym męczyła się od kilku dni.

Po chwili wahania wyjęła z lodówki banan, a potem jeszcze dwa jabłka i wrzuciła to wszystko do plastikowej reklamówki. Wiedziała, że Carmen jak zwykle zapomni o owocach.

W samych skarpetkach wyszła z mieszkania i zapukała do drzwi po drugiej stronie korytarza.

- To ty, Jackie? - zawołał jakiś głos.

- Tak, to ja.

Drzwi otworzyły się z impetem. Na progu stała ładna brunetka, która natychmiast wciągnęła przyjaciółkę do środka i rzuciła się jej na szyję.

7

- Jesteś taka kochana, Jackie, że zgodziłaś się poświęcić piątkowy wieczór i zostać z małą.
- Drobiazg. Nie miałam żadnych planów. Carmen pokręciła głową z lekką przyganą.
- Tiffany już śpi. Nie musisz nic robić. Na pewno się nie obudzi.

Kiedy Carmen zniknęła w sypialni, by dokończyć makijaż, Jackie położyła przyniesione rzeczy na sfatygowanej zielonej kanapie i podeszła do drzwi, za którymi spała czteroletnia córeczka przyjaciółki.

- Myślałam, że zagram z Tiffany kilka partyjek Czarnego Piotrusia, zanim pójdzie spać - powiedziała Jackie półgłosem, przechodząc do sypialni Carmen.
 - Przecież zawsze przegrywasz - zdziwiła się Carmen.
 - Nie zawsze, czasami udaje mi się wygrać - odparła Jackie z uśmiechem. - Kiedy ma się pojawić twój adorator?
 - Za dziesięć minut. Polubisz go, zobaczysz. Może nie jest zabójczo przystojny i mógłby zrzucić kilka kilogramów, ale to dobry człowiek i świetnie się dogaduje z małą. Ma własną piekarnię.
 - Cholera, prowadzi interes i jest dobrym człowiekiem - mruknęła Jackie, przeżuując kęs jabłka. - Już go lubię.
- Wróciła do bawialni i usjadła na kanapie w chwili, gdy na ekranie telewizora pojawił się policjant, który mówił coś do kamery.
- Carmen - zawołała. - Ken Paxton jest w telewizji.

8

W pokoju pojawiła się Carmen ze srebrnym kolczykiem w jednej dłoni i sandałkiem na wysokim obcasie w drugiej.

- Fajny facet - stwierdziła, patrząc z uznaniem na młodego policjanta o zafrasowanej minie. - Znasz go?

- Pracujemy na tym samym posterunku. Coś się musiało stać.

- Mówi o chłopcu, który został uprowadzony z Northtown Mail. Za chwilę wystąpi matka z apelem do porywaczy. Nie oglądasz telewizji?

- Nie znoszę oglądać telewizji, kiedy jestem sama w domu - powiedziała Jackie, nie odrywając wzroku od ekranu. - Dzisiaj słuchałam koncertu fletowego.

- Koncertu fletowego? - w głosie Carmen zabrzmiało niedowierzanie. - Rany boskie, Jackie, nie wiedziałam,, że z ciebie taka koneserka muzyki poważnej.

- Teraz już wiesz. Ile lat ma ten porwany chłopiec? - Kent Paxton podszedł do głównego wejścia budynku, a za nim pociągnęła cała gromada reporterów i kamerzystów.

- Trzy. Matka odwróciła się na moment, żeby coś obejrzeć i wtedy mały zniknął, jakby się pod ziemię zapadł. Poinformowali już cały stan. Policja prosi, żeby zgłaszał się każdy, kto mógł widzieć coś podejrzanego. Biedna kobieta, co ona musi teraz przeżywać - szepnęła Carmen. - Ja chyba bym umarła, gdybyś coś złego przytrafiło się Tiffany.

Jackie wciąż wpatrywała się w ekran. Jej kolega wska-

zywał różne wejścia do centrum handlowego, najwyraźniej relacjonując przypuszczalny przebieg wydarzeń i dotychczasowe ustalenia policji. Carmen tymczasem włożyła drugi pantofel i raz jeszcze przejrzała się w lustrze wiszącym nad kanapą.

- Dobrze wyglądam?

- Wspaniale. - Jackie uśmiechnęła się do przyjaciółki. Carmen pracowała jako fryzjerka w salonie w pobliżu

posterunku. Ona i jej córeczka stanowiły dla Jackie namiastkę rodziny w tym obcym mieście. I nie tylko w tym mieście, pomyślała z goryczą.

- Oho! - zawołała Carmen, spoglądając na ekran. - Jest matka. Biedaczka, wygląda na przerażoną. Rzeczywiście, młoda niebieskooka kobieta o długich blond włosach, w białej bluzce i spłowiałych dżinsach, z trudem powstrzymywała się od płaczu. Zerknęła niepewnie na policjanta, a kiedy ten skinął głową, zwróciła twarz do kamery.

- Nazywam się Leigh Mellon - zaczęła cicho. - Mój synek... mój synek nazywa się Michael PanesMc. Ma dopiero trzy lata... - Kamera skierowała się teraz na twarz matki. - Jeśli ktokolwiek coś wie... gdyby mógł... - Kobieta spuściła głowę, słowa uwięzły jej w gardle.

Policjant objął ją ramieniem. Po chwili pani Mellon opanowała się i zaczęła mówić dalej:

- Proszę - powtórzyła i zamrugała gwałtownie powiekami, by powstrzymać łzy. - Nie róbcie nic złego mojemu dziecku. Jeśli go macie, jeśli wiecie gdzie jest, zgło-

ście się do najbliższego posterunku policji. Możecie zostawić go przed wejściem i odjechać, nikt się nigdy nie dowie, kim jesteście. Nic się wam nie stanie.

Kamera jeszcze przez moment pokazywała twarz zrozpaczonej kobiety, potem zaś ekranie pojawiła się prezenterka ze zdjęciem zaginionego chłopca i ponowiła apel o informacje dotyczące miejsca pobytu dziecka. Carmen popłakała się, staranny makijaż diabli wzięli.

- Myślisz, że go znajdą, Jackie?

Jackie wyjęła ze stojącego na stoliku pudełka kilka chusteczek higienicznych i podała je przyjaciółce. Myślała o Leigh Mellon, jej załzawionych błękitnych oczach i o dramatycznym apelu do widzów.

- Na pewno - powiedziała wreszcie. - Myślę, że go znajdą.

Kiedy Jackie została sama, zaczęła żałować, że zgodziła się zaopiekować Tiffany właśnie dziś. Gdyby nie córeczka Carmen, pojechałaby natychmiast do Northtown i zaofiarowała swoją pomoc.

Policjantów i ochroniarzy pracujących w centrum handlowym czekała długa, ciężka noc.

Podczas gdy Jackie siedziała przy śpiącej Tiffany, -Leigh Mellon stała wciąż w miejscu porwania i obserwowała ekipę telewizyjną i policyjnego wywiadowcę z psem tropiącym. Wielki owczarek niemiecki krążył wśród samochodów na parkingu, węsząc zawzięcie i ciągnąc za sobą swojego pana. Był ostatni dzień czerwca i powoli zachodzące słońce złociło wieczorne niebo

łagodnym blaskiem. Wiał lekki wietrzyk. Leigh wzdrygnęła się i objęła ramiona dłońmi.

- Czy... czy dobrze mówiłam? - zapytała stojącego obok policjanta.

Chłopak uśmiechnął się do niej z otuchą.

- Świetnie. Mówiłem ci, trzeba uczulić ludzi na to, co dziwne i nienormalne, a przy tym nie spłoszyć kid-napera. Ten, kto ma twojego synka, musi mieć poczucie absolutnego bezpieczeństwa.

- Myślisz, że powiedziałam, co trzeba? - Leigh, nie mogąc powstrzymać drżenia dłoni, wcisnęła je do kieszeni wiatrówki.

- Tak, uważam, że bardzo dobrze sobie poradziłaś. Wejdźmy do środka. - Kent Paxton otoczył ramieniem plecy kobiety. - Usiądziemy wewnątrz i tam porozmawiamy.

Przy wejściu do centrum handlowego stał wózek spacerowy Michaela, na siedzeniu leżała jego kurteczka z naszytą Myszka Miki na plecach. Leigh wzięła kurtkę i przez chwilę wpatrywała się w nią bezradnie.

- Kupiliśmy ją zeszłego lata w Disneylandzie - szepnęła. - Na krótko przed...

Do Paxtona podszedł jakiś policjant i powiedział coś ściszonego głosem.

- O co chodzi? - zapytała Leigh, gdy policjant odszedł.

- Nie denerwuj się. Musimy po prostu otworzyć sklepy. Przy wszystkich wyjściach ustawimy policjantów, będą obserwowali ludzi.

- Jak to, otworzyć sklepy? Przecież są czynne do dziewiątej.

- Przez ostatnie pół godziny nikogo nie wypuszczaliśmy i nie wpuszczaliśmy do środka.

Przypuszczamy, że twój synek może jeszcze być w środku. Jeśli porywacz będzie usiłował się wymknąć, wtedy go zauważymy.

- Boże - jęknęła, wtulając twarz w miękki materiał wciąż pachnący Michaeliem. - Znajdźcie go, proszę. Michael jest taki maleńki. Zawsze płacze, kiedy zostawiam go z opiekunką i wychodzę do pracy, chociaż wie, że niedługo wrócę. Nie wyobrażam sobie, jak on...

- Znajdziemy go na pewno. Wejźmy do środka, dobrze? Usiądziemy w biurze, spisujemy twoje zeznania. Jeśli chcesz pomóc Michaelowi, musisz zachować spokój.

Leigh skinęła głową i ruszyła za policjantem. Do centrum handlowego zaczęli wchodzić pierwsi klienci. Na widok Leigh z pustym wózkiem dziecięcym wymieniali między sobą ciche uwagi.

Wiedziała, że jej współczują, ale czuła się ze swoim cierpieniem naga, wystawiona na ludzkie spojrzenia. Spuściła głowę i pośpieszyła za Paxtonem. Odetchnęła z ulgą, kiedy wreszcie znaleźli się w pustym biurze.

Policjant przez chwilę rozmawiał z kimś przez radiotelefon, powiedział, gdzie oboje czekają, i umieścił aparat za paskiem.

- To biuro ochrony centrum handlowego - wyjaśnił. - Możemy tu chwilę posiedzieć. Napijesz się czegoś? Może masz ochotę na kawę?

Leigh przecząco pokręciła głową i opadła na krzesło, wózek postawiła obok siebie i ponownie wzięła do ręki kurteczkę Michaela. Przytuliła ją do twarzy. Przerazona, ogarnięta paniką, nie potrafiła myśleć o niczym poza tym, co dzieje się teraz z jej synkiem.

Kent Paxton usiadł tymczasem za biurkiem i otworzył swój notes.

- Zaczniemy od podstawowych informacji. Podaj mi swój adres i opowiedz dokładnie jak znikł Michael, dobrze?

- Dobrze - wykrztusiła Leigh.

- Mieszkasz w Spokane?

- Od urodzenia. Moja rodzina osiedliła się tutaj, ponad sto lat temu.

- Czy Alden Mellon to może twój ojciec? - Policjant uniósł głowę.

- Tak - odparła głucho, bawiąc się zamkiem błyskawicznym przy kurtce.

- Twoi rodzice mieszkają w okolicy South Hill, prawda? Bez słowa kiwnęła głową.

- A ty, gdzie mieszkasz?

- Niedaleko stąd, blisko parku Loma Vista. - Podała dokładny adres, a Paxton zapisał go w notesie.

- W porządku. O której tu przyszlście?

- Około szóstej. Zjedliśmy po kanapce w barku, a potem oglądałam wystawy, zaczęłam robić zakupy...

- Pamiętasz, o której weszłaś do sklepu z zabawkami?

- Przed siódmą. Michael. - Leigh zamilkła na moment. - W zeszłym tygodniu obchodził swoje trzecie urodziny.

Dziadkowie dali mu sporą sumę pieniędzy, obiecałam, że za część będzie mógł kupić sobie jakieś zabawki.

- Pozwoliłaś, żeby sam sobie wybrał, co chce?

- Tak. On jest bardzo samodzielny, wszystko chce robić sam.

- Gdybym ja pozwalał swoim dzieciom wybierać zabawki, zbankrutowałbym - skomentował Paxton ze smutnym uśmiechem.

- Gdybym nie poszła... - Leigh z trudem hamowała łzy.

- Postaraj się zachować spokój. Opowiedz, co się działo po waszym wejściu do sklepu z zabawkami.

- Podeszliśmy do półek, gdzie stały tańsze zabawki. Powiedziałam, że może wybrać sobie którąś z nich i że ja nie będę się wtrącać. Zostawiłam go przy półkach, a sama wyszłam i stanęłam przy wystawie sklepu z ubraniami, tuż obok zabawkarskiego. Zobaczyłam letnią sukienkę, która mi się spodobała i weszłam zapytać o cenę, ale co chwila spoglądałam na drzwi sklepu z zabawkami. Bałam się, żeby Michael nie wyszedł i nie zgubił się w tłumie. Kiedy wróciłam po niego... - Zadrżała, głos odmówił jej posłuszeństwa. - Już go nie było.

- Jak długo go szukałaś, zanim powiedziałaś komukolwiek, że zaginął?

- Nie wiem. - Leigh zamknęła oczy i wciągnęła głęboko powietrze. - Pięć, może dziesięć minut.

Obeszłam cały sklep, chodziłam po centrum.

- A potem wróciłaś do sklepu i zaczęłaś pytać ekspedientkę?

- Tak. Przez kilka minut szukała razem ze mną, zajrzała nawet do magazynu i na zaplecze, a potem zawiadomiła ochronę. Podali komunikat przez głośniki, czekaliśmy kolejne piętnaście minut, licząc, że ktoś może przyprowadzi Michaela. Wreszcie zadzwoniliśmy na policję. - Leigh drżącymi palcami gładziła materiał kurteczki.
- Czy zauważyłaś coś dziwnego w sklepie, kiedy weszłaś tam z synkiem?
- Przy drzwiach było jakieś zamieszanie. Kilku chłopców ganiało z plastikowymi mieczami. Ekspedientka usiłowała ich uspokoić, bo zachowywali się dość agresywnie, stawiali się.
- Ale Michael stał dalej, przy półkach, tak? Leigh skinęła głową.
- Kiedy zauważyłam tych chłopców, cofnęłam się do Michaela, ale on nie zwrócił nawet uwagi na zamieszanie, tylko oglądał zabawki.
- Mamy już dokładny opis jego stroju? - Paxton przerzucił kilka kartek w notesie. - Granatowe dżinsy, koszulka w biało-czerwone paski i czerwone tenisówki.
- Z niebieskimi sznurowadłami - dodała Leigh machinalnie. - Mówiłam już, że były niebieskie?
- Tak, mówiłaś - przytaknął policjant łagodnie. Leigh zacisnęła usta i zapatrzyła się w przestrzeń. To jakiś koszmar. Może to wszystko tylko się jej przyśniło i kiedy się obudzi, znajdzie Michaela śpiącego spokojnie w swoim łóżeczku...

ROZDZIAŁ 2

Leigh siedziała w wozie policyjnym obok Paxtona. Czuła się bezradna, a jej przerażenie nie ustępowało. Był ciepły letni wieczór, na ciemnym niebie skrzyły się gwiazdy. Nad widnokretem pokazał się księżyc w nowiu.

Jechali z centrum do domu Leigh w trzy samochody. Oprócz wozu Paxtona był jeszcze samochód należący do Leigh, który prowadził policjant, trzecie auto miało potem zabrać policjanta z powrotem na miejsce porwania. Zanim dotarli na miejsce, Paxton połączył się z komendą.

- Znajdźcie mi jakąś wolną policjantkę, która mogłaby spędzić noc z panią Mellon - rzucił do mikrofonu. - Może poprosicie Kaminsky. Mieszka niedaleko.

Leigh zeszywniała nagle. - Nie - zaprotestowała, kiedy Kent odwiesił mikrofon. - Nie potrzebuję opieki.

- Jeśli porwali Michaela dla okupu, być może będą próbowali się z tobą kontaktować. Nie chcę, żebyś była sama w domu.

- Moja siostra Adrienne na pewno przyjdzie do mnie. Jest teraz na jakiejś kweście dobroczynnej, ale niedługo powinna być wolna.

- Zgoda, o ile uda się nam ją ściągnąć. Jeśli nie, znajdę kogoś, kto zostanie z tobą na noc.

Leigh nawet nie próbowała sprzeczać się z Kentem. Kiedy podjechali pod dom, wysiadł i otworzył garaż, tak by jego kolega mógł wprowadzić samochód Leigh do środka. Mężczyźni zamienili ze sobą kilka słów i wóz policyjny po chwili znikł w ciemnościach. Na chodniku wyczekiwali już dziennikarze, ale Paxtonowi udało się wprowadzić Leigh do domu, zanim zdążyli ją otoczyć i zasypać pytaniami.

- Mówiłeś, że chcesz większe zdjęcie Michaela? -zapytała i przystanęła w holu.

- Bardzo by nam pomogło. Także twoje i najbliższej rodziny, jeśli to niezbyt wielki kłopot. Przede wszystkim zdjęcie męża. Gdzie tu jest kuchnia? Zrobię kawę, a ty poszukaj zdjęć.

Leigh zaprowadziła gościa do kuchni, wyjęła puszkę z kawą i poszła na górę po fotografie. Kiedy wróciła, Paxton siedział przy stole i coś notował, czekając aż kawa będzie gotowa.

- Gdzie pracujesz? - zapytał. Leigh jakby go nie słyszała; niczym automat ustawiała na stole kubki, mleko, cukier i puszkę z ciastkami. - Gdzie pracujesz? - powtórzył.

- Przepraszam. W podstawówce w Southwood. Uczę trzecie i czwarte klasy, od dwóch tygodni mam przerwę wakacyjną. - Usiadła za stołem, usiłując jakoś zebrać się w sobie.

- A ojciec Michaela?

18

- Wykłada nauki polityczne na Uniwersytecie Gonzaga, tutaj, w Spokane. Nazywa się Stefan Panesivić. - Leigh podała Kentowi zdjęcie całej rodziny, zrobione, kiedy Michael mógł mieć mniej więcej roczek.

- Jesteście rozwiedzeni?

- Tak. - Kobieta wstała, przyniosła dzbanek i rozlała kawę do kubków.

- Od dawna?

- Rozstaliśmy się w sierpniu zeszłego roku, a rozwód dostaliśmy sześć miesięcy temu, w styczniu.

- Nie mogliśmy skontaktować się z twoim mężem. Wiesz, gdzie może być?

Pokręciła głową przecząco.

- Może wyszedł gdzieś na kolację. - Paxton zapisał coś w notesie. - Jak często pan Panesivić widuje się z Michaeliem?

Leigh usiadła ciężko, objęła kubek drżącymi rękami.

- Leigh? - zaniepokoił się Kent. - Jakie postanowienie wydał sąd przy rozwodzie?

- On... Stefan może być z synkiem w każdą sobotę, od dziesiątej rano do wieczora. Takie było orzeczenie, ale przez kilka ostatnich miesięcy...

- Nie pojawiał się? To chciałaś powiedzieć?

- Chciał... - szepnęła z trudem. - To ja się nie zgadzałam dawać mu małego. Od kwietnia go nie zabierał. Widywał synka tu, w domu, wpadał do nas na kilka godzin.

- Dlaczego tak zdecydowałaś? Czy były jakieś problemy?

- Nie, absolutnie nie. Na początku, po naszej separacji, Stefan widywał się Michaeliem co tydzień. Zwykle spędzali cały dzień z moimi teściami.
- Gdzie?
- Rodzice Stefana mieszkają w Painted Hills, blisko pola golfowego. Mają niewielką farmę - zwierzaki, kury, duży ogród. Michael uwielbia tam jeździć.
- Co się stało w kwietniu? Dlaczego przestałaś puszczać synka z domu?
- Zaczęłam się bać - szepnęła Leigh.
- Czego?
- Ja... Bałam się, że Stefan może wywieźć małego do Chorwacji i nigdy więcej go nie zobaczę. Paxton uniósł brwi, wyraźnie zaskoczony oświadczeniem Leigh. - Twój były mąż nie jest obywatelem amerykańskim?
- Czeka na obywatelstwo. Przez ostatnie pięć lat, kiedy wykładał na Uniwersytecie Gonzaga, co roku musiał odnawiać wizę.
- Twój syn ma podwójne obywatelstwo?
- Stefan chciał ubiegać się o chorwackie obywatelstwo dla Michaela. Ciągle o tym ze mną rozmawiał, ale ja... nie chciałam się zgodzić. Bałam się. - Utkwiła wzrok w kubku z kawą. - Bałam się tego, że Stefanowi tak strasznie zależy na podwójnym obywatelstwie dla syna, na paszporcie.
- To znaczy, że Michael nie ma w tej chwili paszportu?

20

- Nie, może podróżować na moim.

- A więc Michael nie przekroczy granicy z ojcem; twój były mąż nie ma obywatelstwa amerykańskiego, a syn chorwackiego. - Paxton zanotował kilka słów.

- Zgadza się.

- Zatem Stefan nie mógł wywieźć małego z kraju.

- Ten człowiek jest zdolny do wszystkiego.

- Czy groził ci kiedykolwiek, poza tym, że domagał się podwójnego obywatelstwa dla Michaela? Czy mogłaś podejrzewać, że planuje porwanie go?

Leigh bezradnie wykręcała ręce. Jak opowiedzieć o - zimnym uporze i determinacji Stefana, o jego poczuciu więzi rodzinnych? Jak wytłumaczyć młodemu policjantowi, co dla człowieka takiego jak Panesivić oznacza pierworodny syn?

- Teraz myślę, że to zupełnie możliwe - powiedziała w końcu. - Jestem nawet pewna. W złości wykrzykiwał straszne rzeczy.

- Na przykład?

- Różne. Przepraszam, nie jestem w stanie się skupić, nie umiem sobie przypomnieć, co mówił.

- W porządku. Porozmawiajmy o tym, co wydarzyło się w kwietniu. Do tego czasu zgadzałaś się dawać Michaela. Dlaczego nagle zmieniłaś zdanie?

- Kontrakt Stefana na uniwersytecie wygasł w połowie kwietnia. Podczas roku akademickiego nie wyjechałby z miasta, ale teraz nic go już nie trzymało w Spokane, a Michael jest dla niego najważniejszy na świecie.

21

- Szkoda, że mówisz mi o tym dopiero teraz - spochmurniał Kent.
 - Muszę ci powiedzieć coś jeszcze.
 - Co mianowicie?
 - Wczoraj mieliśmy rozprawę. Chodziło o widzenia Stefana z synem.
 - W sądzie rodzinnym?
 - Tak. Stefan domagał się prawa do sobotnich spotkań z Michaelem.
- Paxton zerknął uważnie na Leigh.
- Mówisz, że rozprawa odbyła się wczoraj?
 - Tak, wczesnym popołudniem.
 - Co zdarzyło się w sądzie?
 - Sędzia orzekł... - Leigh wciągnęła głęboko powietrze. - Powiedział, że nie mogę zabraniać mężowi widzeń. Że... - Nie mogła mówić, z trudem powstrzymywała łzy.
 - Co? Co takiego powiedział sędzia? - nalegał policjant.
 - Powiedział, że Stefan ma prawo zabierać Michaela na cały dzień w każdą sobotę. Mówił, że jeśli będę się sprzeciwiała, Stefan może przyjść z policjantem, który zmusi mnie do wydania dziecka.
 - Co czułaś?
 - Byłam załamana. Nie chciałam, żeby spotykał się Michaelem bez dozoru. Bałam się, że mi go ukradnie. Stefan jest... bezwzględny, okrutny człowiekiem.
 - Myślisz, że Michael jest teraz z nim? - Paxton spojrzał na uśmiechniętą rodzinę na zdjęciu.
 - Nie wiem.

- Czy mógł was śledzić, kiedy poszliście do centrum handlowego?
 - Wydaje mi się, że tak. Tam jest zawsze tłum ludzi, a ja nie zwracałam uwagi, czy ktoś za mną idzie.
 - Ile osób wiedziało, że wybieracie się do Northtown? Leigh zmarszczyła czoło, usiłowała sobie przypomnieć, kogo informowała o swoich planach.
 - Wiedziała moja matka. Rozmawialiśmy przez telefon, dzwoniła, żeby zapytać, czym się skończyła rozprawa.
 - Ktoś jeszcze?
 - Helen, oczywiście.
 - Kim jest Helen?
 - Helen Philips - mówiła Leigh. - Opiekunka do dziecka. Znam ją chyba od urodzenia. Mieszka w South Hill, niedaleko moich rodziców. Latem rzadko korzystam z jej pomocy, ale wczoraj została z Michaeliem, kiedy poszłam do sądu.
 - Adres?
- Leigh podała dokładny adres opiekunki i jej numer telefonu.
- Co możesz o niej powiedzieć?
 - Ma około pięćdziesiątki. Mieszka ze swoją matką, Grace.
 - Nie jest mężatką?
 - Wiele lat temu była zaręczona z chłopakiem z Portland, który zginął w Wietnamie. - Leigh uśmiechnęła się nieznacznie. - Ja i siostra byliśmy wtedy jeszcze dziećmi, bardzo przeżywałyśmy całą historię, wydawała się nam taka smutna i bardzo romantyczna.

- Dlaczego Helen pracuje jako opiekunka? Jeśli zważyć na to, gdzie mieszka, nie potrzebuje chyba pieniędzy.
- Rzeczywiście. Pochodzi z zamożnej rodziny. Myślę, że po prostu jest bardzo przywiązana do Michaela. Mówi, że mały wnosi radość w jej życie.
- Jest dobrą opiekunką?
- Wspaniałą. Nie wyobrażam sobie lepszej. Paxton przez chwilę przeglądał notatki. - Ktoś jeszcze wiedział, dokąd się wybieracie ?
- Stefan. Rozmawiałam z nim przez telefon w środę, na dzień przed rozprawą. Doszło do sprzeczki.
- O co się posprzeczaliście?
- O pieniądze, które Michael dostał od dziadków. Stefan chciał wiedzieć, jak zamierzam je wydać.
- I co mu powiedziałaś?
- Że idziemy w piątek do sklepów i że Michael sam sobie wybierze jakąś zabawkę. Powiedziałam, że skoro tak się martwi o pieniądze, zaraz po zakupach zadzwonię do Ivany i Mirosława i powiem im dokładnie, co mały sobie kupił.
- Mirosław i...?
- Mirosław i Ivana Panesivic, rodzice Stefana. Mówiłam ci, że mają niewielką farmę na obrzeżach miasta - przypomniała Leigh.
- Blisko pola golfowego na Painted Hill? - Paxton zajrzał do notatek.
- Tak.
- Czegoś nie rozumiem, Leigh. Jak to- się stało, że

twój były mąż ma chorwackie obywatelstwo, jeśli jego rodzice mieszkają w Spokane.

- Miroslav i Ivana wyemigrowali z Jugosławii dwadzieścia lat temu. Przyjechał z nimi najmłodszy syn. Stefan i jego starszy brat zostali w kraju.

- Jak ma na imię młodszy brat?

- Zan. Zan Panesivic. Miał piętnaście lat, kiedy przyjechał do Stanów. Mieszka w Spokane i pracuje jako architekt zieleni.

- Żonaty?

Leigh upiła łyk kawy. - Tak, jego żona ma na imię Mila. Jest dekoratorką wnętrz. Mają małą córeczkę, De-borę, starszą o osiem miesięcy od Michaela.

- Utrzymujesz z nimi kontakty?

- Michael i Debora są najlepszymi przyjaciółmi, a ja zawsze lubiłam Zana. To miły, serdeczny człowiek, taki trochę misiowaty. A Mila... chyba mnie nie znosi.

- Dlaczego?

- Bo jestem tym, kim jestem - kobieta wzruszyła ramionami.

- Mianowicie?

- Amerykanką. Z nieźle sytuowanej rodziny. Mila nienawidzi Stanów, amerykańskiej polityki, kultury. Nie wiem, skąd w niej tyle niechęci.

- A rodzice Stefana, też cię nie lubią?

- Nie, to wspaniali ludzie. Obydwoje mają złote serce. Zawsze byliśmy w bardzo dobrych stosunkach.

25

- Dlaczego Stefan nie przyjechał do Stanów razem w nimi, w latach siedemdziesiątych?
- Stefan ma w tej chwili czterdzieści dwa lata. Wtedy miał dwadzieścia parę lat, zaraz po studiach zaczął wykładać na uniwersytecie w Zagrzebiu, pisał doktorat, nie chciał wyjeżdżać. Dopiero gdy w Chorwacji zaczęły się problemy, zdecydował się emigrować.

- Kiedy się poznaliście?

- Krótco po jego przyjeździe tutaj. Spotkaliśmy się na przyjęciu u wspólnych przyjaciół.

- I zakochaliście się w sobie?

- Od pierwszego wejrzenia. Nigdy nie widziałam tak przystojnego faceta - inteligentny, obyty, kosmopolita. Miałam wrażenie, że spełniły się wszystkie moje marzenia. - Leigh uśmiechnęła się smutno.

Nagle zadzwonił telefon.

Na twarzy Leigh odmalowało się przerażenie, dłonie zaczęły jej drżeć.

- Odbierz - powiedział Paxton - a mnie podaj słuchawkę bezprzewodowego.

Leigh dała mu słuchawkę, a sama podeszła do drugiego aparatu wiszącego na ścianie.

- Słucham? - zapytała, gdy policjant skinął głową.

- Leigh! Co się dzieje? Właśnie wróciliśmy do domu. Całe miasto aż huczy.

- Och, Rennie - Leigh odetchnęła z ulgą, słysząc głos swojej siostry, Adrienne. - Czy mogłabyś przyjechać

i zostać ze mną na noc? Ja wiem, że to kłopot, ale sama rozumiesz...

- Już do ciebie jadę. Przebiorę się i jestem za dwadzieścia minut.

Trzasnęła odkładana słuchawka, telefon zamilkł. Pax-ton wrócił do swoich notatek, a Leigh przeszła do bawialni i wyjrzała przez okno w noc.

- Jak tylko przyjedzie twoja siostra, wracam na posterunek i spiszę protokół - powiedział, stając po chwili w drzwiach. Jeśli będziesz mnie potrzebowała, zadzwoń.

- A ta policjantka, którą chciałeś do mnie ściągnąć?

- Odwołam ją.

Leigh weszła do kuchni i naląła sobie trochę kawy. Upiła zaledwie kilka łyków, a resztę wylała do zlewu. Przyglądała się przez moment Paxtonowi, zastanawiając się, co takiego pisze, znowu przeszła do bawialni; nigdzie nie mogła znaleźć sobie miejsca.

- Jest już Adrienne - powiedziała, kiedy pod domem z piskiem hamulców zatrzymał się niewielki sportowy samochód. - Musiała gnać tutaj jak szalona.

Paxton stanął w holu i założył kurtkę mundurową, którą zaraz po wejściu powiesił na oparciu krzesła.

- Dziękuję za pomoc, Leigh - powiedział z uśmiechem, kładąc dziewczynie dłoń na ramieniu. - I nie martw się. Znajdziemy go.

Leigh pod wpływem jego serdecznych słów rozkleiła się zupełnie. Łzy pociekły jej po policzkach.

Policjant uściskał ją niezgrabnie, poklepał po plecach i ruszył ku

drzwiom. Kobieta stanęła w progu, patrząc, jak mężczyzna i siostra wymieniają na podjeździe półgłosem kilka słów.

Nadal płakała. Tak strasznie brakowało jej małego Michaela. Poszła na piętro, do pokoju synka, aby poszukać jakiejś zabawki, którą mogłaby przytulić. Teraz dopiero zauważyła, że nie ma wypchanej kaczki - ulubionej przytulania małego. Zorientowała się, że Michael zabrał pluszową Dixie ze sobą. Nigdzie się bez niej nie ruszał. Gdy gdzieś ginęła, Leigh musiała jej szukać tak długo, dopóki jej nie znalazła.

Mam nadzieję, że masz swoją Dixie przy sobie, kochanie, pomyślała Leigh, spoglądając w ciemne okno. Przytul ją mocno i niczego się nie bój.

Gałęzie szumiały na wietrze, nad wzgórzami skrzyły się gwiazdy, zimne i dalekie. Leigh usiadła na zasypanym zabawkami łóżku synka i rozszłochała się na dobre.

ROZDZIAŁ 3

Carmen i Tony wrócili z kolacji krótko przed jedenastą. Obydwoje byli rozpromienieni, szczęśliwi. Carmen dostała bukiet kwiatów, które od razu włożyła do wazonu, zanim jeszcze zajrzała do śpiącej córeczki.

Jackie siedziała na kanapie z podwiniętymi nogami, w telewizji skończył się właśnie film, który oglądała. Wyłączyła odbiornik i zagadnęła przyjaciółkę:

- Udał się wieczór?

- Było wspaniale. - Carmen miała minę zadurzonej nastolatki. - Jedzenie pyszne. Zamówiliśmy stek, kraba,

była nawet butelka szampana.

- Jakaś specjalna okazja? - zaniepokoiła się lekko Jackie, spoglądając na oboje.

- Szczególna - przytaknął Tony, opierając się o framugę drzwi.

Jackie przemknęło przez myśl, że nowy chłopak **Carmen** czeka, by jej przyjaciółka wyszła. Poznali się **wcześniej**, kiedy przyszedł po swoją dziewczynę, ale spotkanie było tak krótkie, że nie zdążyła wyrobić sobie opinii na jego temat. Teraz obserwowała go uważnie, próbując zgadnąć, jakim jest człowiekiem.

Tony Bechtmann był średniego wzrostu, miał brzusek, ciemne włosy i zaczątki łysiny oraz łagodne spokojne spojrzenie.

Dwanaście lat służby w policji sprawiło, że Jackie stała się sceptyczna. Nie miała zaufania do nieznajomych, nawet jeśli wydawali się sympatyczni. Napatrzyła się na tak okropne rzeczy, na tak straszne zachowania mężczyzn wobec kobiet, że teraz każdego traktowała podejrzliwie. Zawsze zresztą była nieufna, nawet wobec dzieci. Złe dzielnice Los Angeles nie napawały zbyt dużą ufnością wobec rodzaju ludzkiego.

Tony uśmiechnął się szeroko. - Muszę przygotować zaczyn - oznajmił ze śmiechem. - W przeciwnym razie policja nie będzie miała swoich porannych pączków i całe miasto stanie.

Jackie roześmiała się, napięcie prysło. Może Tony jest porządnym człowiekiem, poza tym Carmen zdawała się taka szczęśliwa.

- Co z tym malcem, który zaginął w centrum handlowym, Jackie? - Carmen przeszła przez pokój i stanęła koło mężczyzny. - Tak się zagadaliśmy z Tonym, że w drodze powrotnej do domu nie wysłuchaliśmy nawet wieczornych wiadomości.

- Nie znaleźli go jeszcze. Dwa razy do mnie dzwonili. Za pierwszym razem chcieli, żebym zanocowała u Leigh Mellon.

- Znaleźli cię tutaj? - zdziwiła się Carmen.

- Jeśli nie biorę ze sobą komórki, zostawiam numer

stacjonarny, pod którym będę, na wypadek, gdybym była potrzebna.

Carmen zdjęła jakiś pyłek z rękawa marynarki Tony'ego, najwyraźniej szukając pretekstu, by dotknąć swojego adoratora. Jackie nagle poczuła się okropnie samotna.

- Kilka minut temu odwołali wezwanie, bo do Mellon przyjechała jej siostra.

- Biedaczka - wzruszyła się Carmen. - Będę się modliła całą noc za nią i za jej synka.

Tony posłał Carmen czułe spojrzenie i delikatnie musnął dłonią jej włosy.

- No, moi kochani, nie wiem jak wy, ale na mnie już czas. - Jackie wstała z kanapy, zebrała swoje notatki, wzięła książkę. - O ósmej rano muszę być w pracy. - Uścisnęła na pożegnanie dłoń Tony'ego.

Piekarz uśmiechnął się wesoło.

- I co, zaakceptowałaś mnie, detektywie? - zapytał cicho.

- Nikt nie jest dość dobry dla Carmen, ale ty ujdiesz. Nie siedźcie za długo - dodała z udaną surowością. — Jedź do swoich pączków. Los moich kolegów leży w twoich rękach.

Dawno już nie czuła się taka samotna jak teraz, kiedy wyszła z przytulnego mieszkania Carmen.

Jej własne było urządzone po spartańsku, jeśli nie liczyć kilku dobrych grafik na ścianach. Mimo że wychowana w ubóstwie, Jackie instynktownie wiedziała, co się jej podoba, miała wycucie formy i koloru. Nie stać jej

jednak było na rzeczy, które naprawdę by ją cieszyły, wybierała więc prostotę; regał w bawialni zrobiony został ze starych cegieł i najzwyczajszych desek, a dębowy stolik przy kanapie wykonała sama na kursie stolarskim kilka lat temu.

Jedyne żywe kolory w całym mieszkaniu stanowiły pomarańczowo-zielone afgańskie dywany leżące na podłodze saloniku. Do niczego nie pasowały i były wyjątkowo szkaradne, ale tkąła je własnoręcznie babka Jackie i dziewczyna nie potrafiła się z nimi rozstać.

Z zamyślenia wyrwakją dzwonek telefonu.

- Cześć, Jackie - odezwał się zrzędlawy głos. - To ty?

Jackie zeszywniała. - Ja, babciu - burknęła. - Dlaczego dzwonisz tak późno? Powinnaś już spać o tej porze.

- Znowu tu są - zaskrzeczała babka. - W drugim pokoju, chowają się za kanapą. Tysiące.

- Pająki?

- Przyjedź i zrób z nimi porządek, Jackie. Są ogromne i mają żółte kły. Oczy im świecą w ciemnościach.

- Ile wypiałś, babciu?

- Ani kieliszka - obrazila się starsza pani. - Wiesz, że więcej nie piję.

Mniej nie pijesz, babuniu, ty stary uparciuchu, pomyślała Jackie.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Czemu nie przeniesiesz się do mnie, babciu? - Jackie doskonale wiedziała, że na próżno prosi o to staru-

szkę. - Mogłabym znaleźć większe mieszkanie, a może nawet kupić dom i byłoby nam razem dobrze.

- Akurat. Znajdziesz sobie chłopaka i fora ze dwora.

- Od trzech lat jestem sama. Nie mam czasu na amory, ciągle pracuję.

- A ja nie chcę sama siedzieć w domu. Tutaj, u siebie, znam wszystkich.

- Tam, u ciebie, strach nos wytknąć za próg. - Jackie była już zmęczona ciągle tymi samymi rozmowami. - Powiedz mi, ile razy na twojej ulicy była strzelanina? Przynajmniej dwa razy, prawda?

- Nie ruszę się stąd - oznajmiła stara dama z pijackim uporem. - Nie zmusisz mnie.

- A ja nie mogę nic zrobić z pajakami. Przypominam ci, że jestem ponad tysiąc mil od Los Angeles. Carmelo i Joey nie mieszkają już z tobą?

- A kto ich tam wie! Pojawiają się czasami. Carmelo siedzi chyba w więzieniu. Nikogo tu nie ma, tylko te obrzydliwe pajaki. One podchodzą pod drzwi mojego pokoju, Jackie. Chcą mnie udusić. Jackie westchnęła, prosząc Boga, by dał jej cierpliwość. - Leżysz w łóżku?

- Owszem, w łóżku, z kołdrą podciągniętą pod brodę.

- Nie wstawaj. Spróbuj zasnąć, babciu. Rano na pewno poczujesz się lepiej.

- Kiedy przyślesz mi jakieś pieniądze? Jestem bez grosza.

- Rozmawialiśmy o tym w zeszłym tygodniu. Po-

wiedziałam ci, że nie dostaniesz ode mnie żadnych pieniędzy, bo wszystko przepijasz. Przestaniesz pić, wyślę ci pieniądze.

- Ja nie piję - oznajmiła starsza pani tonem trzeźwym i stanowczym. - Nie biorę alkoholu do ust. Wyślij mi trochę grosza, Jackie. Nie mam już w domu nic do jedzenia. Od dwóch dni wsuwam psie żarcie, wnusiu.

- Zadzwoń jutro do opieki społecznej - obiecała Jackie. - Jeśli potwierdzą, że nie pijesz, wyślę pieniądze.

- Okłamią cię! - krzyknęła babcia z prawdziwą wściekłością w głosie. - Io okropni kłamcy. A ty jesteś najgorsza z nich wszystkich! I pomyśleć, jak ja się poświęcałam, żeby cię wychować, jak urabiałam sobie ręce po same łokcie, żebyś miała wszystko, co ci potrzebne, a ty teraz nie kiwniesz nawet palcem, żeby mi pomóc. Wstrętne, paskudne niewdzięcznica.

Jackie ze stoickim spokojem wysłuchiwała babcinych wyrzutów. Irena Kaminsky istotnie wychowywała ją od czasu, kiedy matka odeszła w siną dal, ale najczęściej była zbyt pijana, by zająć się gromadką wnuków. Efekt był taki, że skończywszy dziesięć lat, to Jackie zaczęła opiekować się babką, a nie odwrotnie.

- Paskudna niewdzięcznica - powtórzyła babka z płaczem i najwyraźniej łyknęła kolejny kieliszek.

- Babciu, przestań pić na litość boską - zawołała Jackie ostro. - Odstaw butelkę.

- Paskudna niewdzięcznica, wcale cię nie obchodzą te obrzydliwe pająki... te pająki.

Babka odwiesiła słuchawkę. Teraz wypije jeszcze kilka kieliszków i uśnie, myślała Jackie, siedząc bez ruchu przy aparacie. Rano pająki znikną, ale delirium wróci i znowu będzie kolejna nocna rozmowa, i kolejna...

- Niech to cholera - mruknęła Jackie, po czym włączyła magnetofon i padła na kanapę.

W pracy pojawiła się kilka minut po ósmej. Zaparkowała swoje stare subaru na zapleczu posterunku, wzięła z siedzenia teczkę z dokumentami, torebkę i ruszyła do wejścia. Przeszła pośpiesznie przez recepcję i skierowała się do biura, gdzie czekał już na nią jej policyjny partner.

- Ślicznie dzisiaj wyglądasz. To nowe ciuchy? -Brian Wardlow powitał ją anielskim uśmiechem.

Jackie spojrzała na swoje stare spodnie z brązowej gabardyny i znoszony sweter.

- Bardzo śmieszne. Coś taki wniebowzięty od samego rana?

- Sobota. Jeszcze kilka godzin roboty, a potem słodkie nieróbstwo. Dlaczego nigdy nie nosisz sukienek, Ka-minsky?

- Bo nie miałabym gdzie schować kajdanków i spluwy, wesołku. Co się dzieje?

Piegowaty rudy Wardlow wyglądał raczej jak urwis z podwórka, a nie poważny policjant. Trzy lata starszy od Jackie, po wielu nieudanych próbach kilka miesięcy wcześniej zdał wreszcie egzamin na detektywa. W ich

duecie to Jackie miała dłuższy staż i większe doświadczenie.

- Sama zobacz - powiedział i wskazał na nowe papiery leżące na biurku koleżanki.

- Cholera - mruknęła Jackie, spoglądając w dokumenty.

- Odprawa u Michelsona. - Wardlow wstał i ruszył powoli ku drzwiom. - Może zdążysz jeszcze napić się kawy.

Sierżant Lew Michaelson, potężny, zwalisty mężczyzna siedział za biurkiem z wyrazem zniechęcenia na twarzy. - Witaj, Kaminsky - huknął, gdy zobaczył w progu swoich podkomendnych. - Miło, żeś zechciała zajrzeć do pracy.

- Jest dopiero cztery po ósmej - oznajmiła Jackie najspokojniej w świecie. - Jakim cudem dostaliśmy sprawę Michaela Panesivicia?

- A niby dlaczego nie? To w końcu nasza dzielnica. Mały i jego matka mieszkają kilka przecznic stąd, w pobliżu Loma Vista.

- Chodzi o porwanie - mruknęła Jackie; zerkając w dokumenty. - Tym powinni się chyba zająć chłopcy z dochodzeniówki.

- Sprawa jest delikatna. - Michelson położył płasko dłonie na biurku i nachylił się w stronę dziewczyny.

- Mianowicie?

- Masz wszystko w papierach. Dokładny protokół. Rodzice są rozwiedzeni, są problemy z zasadami opieki

nad chłopcem. Matka nie dopuszczała do spotkań małego z ojcem, bała się, że ten porwie dzieciaka i wywiezie go z kraju. W ostatni czwartek była rozprawa.

- Czyli na dzień przed zniknięciem chłopca - wtrąciła Jackie.

- No właśnie. Kilka miesięcy temu matka doszła do wniosku, że nie będzie pozwalała mężowi zabierać chłopca na weekendy.

- Co na to sąd?

- Utrzymał dotychczasowe zasady widzeń i kazał się matce do nich stosować.

Jackie ponownie zerknęła w papiery. Miała do dyspozycji protokół z przeszukania centrum, zeznania właścicieli sklepów i ekspedientek oraz matki dziecka. W brązowej kopercie znajdowało się kilka zdjęć, wśród nich duży portret ciemnowłosego chłopca o wielkich brązowych oczach, nieśmiało spoglądającego w obiektyw aparatu.

- Śliczny dzieciak. - Jackie spojrzała na sierżanta. - Myśli pan, że ojciec ma z tym coś wspólnego?

Michelson poruszył się niespokojnie. - Głośno ci tego nikt nie powie. Dostaniesz tylu ludzi, ilu uznasz za konieczne, ale w takich przypadkach trzeba naprawdę postępować bardzo ostrożnie: problemy rodzinne, zadrażnienia, kłótnie o opiekę.

- A jeśli dzieciaka porwał rzeczywiście jakiś świr? - zagadnął Wardlow.

Sierżant spojrzał na niego zmęczonym wzrokiem. - Ile lat jesteś gliną, Wardlow?

- Dwanaście.

- Ile miałeś w tym czasie spraw, gdzie małego dzieciaka porywa obcy gość?

Policjant zmarszczył czoło w namyśle. - Żadnej, o ile dobrze pamiętam.

- Dokładnie. A ty, Kamisky? Przez te wszystkie burzliwe lata, które przepracowałeś w policji, zdarzyło ci się kiedykolwiek porwanie małego dziecka przez kogoś obcego?

- Nie. Osobiście nigdy. Owszem, słyszałam, ale bezpośrednio nie miałam do czynienia z podobną sprawą.

Sierżant założył okulary. - Czekając, aż detektyw Kaminsky zaszczyci nas swoją obecnością, zapoznałem się z cyframi.

Jackie uśmiechnęła się uroczo na tę kwaśną uwagę i upiła łyk kawy.

- Mniej niż jeden procent wszystkich porwanych dzieci w Stanach uprowadzany jest przez obcych - oznajmił Michelson. - Oznacza to około stu dzieci rocznie w całym kraju, wszystkie powyżej dziewiątego roku życia. Bardzo, naprawdę bardzo rzadko mamy do czynienia z innymi przypadkami, a jeśli, to rzecz dotyczy głównie niemowlaków.

Sierżant podniósł wzrok znad papierów.

- Media oczywiście mówią co innego, ale one kochają straszyć ludzi. Taka w końcu ich rola.

- A porwania dzieci przez rodziców, co o tym mówią cyfry? - zapytała Jackie.

Sierżant ponownie spojrzął w papiery.

- Trudno stwierdzić. Bardzo często takie sprawy w ogóle nie są zgłaszane albo trafiają od razu do sądu rodzinnego. Oblicza się, że od dwudziestu pięciu do stu tysięcy.

- Rocznie? - zdziwiła się Jackie.

- Rocznie.

Jackie przejrzała protokoły zrobione poprzedniego wieczoru; jak na pierwsze, pobieżne z konieczności - zapisy, były wyjątkowo rzetelnie i kompetentnie zrobione.

- Więc bierzemy tę sprawę? - odezwała się wreszcie.

Michelson skinął głową. - Chciałbym, żebyś możliwie szybko przesłuchała wszystkich członków rodziny i przekazała mi swoje wnioski.

- Może sprawdzić notowanych pedofilów, ich alibi na wczorajszy wieczór, pójść w tę stronę.

- Sama decyduj. Pod koniec dnia czekam na raport. Jackie podniosła się z krzesła, Wardlow też wstał. Zatrzymała się jeszcze w progu.

- Chciałabym zlecić badanie pani Mellon na wykrywaczu kłamstw.

Sierżant zrobił dziwną minę. - Wiesz, kim jest ta kobieta? To bardzo znana w mieście rodzina. Jej ojcem jest Alden Mellon.

- Nigdy o nim nie słyszałam.

- Emerytowany sędzia. Przez pewien czas był też prokuratorem stanowym. Mellonowie to władza i pieniądze, od kilku ładnych pokoleń.

Jackie uśmiechnęła się słodko.

39

- To znaczy, że nie dostanę zgody?

Michelson westchnął ciężko i wyjął z kieszeni koszuli tabletki na nękające go ustawicznie wrzody żołądka. -- Nie zachowuj się jak słoń w składzie porcelany, - dobrze, Kaminsky? Przestrzegaj zasad i trzymaj się regulaminu.

- Zawsze trzymam się regulaminu.

Michelson pokręcił głową z rozpaczą, zamknął teczkę i sięgnął po słuchawkę. - Znikajcie i zabierajcie się do roboty. Po południu chcę mieć pierwszy raport.

ROZDZIAŁ 4

Adresy z protokołów pochodziły z tak zwanych lepszych dzielnic, w których Jackie rzadko bywała. Rodzice Leigh Mellon i opiekunka do dziecka mieszkali na South Hill, siostra w południowej części miasta, Stefan Panesivić wynajmował mieszkanie w kampusie uniwersyteckim, a starsi państwo PanesWiciowie posiadali niewielką farmę w Dolinie.

Swoje dochodzenie Jackie zaczęła od złożenia wizyty w skromnym, niczym się niewyróżniającym piętrowym domu Leigh Mellon. Zaparkowała swój wóz tuż za zielonym porsche, który, w przeciwieństwie do domu, świadczył o zasobności i pozycji właścicielki.

Zapisała kilka uwag w notesie, razem z telefonem komórkowym wrzuciła go do torebki, po czym zamknęła samochód i ruszyła w stronę domu Leigh.

- Detektyw Kaminsky - przedstawiła się i pokazała odznakę młodej kobiecie o zmęczonej twarzy.

- Pani ma prowadzić sprawę? - zdziwiła się, a w jej oczach pojawiło się coś na kształt rozbawienia.

Jackie spojrzała na nią uważnie, zaskoczona podobieństwem swojej rozmówczynie do Leigh Mellon.

Miała

króciutko obcięte ciemne włosy, wielkie, ciemne oczy i szczupłą sylwetkę. Pociągła twarz i delikatna doskonała cera stanowiły dopełnienie całości, której mogła pozazdrościć niejedna kobieta.

Bogaci ludzi zawsze mają taką doskonałą cerę, przemknęło jej przez głowę. Może używają jakichś tajemniczych wywarów, a może to po prostu efekt wypijanych od dzieciństwa galonów soku pomarańczowego i zjadanych kilogramów warzyw?

- Jestem Adrienne Calder - powiedziała kobieta. - Siostra Leigh. - Otworzyła, szerzej drzwi i gestem zaprosiła Jackie do środka. - Policja uznała, że będzie lepiej, jeśli przyjadę do Leigh i zostanę z nią na noc. Była zupełnie rozbita, a istniała możliwość, że kidnaper zechce się z nią skontaktować i zażądać okupu.

- Czy ktoś dzwonił?

Kobieta zmierzyła Jackie ironicznym spojrzeniem.

- Niestety, nikt.

- Jak się czuje siostra?

- Bardzo trafne pytanie - skwitowała Adrienne. Stała boso, miała na sobie obcisłe brązowe dżinsy i beżową tunikę z jedwabistego weluru. - A jak pani by się czuła, gdyby raptem porwano pani przed nosa trzyletnie dziecko?

- Źle - odparła Jackie spokojnie. - Myśli pani, że siostra będzie w stanie porozmawiać ze mną?

Chciałabym wiedzieć możliwie jak najwięcej na temat wczorajszych wydarzeń.

- Wczoraj już ją przesłuchiowano, teraz śpi. Mogłaby pani dać jej spokój przez najbliższych kilka godzin.

- Wczoraj przesłuchiwali ją tylko policjanci z patrolu, który przyjechał do centrum handlowego - wyjaśniała Jackie, nawykła do podobnych nieuprzejmych reakcji. - A ja jestem detektywem prowadzącym szczegółowe dochodzenie.

- Chce pani powiedzieć, powtarzającym raz już zrobioną robotę. - Kobieta wzięła mandarynkę z misy stojącej na paterze w holu i zaczęła ją obierać, taksując Jackie lekceważącym spojrzeniem. - I na to idą moje podatki, tak?

Jackie zaczęły męczyć zaczepność i docinki Adrienne. Wyjęła notes, otworzyła pióro. - Pani nazywa się Adrienne Calder? - zapytała, pisząc jednocześnie.

- Tak. - Adrienne była wyraźnie zaskoczona.

- Co pani robiła wczoraj między szóstą a dziewiątą wieczorem?

- Czy pani sugeruje, że... To naprawdę śmieszne. Jackie z kamienną twarzą czekała na odpowiedź.

- Byłam na kweście - odparła Adrienne lodowato. - W Sheratonie. Razem z moim mężem, Marianem Calderem. Około pięciuset osób może potwierdzić, co robiłam.

- Dziękuję.

Jackie zamknęła notes i rozejrzała się dokoła. O ile z zewnątrz dom sprawiał skromne wrażenie, wewnątrz prezentowało się zupełnie inaczej. Nawet jeśli Leigh zmuszona była żyć teraz w miarę oszczędnie, zdołała zgro-

madzić wokół siebie wiele pięknych i kosztownych rzeczy. Zabytkowe meble, kolekcja szkła, obrazy na ścianach - wszystko to świadczyło o doskonałym smaku właścicielki.

Jackie pomyślała o swoim byle jak urządzonym mieszkaniu, w którym każdy mebel był inny, a całość robiła wrażenie zupełnie niedopasowanej.

Eleganckie, choć pełne prostoty wnętrze onieśmiało ją. Czowała, że choćby nie wiadomo jak się wysilała, nigdy nie uzyskałaby wystroju tej klasy. Bogaci, pomyślała ponuro. Ciekawe, jak mieszka matka Leigh.

Adrienne zniknęła w sąsiednim pokoju i w tej samej chwili na schodach pojawiła się Leigh Mellon w granatowych legginsach i białym podkoszulku.

- Adrienne - zawołała. - Ktoś dzwonił do drzwi? Och! - Zatrzymała się na widok Jackie stojącej w progu salonu. - Przepraszam, nie zauważyłam pani w pierwszej chwili.

Jackie wyjęła z kieszeni odznakę. - Chciałabym zadać kilka pytań, jeśli pani pozwoli.

- Oczywiście.

W holu pojawiła się Adrienne, już w sandałach, z wielką zamszową torbą przewieszoną przez ramię.

- Idziesz już? - zdziwiła się Leigh.

- Mam kilka spraw, do załatwienia. - Cmoknęła siostrę w policzek. - Dasz sobie radę beze mnie? Masz dzielną policjantkę do ochrony, więc chyba mogę cię zostawić.

- Dziękuję, Rennie - szepnęła Leigh. - Jesteś kochana, że przenocowałam u mnie.

- Drobiazg. - Adrienne spojrzała zaczepnie na Jackie. - Muszę jechać do domu, ustalić alibi z moim mężem. Nie daj Bóg, żeby nasze zeznania przeczyły sobie wzajemnie.

Jackie miała ochotę powiedzieć coś do słuchu pani Calder, ale ugryzła się w język. Nie da się sprowokować, nie da Adrienne tej satysfakcji. Uśmiechnęła się uprzejmie.

- To rzeczywiście nieprzyjemne, kiedy zeznania się nie zgadzają. Po co miałyby pani tkwić godzinami na posterunku policji, poddawana brutalnym przesłuchaniom.

Adrienne parsknęła śmiechem i ruszyła ku drzwiom.

- Proszę się nie przejmować Rennie - wtrąciła Leigh. - Ona już taka jest, ale w gruncie rzeczy nie ma nic złego na myśli.

Jackie dopiero teraz uważnie przyjrzała się Leigh Mellon. Zdawała się jeszcze bardziej ujmująca i sympatyczna niż w telewizji. Miała przy tym w sobie łagodność, której brakowało jej siostrze.

- Przejdźmy do kuchni - zaprosiła. - Mam nadzieję, że Rennie zostawiła nam trochę kawy. O, świetnie, jest jeszcze prawie cały dzbanek.

Jackie usiadła przy stole z kubkiem aromatycznego płynu w dłoni. Jakiś drogi gatunek, oceniła po pierwszym łyku.

- Ze śmietanką i cukrem? - zapytała Leigh.

45

- Nie, dziękuję.

Jackie otworzyła swój notes. - Pani Mellon.

- Jak mam się do pani zwracać?

- Słucham?

- Chcę wiedzieć, jak się pani nazywa. Spojrzałam na pani odznakę, ale nie zauważyłam nazwiska, rangi też nie.

- Detektyw Kaminsky. Może mi pani mówić Jackie, jeśli pani woli.

- Dobrze. - Leigh spojrzała w okno wychodzące na starannie utrzymany ogród. Miała smutną, zmęczoną twarz, podkrążone oczy i sprawiała wrażenie bardzo nieszczęśliwej, załamanej istoty. Była spokojna, w jej zachowaniu nie było śladu hysterii.

Jackie upiła kolejny łyk gorącej, świetnej kawy. - Zaczniemy od wczorajszego wieczoru - powiedziała cicho.

Leigh z westchnieniem zaczęła relacjonować wydarzenia w centrum handlowym, a Jackie skrupulatnie zapisywała wszystkie potrzebne informacje, sprawdzając je z protokołem Paxtona.

- A więc weszła pani do sklepu obejrzeć letnią sukienkę? - zapytała w pewnym momencie.

- Tak. Tuż obok sklepu zabawkarskiego. Zajął mi to dosłownie chwilę. Kiedy wróciłam po Michaela, już go nie było. - W oczach Leigh pojawiły się łzy, usta zaczęły jej drżeć. - Nie mogę sobie darować, że byłam taka lekkomyślna. Jak mogłam go zostawić samego? Jest jeszcze taki maleńki. Taki bezradny. Kiedy pomyślę, że...

Jackie odchrząknęła i poprawiła się na krześle. - Pani Mellon... - zaczęła.

- Tak?

- Żeby ułatwić dochodzenie, chciałam zlecić zrobienie pani wariografu.

- Co to takiego?

Jackie spojrzała z wysiłkiem w pełne niepokoju oczy kobiety. - Przesłuchanie z użyciem wykrywacza kłamstw.

- Oczywiście - zgodziła się Leigh bez oporów. - Jeśli to pomoże odnaleźć Michaela... Kiedy chce pani zrobić ten test?

- Muszę panią uprzedzić, że wyniki, nawet pozytywne, nie są żadnym dowodem dla sądu. Na dobę przed badaniem uprzedzę panią, żeby mogła się pani przygotować i dam listę pytań. - Jackie pamiętała, co sierżant mówił o rodzinie Mellonów.

- Doba wyprzedzenia - powtórzyła Leigh. - Więc już jutro mogłabym się poddać testowi, tak? Co jest jutro, niedziela? - Pokręciła głową i zaczęła masować skronie. - Nie pamiętam nawet, jaki dzień mamy.

- Spróbuję zorganizować wszystko na jutro po południu.

Jackie zapisała termin w notesie. Gotowość, z jaką Leigh zgodziła się poddać testowi, trochę ją zaskoczyła. Spodziewała się trudności, oporów.

- Jak pani myśli, gdzie teraz może być pani synek?

- Dlaczego mnie pani o to pyta? Skąd mogę wiedzieć?

- Ze względu na pani zachowanie. - Jackie wzięła głęboki oddech, starannie dobierając słowa. - Robi pani wrażenie bardzo przygnębionej, ale nie przerażonej, jak można by oczekiwać po matce, której dziecko znalazło się w obcych rękach. Mam uczucie, że pani się domyśla, gdzie może być Michael.

- Słucham? - spytała Jackie, gdy Leigh opuściła głowę i mruknęła coś niezrozumiałego.

- Myślę, że mały jest ze Stefanem.

Jackie zerknęła do swoich notatek. - Teraz pani to mówi? Wczoraj wieczorem.....

- Zastanawiałam się przez całą noc - wpadła jej -Leigh w słowo. - Początkowo myślałam, że może uprowadził go ktoś obcy, tak jak sugerował policjant, który mnie przesłuchiwał. Teraz jestem prawie pewna, że to jednak Stefan. Musiał nas śledzić. Wykorzystał pierwszą nadarzącą się sposobność i porwał Michaela.

- Z tego, co wiemy, nikt z obsługi sklepu nie zauważył nic podejrzanego.

- Dlaczego ktoś miałby coś podejrzewać? Ojciec z synem to najnaturalniejszy na świecie widok.

Jackie zapisała kilka słów w notesie. - Czy chwila nie wydała ci się trochę dziwna, Leigh? - zapytała, przechodząc na ty, by nawiązać bliższy kontakt z kobietą.

- Dlaczego?

- Poprzedniego dnia odbyła się rozprawa, prawda? Leigh skinęła głową, w jej oczach znowu pojawiły się łzy.

- Zapadło orzeczenie korzystne dla twojego męża. Można powiedzieć, że uzyskał wszystko, o co mu chodziło. Dlaczego zatem wybrał akurat ten moment, żeby uprowadzić małego?

- Nie rozumiesz. - Leigh objęła kubek obydwoma dłońmi, jakby chciała je ogrzać. - Stefan nie uzyskał tego, o co zabiegał. Sąd podtrzymał tylko poprzednie orzeczenie, dające prawo do sobotnich spotkań, nic więcej.

- A czego chciał Stefan?

- Chce Michaela. Chce mi go zabrać, mieć go tylko dla siebie.

- To znaczy, że traktuje to jako rodzaj współzawodnictwa między wami?

- Tak. Postępuje okrutnie. To potwór. Demon - odparła Leigh z napięciem w głosie. Oczy zapaliły jej się złym blaskiem.

Jackie po raz pierwszy przemknęło przez głowę, że Leigh nie jest zupełnie zdrowa na umyśle.

Pomyślała o małym, uśmiechniętym chłopcu ze zdjęcia i przeszedł ją dreszcz.

- Mówisz to z taką pewnością.

- Jestem pewna. - Leigh odchyliła się na krześle. -- To naprawdę potwór. Zrobi wszystko, by osiągnąć swój cel. Powtarzam to wszystkim wokół, ale nikt mi nie chce wierzyć.

Słońce stało wysoko na niebie, kiedy Jackie wyszła wreszcie z domu Leigh i ruszyła w kierunku śródmieścia

i Spokane River. Tu skręciła na wschód, w stronę terenów uniwersyteckich, z pięknym starodrzewem i neogotyckimi budynkami.

Założony przez jezuitów Uniwersytet Gonzaga, alma mater Binga Crosby'ego, należał do najpiękniejszych miejsc w mieście. Jackie z zazdrością spoglądała na beztrosko spacerujących studentów letnich kursów. Też chciałaby znowu być młoda, beztroska i nie mieć na głowie żadnych innych obowiązków poza nauką.

Zaparkowała wóz w pobliżu dużego budynku mieszkalnego, sprawdziła adres, zapisała coś w notesie, a potem wysiadła z wozu. Przeszła do wejścia, gdzie pokazała portierowi swoją odznakę i wjechała windą na właściwe piętro.

- Detektyw Kaminsky - przedstawiła się, kiedy w drzwiach mieszkania pojawił się wysoki mężczyzna.

- Pan Stefan Panesivic?

Mężczyzna skinął głową. - Proszę wejść, spodziewałem się pani wizyty. - Usunął się, robiąc Jackie przejście, i poprowadził ją do bawialni. Nie był sam, w pokoju siedziało kilkoro młodych ludzi, którzy patrzyli na policjantkę w milczeniu.

- To wszystko na dzisiaj - powiedział Stefan. - Muszę porozmawiać z panią, a z wami spotkam się jutro, dobrze?

Studenci zaczęli zbierać się do wyjścia. Korzystając z chwilowego zamieszania, Jackie rozejrzała się bacznie po pokoju i szybkim spojrzeniem oceniła gospodarza miesz-

kania. Był on niezwykle przystojny, mógł mieć trochę ponad czterdzieści lat. Ciemne włosy na skroniach miał nieznacznie przyprószone siwizną, brązowe oczy patrzyły przenikliwie. Dość wysoki, szczupły, choć proporcjonalnie zbudowany, stał przed nią w dżinsach i rozpiętej pod szyją koszulce polo. Nawet głos miał niski, głęboki, melodyjny, z nieznacznym tylko śladem obcego akcentu. Urządzone znacznie prościej niż dom Leigh mieszkanie było też dużo przytulniejsze. W salonie stały wygodne skórzane kanapy i takie same fotele. Na podłodze leżał wschodni dywan, na ścianach wisiały ryciny ze scenami myśliwskimi. Wszędzie było mnóstwo książek - w przeszklonych szafach bibliotecznych, na półkach, stolikach, nawet na podłodze.

- Przepraszam za bałagan - powiedział tonem usprawiedliwienia. - Nigdy nie mam czasu posprzątać.
- Przerwałam panu zajęcia ze studentami? - Jackie usiadła w fotelu. - Z naszych raportów wynika, że nie uczy pan w tej chwili.
- Takie niezobowiązujące spotkanie. Letni kurs nauk politycznych. Spotykam się z nimi czasami w weekendy i wskazuję materiał do przeczytania, a potem omawiamy lektury.
- Bezinteresownie? Z czystej dobroci serca? Uśmiechnął się mimo wyraźnego przekąsu w tonie Jackie. - Można tak powiedzieć. Lubię uczyć, sam się CMgoJ nowego dowiaduję, więc nie jestem tak zupełnie beinteresiowny - powiedział pogodnie.

- Wyglądali na bardzo różnorodną grupę - zauważyła.
 - W jakim sensie?
 - Siedem osób, wśród nich dwoje Afroamerykanów, dwóch Azjatów i jedna Latynoska.
 - Policja tak się interesuje etnicznym pochodzeniem obywateli?
 - Skądże. Po prostu mamy wyostrzony zmysł obserwacji. Na tym między innymi polega nasza praca.
 - Rozumiem. - Panesivić spojrział uważnie na Jackie. - Ameryka się zmienia, staje się coraz bardziej zróżnicowana. Pani sama też ma domieszkę innej krwi, prawda?
 - Można tak powiedzieć. - Zaskoczył ją tym pytaniem, ale jego zachowanie było tak ujmujące, że nie mogła czuć urazy.
 - Rdzennej amerykańskiej?
 - Irokeskiej, ale tylko trochę.
 - Irlandzkiej?
 - Dobry pan jest, panie Panesivić. A może powinnam zwracać się do pana „doktorze”?
- Machnął ręką. - Doktorem jestem podczas zajęć. Używanie tytułu na co dzień wydaje mi się pretensjonalne, poza tym nie mam ochoty odbierać porodów w samolocie.
- Jackie zaśmiała się, po czym już z poważną miną zajrzała do swojego notesu. Panesivić tymczasem nie przestawał studiować jej twarzy, kontynuując zgadywanie.
- Domieszka Afroamerykańska?
 - Też.

- I zapewne polska.

- To proste. Nazywam się Kaminsky.

- Nie chodzi o nazwisko. Ma pani piękne, typowo słowiańskie kości policzkowe. Jakieś nowe wiadomości, detektywie?

- Nic konkretnego. - Jackie była zaskoczona zachowaniem Stefana, tak jak zdziwił ją spokój i wyciszenie Leigh Mellon. - Nie wygląda pan na zrozpaczonego.

- Z powodu porwania syna?

- To właśnie chciałam powiedzieć.

Podniósł się z fotela, zaczął krążyć po pokoju, na chwilę przystanął przy oknie. - Michael nie został porwany - powiedział wreszcie.

- Gdzie zatem jest?

- Leigh gdzieś go ukryła. Jestem pewien, że jest zupełnie bezpieczny. W każdym razie w sensie fizycznym - dodał z goryczą w głosie.

- Dziwne. - Jackie obserwowała go uważnie. - Ona powiedziała dokładnie to samo o panu.

- Tak?

- Tak. Uważa, że pan ma chłopca.

- Gdzie w tym małym mieszkaniu miałbym ukryć trzyletnie dziecko? W schowku na rowery? - zatoczył ręką wokół i cierpko się uśmiechnął.

- A gdzie ukryłaby go Leigh?

- Najwidoczniej nie poznała pani jeszcze reszty klanu Mellonów?

- Co ma pan na myśli?

- Nie wyobraża sobie pani, jak bardzo są bogaci -- powiedział zimno. Wielkie rezydencje, służba na każde zawołanie, zasobni krewni. Przy takich warunkach chyba nietrudno byłoby im ukryć Michaela?

- Sądzi pan, że wywieźli go z naszego stanu?

- Możliwe.

- Z kraju?

- I to prawdopodobne. Może być teraz w Meksyku, w Kanadzie, gdziekolwiek.

- Jeśli żona ukryła syna i złożyła fałszywe zeznania, dopuszcza się poważnego-przestępstwa. Jakie mogła mieć motywy?

Stefan wziął do ręki jakąś książkę, po chwili odłożył ją na stolik. - Po czwartkowej rozprawie mogłem przewidzieć, że coś takiego się stanie. Mellonowie nie umieją przegrywać, nie nawykli do tego.

Jackie pomyślała o umęczonej twarzy Leigh, o jej smutnych oczach. Czy rzeczywiście kierowała się tylko chęcią wygrania ze Stefanem?

- Leigh uważa, że porwał pan syna i że chce pan zabrać go do Chorwacji. Co pan na to, panie Panesivić?

- To śmieszne. Całe moje obecne życie związane jest z Ameryką. Tu mam rodzinę, pracę. Tu mieszkają moi rodzice, mój brat, jego żona... mój syn. Dlaczego miałbym wracać do Chorwacji?

- Chce pan na stałe zamieszkać w Spokane?

- Pod koniec roku dostanę obywatelstwo. Nie wiem, czy wygłaszając te historyczne oskarżenia, Leigh wspo-

mniała, że Michael nie ma paszportu, a na moim nie może podróżować?

- Zauważyłam tę informację we wstępnym protokole. Nie mógł opuścić kraju bez paszportu? Dzieci do pewnego wieku nie muszą mieć chyba żadnego dokumentu podróży.

- Myli się pani - powiedział Stefan spokojnie. - Nikt nie może wjechać do żadnego kraju Europy bez paszportu, nawet niemowlę.

- Rozumiem.

- Wiem, że wasza jurysdykcja jest ograniczona, budżet zapewne też, na dodatek brakuje wam ludzi, prawda?

- Rzeczywiście.

- Poczekam kilka dni i zobaczę, jaki wynik dadzą wasze poszukiwania. Jeśli nic nie zdziałacie, wynajmę prywatnego detektywa. Cokolwiek jednak się stanie. Stefan spojrzał Jackie prosto w oczy - może być pani pewna, że zrobię wszystko, by odnaleźć mojego syna.

Jackie skinęła głową, po czym spojrzała ponownie w swoje notatki. - Ożenił się pan z Leigh Mellon... cztery lata temu?

- Tak. Braliśmy ślub w czerwcu.

- Wkrótce potem żona zaszła w ciążę.

- Nie chcieliśmy czekać. Ja miałem prawie czterdzieści lat, Leigh też zależało na dziecku. Michael urodził niemal równo rok po naszym ślubie.

- Byliście szczęśliwi?

- Początkowo tak... - Twarz stężała mu w bólu.

- Co się stało później?

- Skąd to można wiedzieć? Wiele czynników złożyło się na to, że nasze małżeństwo się rozpadło.

- Może spróbuje je pan podać?

Panesivić westchnął ciężko. - Leigh okazała się mniej dojrzała, niż sądziłem. Niepewna siebie, własnych decyzji, a przy tym patologicznie zazdrosna. Główny problem stanowiła jednak jej rodzina.

- To znaczy?

- Nie mogli pogodzić się z tym, że wyszła za cudzoziemca, i wcale nie kryli swojej niechęci do mnie.

Pomimo pieniędzy i władzy mają dość parafiańskie poglądy, szczególnie Barbara Mellon - straszna snobka, kobieta ograniczona. Nie poznała jej pani jeszcze?

Jackie przecząco pokręciła głową. - Wybieram się do nich dzisiaj po południu.

- Proszę uważać - powiedział Stefan z niewesołym uśmiechem.

- A pańska rodzina, jak zareagowali na małżeństwo?

- Bardzo się ucieszyli. Rodzice od samego początku byli zachwyceni Leigh, ona nimi też. Moja matka do tej pory nie może odżałować, że się rozstaliśmy. Ma poczucie, że straciła córkę.

- Co pan robił wczoraj między szóstą a dziewiątą wieczorem?

- Byłem na kolacji z przyjaciółmi. Urządziliśmy ostatnie spotkanie, zanim rozjedziemy się na wakacje.

- Mogę prosić o ich nazwiska?

Jackie zapisała dane, potem jeszcze przez kilkanaście minut pytała Panesivicia o jego pracę na uczelni, oczekiwane obywatelstwo, rodzinę, uzgadniając to, co usłyszała wcześniej. W końcu zaczęła się żegnać.

- Chciałabym pozostać z panem w kontakcie, w razie gdybym miała jeszcze jakieś pytania. Mam nadzieję, że nigdzie pan na razie nie wyjeżdża?

- Nie, najpierw muszę odnaleźć syna. Jackie zatrzymała się jeszcze przy drzwiach.

- Panie Panesivić...

- Tak?

- Pańska żona zgodziła się poddać testom na wykrywaczu kłamstw.

- I co w związku z tym?

- Nie dziwi to pana? W świetle pańskich oskarżeń mogłoby się wydawać, że będzie protestowała.

- Ani trochę.

- Dlaczego?

Panesivić oparł się o drzwi i przez chwilę spoglądał na Jackie.

- Osoba psychicznie nie zrównoważona z łatwością oszuka wykrywacz kłamstw.

Jackie poczuła zimne ciarki na plecach. - Uważa pan żonę za osobę psychicznie nie zrównoważoną?

- Do pani należy stwierdzenie stanu faktycznego, -prawda? - rzucił, otwierając drzwi. - Proszę być ze mną w kontakcie. Jeśli dowie się pani czegokolwiek na temat syna, proszę mi natychmiast dać znać.

ROZDZIAŁ 5

Kiedy Jackie wreszcie potwierdziła alibi Stefana, zrobiło się południe. Była głodna, zmęczona, kończyła się jej benzyna. Zjechała do stacji benzynowej, w której zwykle tankowała swój służbowy wóz.

Czekając aż chłopak przemyje przednią szybę, spoglądała na spacerującą w pobliżu pannicę: zmierzwiłone włosy, nabrzmiała, blada twarz, króciutka skórzana mini, stanik w lamparcie cętki i dziesięciocentymetrowe obcasy. Skrzywiła się. Gdzie „dziewczyny pracujące” kupują sobie te niesamowite ciuchy? Może mają jakiś sklep na East Sprague, który specjalizuje się w strojach dla dziewczek.

Jackie wychyliła się przez okno. Dziewczyna wyglądała na straszną smarkulę. Było w niej coś wzruszającego, niepewność i wstyd zupełnie nie licujące z wyzywającym ubraniem. Gdyby się nie spieszyła, prawdopodobnie zabrałaby małą na posterunek i odpytała, czy aby nie uciekła z domu. Sprawa Panesivicia była jednak ważniejsza niż los uciekinierki.

Obiecała sobie, że wróci tu przy najbliższej okazji i zajmie się dziewczyną. Ruszyła ze stacji, po drodze ku-

piła cheesburgera, frytki, colę i wróciła na posterunek. Wardlow siedział przy komputerze i wprowadzał dane do bazy. Na widok Jackie oderwał się od pracy i wyglodniałym wzrokiem zapatrzył w torbę od McDonalda.

- Nie mogłaś kupić czegoś dla mnie? - zagadnął z wyrzutem.

- Podobno umówiłeś się z żoną. Mieliście razem zjeść lunch w centrum handlowym.

~ - Sarah nie mogła przyjść.

Jackie spojrzała bystro na kolegę - nachylał się nad ryzą papieru leżącą obok drukarki. Był dziś wyjątkowo smutny i przygnębiony.

Wzięła kilka frytek z torebki, wyjęła kartę telefoniczną z portfela i wystukała numer.

- Cześć, Joe - wmruczała, przełykając jedzenie, kiedy po drugiej stronie odezwał się kuzyn.

- Cześć, Jackie. Się masz?

- Się mam - odpowiedziała z uśmiechem. Młodszy od niej o dziesięć lat Joe był chyba jej ulubionym krewniakiem. - Martwię się o babcię. Dzwoniła do mnie wczoraj wieczorem, miałam wrażenie, że jest lekko na bani.

- Rany boskie, przepraszam, musiała gdzieś skrócić flaszkę. Wiesz, jaka ona jest.

- Wiem. Dzisiaj wszystko w porządku?

- W porządku. Zawołałbym ją do telefonu, ale akurat wyszła. Poszła do Marii. Wspólny lunch.

- Nie przejmuj się. - Jackie zawahała się. - Babcia

prosiła o pieniądze. Twierdziła, że nie ma co jeść i wsuwa puszki dla psów.

- Kłamie staruszka! - obruszył się Joe. - Ciągnie z ciebie kasę, bo chce się napić. Dwa dni temu załadowałem lodówkę żarciem.

- Masz pracę?

- Radzę sobie - poinformował Joe wykrętnie.

- Dobra, nie wnikajmy w szczegóły.

- Jak boni dydy.

Zamilkli oboje na moment, Jackie obracała w palcach kabel telefoniczny. - Babcia mówi, że zapudłowali Carmela.

- Drobiazg, Jackie. Niezapłacone parkingowe.

- Zamknęli go za niezapłacony parking?

- Carmelowi chodziło o zasadę - oznajmił Joe wyniośle. - Człowiekowi chodzi o zasady, nie o pieniądze

- sentencjonalnie stwierdził kuzyn. - Nie wiesz o tym?

Jackie westchnęła. - Ja się kiedyś przez was powieszę.

- Tu znowu się zawahała. - Pomyślałam, że na początku przyszłego tygodnia zadzwonię do Lomy i poproszę, żeby do was zajrzała.

- Mnie pasuje. Nie lubię tych z opieki społecznej, ale Lorna jest w porządku. Może przemówi babci do rozsądku.

- U was na pewno wszystko w porządku, Joe?

- Spoko.

- Nie pozwalaj jej pić, co?

- Spróbuję - zapewnił bez przekonania. - Cały czas próbuję.

60

- Wiem. Cześć, słonko.

- Cześć, staruszeko.

Jackie odłożyła słuchawkę, upiła łyk coli, po czym zapuściła żurawia w papiery Wardlowa.

- Masz coś? - zapytała z niejaką nadzieją.

- Niewiele. Dziewczyna w barku pamięta, że obsługiwała Mellon i jej synka, bo bardzo się jej spodobali.

- O której tam byli?

- Około szóstej, dokładnie tak jak Mellon powiedziała wczoraj facetowi z patrolu.

- Coś więcej?

Wardlow zerknął na ekran komputera. - Ekspedientka w sklepie zabawkarskim widziała, jak wchodzili do środka. Zauważyła nawet niebieskie sznurowadła chłopca, mały od razu zwrócił jej uwagę, takie śliczne dziecko.

- Nie widziała ich wychodzących?

- Nie, potem w ogóle niewiele widziała. Do sklepu wpadły jakieś dzieciaki, musiała je uspokajać. W chwilę później podeszła do niej Mellon, pytając o synka i prosząc o pomoc w jego odszukaniu.

- Rozmawiałeś w pobliskich sklepach, nikt nic nie zauważył?

- Wczoraj było tam wyjątkowo tłoczno. Przeglądałem w biurze ochrony nagrania wideo z wczorajszego dnia, tłumy ludzi.

- Czy w pobliżu sklepu zabawkarskiego jest jakaś kamera?

- Niestety, nie. Najbliższa jest dopiero w pobliżu

głównego wejścia, ale wczoraj była wyłączona, popsuka się i technik do tej pory jej nie naprawił.

- Wspaniale - burknęła Jackie. - Ochrona nie potrafi zadbać o własny sprzęt.

- Jeszcze jedna rzecz, ale chyba niezbyt istotna - dodał Wardlow.

- Tak? - zainteresowała się Jackie, przeżuwając kęs hamburgera.

- Naprzeciwko zabawkarskiego jest niewielki sklepik z komputerami. Około siódmej kręciła się tam jakaś dziewczyna, bawiła się sprzętem. Sprzedawcy wydała się „podejrzana”, jak to określił.

- Co za dziewczyna? Ile mogła mieć lat?

- Facet mówi, że szesnaście, siedemnaście. Nie potrafił precyzyjnie powiedzieć. Sam ma ponad pięćdziesiąt i wszystkie nastolatki wyglądają dla niego tak samo. Równie dobrze mogła chodzić jeszcze do szkoły średniej albo być studentką.

Jackie pomyślała o grupce młodych ludzi, którą spotkała u PanesMcia, o ich nabożnym szacunku dla wykładowcy.

- To nie wszystko. - Wardlow od kilku chwil łakomie zerkał na frytki. - Poczęstowałabyś.

Jackie podsunęła mu kartonik.

- Ekspedientka ze sklepu zabawkarskiego też zapamiętała dziewczynę, ale zupełnie inaczej ją opisała. Facet od komputerów twierdzi, że miała krótko obcięte rude włosy, ta z zabawkarskiego, że ciemne, związane w koński ogon...

- Może to nie ta sama?

- Ta sama. Była ubrana w dzinsy i zieloną bluzkę, ale twarzy już nie potrafili mi opisać.

- Kręciła się po sklepie zabawkarskim?

- Weszła na chwilę, akurat wtedy, kiedy ekspedientka zajęta była uspokajaniem tych rozkrzyczanych smarkaczy. Miała wrażenie, że dziewczyna kogoś szuka, a kiedy ekspedientka chciała do niej podejść, uciekła.

- Sama?

- Tak. Zaraz potem pojawiła się Mellon, przerażona, że zaginał jej synek. Ekspedientka szukała razem z nią chłopca, potem zawiadomiła ochronę, a oni, kiedy dzieciak się nie znalazł, zadzwonili na policję. Była wtedy ósma wieczorem.

Jackie potarła skronie zmęczonym ruchem. - Oszaleć można. Rozmawiałam dzisiaj z obojgiem, z matką i z ojcem chłopca. Nawzajem się oskarżają, jedno obwinia drugie o uprowadzenie dzieciaka.

- A ty co myślisz? - zapytał Wardlow wyraźnie zaintrygowany.

- Albo jedno z nich kłamie, albo obydwójce się mylą, co oznaczałoby, że chłopca porwał ktoś obcy.

- Może powinniśmy poprosić, żeby przydzielili nam kogoś do pomocy - zastanawiał się głośno Wardlow.

- Po co?

- Nie wiem, żeby przeszukać okolicę, porozmawiać z ludźmi mieszkającymi w sąsiedztwie, przeprowadzić dokładniejsze dochodzenie.

- Wiesz doskonale, że Michelson nikogo nam nie da. Nie ma ludzi. Poza tym ciągle jest szansa, że to rodzinna awantura. Niepokoi mnie tylko jedno.

- Co takiego?

- Łatwość z jaką Leigh Mellon zgodziła się zrobić wariograf. Ani chwili się nie wahała. Już rozmawiałam z sierżant Kravitz, obiecała przeprowadzić test jutro po południu.

Wardlow odchylił się na krześle.

- A więc to ojciec, nie ona - powiedział zasepiony. - Jakie zrobił na tobie wrażenie?

- Wydawał się bardzo sympatyczny i bardzo zaniepokojony losem synka. Ma przy tym żelazne alibi, już zdążyłam je sprawdzić.

- Mógł kogoś wynająć, żeby uprowadził małego. Może tę dziewczynę, która kręciła się wczoraj po centrum?

- Ekspedientka widziała wyraźnie, że ona wyszła sama ze sklepu. Przecież nie wyniosła dzieciaka w kieszeni, prawda? Poza tym dzień wcześniej Panesivić wygrał sprawę w sądzie rodzinnym. Dlaczego akurat teraz miałyby planować porwanie?

Wardlow podsunął Jackie kartonik z frytkami, ale pokręciła głową.

- Skończ je, ja się już najadłam. - Spojrzała na zdjęcie chłopca. Podręczniki podają trzy powody porywania dzieci: okup, chęć wychowywania i molestowanie.

Wardlow żuł frytki. - Mellonowie są tak bogaci, że ktoś mógł się połasić na ich pieniądze, ale Leigh do tej

pory nie dostała żadnego telefonu, więc porwanie dla okupu chyba odpada.

- W tym rzecz, a przecież cały czas był ktoś w domu. Do Mellon specjalnie przyjechała siostra, została u niej na noc. Rozkoszna zresztą kobieta.

- Jeśli ktoś zatem porwał go, bo chce mieć dziecko, musi znać małego. Ktoś z krewnych? - Wardlow potarł ręką czoło.

- Niekoniecznie. Równie dobrze może to być ktoś obcy, niezrównoważony, samotny, komu brak miłości.

- Może powinniśmy sprawdzić w opiece społecznej, kto ostatnio chciał adoptować dziecko i komu z jakichś powodów nie przyznano prawa do adopcji.

- Dość naciągana teza, moim zdaniem. Najpierw sprawdzimy inne tropy.

- Molestowanie? - Wardlow zapisał uwagę w notesie.

- To już bardziej prawdopodobne.

- Masz listę nazwisk ludzi karanych kiedykolwiek za napastowanie dzieci?

- Przygotowują mi ją. Sprawdzimy alibi notowanych pedofilów?

- Spróbujemy, ale najpierw chciałabym porozmawiać z rodziną. - Jackie wskazała na leżącą przed nią kopertę. - Mam tutaj zdjęcia Mellonów i Panesiviciów. Weź je, jedź jeszcze raz do centrum handlowego i zorientuj się czy nikt tam nie widział kogoś z nich wczoraj wieczorem.

- Widzę, że w najbliższym czasie mogę się pożegnać z myślą o dniu wolnym.

- Dopóki nie znajdziemy chłopca, wykluczone.

- W czwartek jest przecież Dzień Niepodległości, zapomniałaś? Mieliśmy mieć długi weekend.

Jackie zerknęła na nadąsaną twarz kolegi.

- Brian.

Wardlow machnął ręką.

- W porządku, nie powinienem narzekać. Psia służba. Sarah zaczyna już... - zawiesił głos.

Jackie otworzyła notes i zaczęła wpisywać dane do komputera. Nie chciała krępować swojego partnera. Sarah była piękną dziewczyną o wspaniałej figurze. Pracowała w butik w centrum i dorabiała sobie, grając w telewizyjnych reklamówkach. Lubiła flirtować i kiedy pojawiała się na posterunku, wszyscy policjanci zupełnie tracili głowę.

Wardlow świata po za nią nie widział i chyba trochę się bał, że ich małżeństwo w pewnej chwili może się rozpaść z powodu jego pracy.

- Kaminsky... - zaczął, odchrząknąwszy. - Czy ty kiedykolwiek... - W tej samej chwili w drzwiach pojawiła się zaaferowana kobieta z plikiem papierów w dłoni.

- Słyszałam, że prowadzicie sprawę tego wczorajszego porwania? - rzuciła od progu.

- Staramy się - powiedziała Jackie. - Dużo miałaś telefonów, Alice?

Kobieta podniosła oczy do nieba. Alice Polson prowadziła posterunkowy sekretariat. Matka trojga dorastających dzieci, wszystkich wokół traktowałam tą samą su-

rowością - jak smarkaczy, którym od czasu do czasu potrzebna jest porządna reprimenda. Jackie bardzo lubiła jej bezpośredniość, ale panów zbijała ona z tropu.

- Mam wrażenie, że wszyscy w mieście widzieli już tego małego - powiedziała Alice, kładąc papiery na biurku Briana. - W kilku restauracjach, na stacjach benzynowych i przynajmniej w czterech parkach. Trzy osoby, wyobraźcie sobie, utrzymywały, że w pobliskim domu, a każda z nich mieszka w zupełnie innej dzielnicy.

- Zawsze tak jest, kiedy ogłaszamy apel do ludzi -

- mruknął Wardlow, przerzucając przyniesione przez Alice notatki. - Zasypują nas potem setkami zupełnie bezużytecznych informacji. Tutaj ktoś widział chłopca na promie z jakimś facetem.

- Wszystko należy sprawdzić, może w końcu trafimy na jakiś ślad - wtrąciła Jackie. - Trzeba jednak wymusić na Michelsonie, żeby przydzielił nam jeszcze kogoś do pomocy. Ja zrobię, ile mogę, ale najpierw muszę przesłuchać całą rodzinę chłopca, a jutro chcę być przy teście Leigh Mellon.

- Ach prawda, dzwoniła przed chwilą - przypomniała sobie Alice.

- Leigh Mellon?

Alice skinęła głową. - Kazała wam przekazać, że chłopiec miał przy sobie swoją ulubioną zabawkę, żółtą pluszową kaczkę.

- Nie było o tym słowa we wcześniejszych raportach.

- Jackie zapisała informację w notesie.

- Mellon mówi, że kompletnie o tym zapomniała, teraz dopiero uświadomiła sobie ten szczegół. Jackie wymieniła spojrzenia z Wardlowem i zerknęła na Alice.
- Niech się to nie przedostanie do prasy. Wiemy tylko my, nikt poza tym, dobrze? To nam pozwoli odróżnić prawdziwe informacje od fałszywych.
- Dzwonił młody człowiek, który twierdził, że udusił małego i wrzucił ciało do rzeki. Był też telefon od kobiety, która utrzymuje, że chłopiec jest zamknięty w pustym kościele, w ramach jakichś obrzędów satanistycznych. Żadne nie zostawiło oczywiście numeru ani nazwiska.
- Ludzie są poplątani - mruknął Wardlow z wyraźnym niesmakiem.
- Jeszcze jakieś telefony?
- Pięć. Wróżki i jasnowidze przekonani, że wiedzą, gdzie szukać Michaela.
- Obrzydliwe. Wykorzystują ludzką tragedię, żeby zwrócić na siebie uwagę.
- Nie mów tak - wtrącił Wardlow. - Każdy gliniarz zetknął się przynajmniej z jedną sprawą w swojej karierze, gdzie jasnowidz rzeczywiście okazał się pomocny.
- Musiałabym być już zupełnie zdesperowana, żeby korzystać z ich usług - mówiła Jackie. - Ale nawet wtedy ja sama wolałabym do nich zadzwonić, a nie żeby mi się narzucali. Zawracają głowę, naprowadzają człowieka na fałszywe ślady, traci się tylko czas.
- Jeden przyszedł nawet osobiście - wtrąciła Alice.

- Kto? Jasnowidz?

- Tak. Pomyślałam, że powinnam wam o nim opowiedzieć.

- Dlaczego? - zapytała Jackie.

- Był jakiś inny. Młody, w roboczym ubraniu. Chyba cieśla. Powiedział, że wszedł tu po drodze do pracy.

- Młody robotnik, który przyszedł do nas osobiście, twierdząc, że wie coś o sprawie? - powtórzyła Jackie.

Alice ponownie przytaknęła. - Miał wczoraj wieczorem widzenie. Mówił o jakimś dole w ziemi.

- Mam nadzieję, że zapisałaś jego nazwisko?

- Wszystkie poranne rozmowy są w komputerze. Tutaj masz wydruk - kobieta położyła kilka kartek na biurku Jackie. - Zapisałam też, gdzie chłopak pracuje.

- Świetnie. - Jackie rzuciła okiem na rejestr rozmów, potem spojrzała na Wardlowa. - To w South Hill, bardzo blisko miejsca gdzie mieszkają Mellonowie. Jestem z nimi umówiona po południu.

- Powinnaś już jechać - rzucił Brian. - Chcesz, żebym pojechał z tobą?

Jackie wahała się chwilę, wreszcie pokręciła głową. -- Zadzwoń, gdybym cię potrzebowała.

Porozmawiam z tym chłopcem i zaraz potem pojedę do domu Mellonów.

- Jak on się nazywa, Alice?

- Paul Arnussen. Nie wyglądał na takiego, który ma jasnowidzenia - dodała, idąc ku drzwiom. - Zdecydowanie nie wyglądał.

ROZDZIAŁ 6

Kiedy Jackie zobaczyła Paula Arnussena, natychmiast zrozumiała, co miała na myśli Alice. Chłopak naprawiał werandę w starym zabytkowym domu w South Hill. Wysoki, barczysty, ubrany w wypłowiałe dżinsy, klęczał i zmieniał właśnie deski w podłodze

— Paul Arnussen?

Odwrócił gwałtownie głowę. Przystojna twarz, mocno zarysowana szczęka, przenikliwe, bystre spojrzenie ciemnych oczu - wszystko to wywarło na Jackie dobre wrażenie.

- Tak, to ja. O co chodzi?

Na policzku, tuż poniżej ucha, chłopak miał różowy plaster. Musiał liczyć sobie około metra osiemdziesiąt wzrostu; wyglądał na wysportowanego.

Jackie pokazała swoją odznakę. - Detektyw Kamin-sky - przedstawiła się. - Był pan u nas na posterunku dzisiaj rano. Chciał pan podobno przekazać informacje na temat Michaela Panesivicia. Chłopak zdjął czapkę i wyciągnął rękę na powitanie, czym trochę zaskoczył nienawykłą do takiej kurtuazji -

Jackie. Miał jasne, lśniące włosy, które dziwnie kontrastowały z ciemnymi oczami i wysokimi, wydatnymi kośćmi policzkowymi.

W jego żyłach musiała płynąć równie bogata mieszanka krwi jak w jej własnych, pomyślała Jackie, przyglądając mu się uważnie. Nie potrafiła odgadnąć pochodzenia Arnussena, ale przypuszczała, że wśród jego przodków musieli być zarówno Indianie, jak Szwedzi.

- To, z czym do was przyszedłem, trudno nazwać informacją. Raczej... przecuciem. Tak silnym, że nie mogłem o nim nie opowiedzieć. - Trochę zażenowany przestąpił z nogi na nogę, założył z powrotem czapkę.

Naprawdę? Pomyślała Jackie cynicznie. A może popełniłeś brutalną zbrodnię, panie Arnussen, i chcesz sobie teraz zakpić z policji?

- Może pan opowiedzieć o tym swoim przecuciu? - zapytała głośno.

- Jadąc wczoraj wieczorem swoją ciężarówką, usłyszałem w radiu komunikat o zaginięciu małego chłopca. Kilka godzin później, już w łóżku, przed samym zaśnięciem, zobaczyłem nagle mroczny dół w ziemi i małe dziecko w tym dole.

- Chce pan powiedzieć, że dziecko zostało zakopane żywcem.

Arnussen pokręcił głową i spojrzał Jackie prosto w oczy. W jego wzroku była jakaś hipnotyczna siła.

- Nie. To raczej przypominało ziemiankę. Zna pani książeczki dla dzieci o Króliku Piotrusiu i jego domku

norce, w której są małe mebelki i obrazki na ścianach? To było coś takiego.

- To wszystko?

- Był jeszcze kurczak.

- Kurczak? - powtórzyła niepewna, czy chłopak sobie z niej nie kpi.

- Widziałem niewyraźnie, jak za mgłą. Nie wiem, czy to był prawdziwy kurczak, czy jakaś figurka, może zabawka. Bardzo dekoracyjna, śmieszna.

- Nie jestem ekspertem od kurczaków - rzuciła Jackie chłodno. Dla mnie to po prostu zapakowany w folię drób w sklepie spożywczym.

- Miastowa dziewczyna? - uśmiechnął się.

- Można tak powiedzieć.

- Ten kurczak miał na pewno pióra.

- Z czego pan wnioskuje, że chłopiec jest gdzieś na wsi? W miejscu, w którym są zwierzęta hodowlane?

- Nie wiem. Nie widziałem dobrze. To była migawka. Tak jakbym przez moment patrzył na otoczenie oczami tego małego, jeśli mnie pani rozumie. Miałem wrażenie, że czuję i widzę to, co on.

- Może mi pan powiedzieć coś więcej o tym... widzeniu?

- Zdawał się bardzo wystraszony, przerażony. Płakał, wołał mamę. Siedział na podłodze, kołysał się do przodu i do tyłu. Miał niebieskie spodenki i czerwoną koszulkę.

Tę wiadomość podawały akurat wszystkie stacje te-

lewizyjne i radiowe. Jackie słuchała relacji z nie wyrażającą nic miną.

- Trzymał coś w rączkach. Żółtą zabawkę, rodzaj przytulania, nie umiem jej dokładnie opisać.

Jackie poczuła dreszcz przebiegający jej po plecach. Spojrzała uważnie na Arnussena, na jego muskularne, silne ręce i atletyczną sylwetkę.

- Gdzie pan był wczorajszego wieczoru? - zapytała, siląc się na obojętność. - Chodzi mi o to, gdzie usłyszał pan komunikat radiowy o zaginięciu chłopca.

- Na północnych obrzeżach miasta. W pobliżu centrum handlowego?

- Nie, kilka mil dalej, właściwie już za miastem. Jest tam zjazd z autostrady do kanionu, często się tam wyprawiam przy ładnej pogodzie.

- A więc wybrał się pan na spacer za miasto?

.- Wychowałem się na wsi i czasem za nią tęsknię - powiedział cicho. - Nienawidzę mieszkać w wielkim mieście.

- Ktoś z panem był?

- Wczoraj wieczorem? Nie, byłem sam.

- Przez cały wieczór?

- Skończyłem pracę o piątej po południu, pojechałem do domu, wziąłem prysznic, zrobiłem sobie coś do jedzenia, a potem...

- Gdzie pan mieszka? - przerwała Jackie. Chłopak podał ten sam adres, który Alice zapisała rano w komputerze.

- To gdzieś na Canon Hill, prawda? Kilka mil na zachód stąd.

- Tylko dzielnica znacznie gorsza niż ta. Mieszkam w suterenie i głównie zajmuję się remontami tutaj, na -South Hill.

Jackie znów zapisała coś w notesie. - Niech pan mówi dalej, panie Arnussen. Zrobił pan sobie coś do jedzenia....

- Wyszedłem z domu około szóstej i pojechałem do kanionu. Wróciłem, kiedy było już ciemno. W drodze powrotnej usłyszałem komunikat.

- Skąd to skaleczenie na twarzy?

- Myśli pani o tym? Zupełnie zapomniałem. Zaciałem się przy goleniu dzisiaj rano. - Dotknął dłonią plastra, wciąż wyraźnie zaskoczony pytaniem.

- Nie używa pan maszynki?

Arnussen spojrział na nią spokojnym wzrokiem. - Pyta pani taki tonem, jakby to było przestępstwo. Przepraszam, ale wolałbym pracować podczas rozmowy z panią. Chcę skończyć przed zmierzchem.

- Jutro nie zamierza pan pracować?

- Jutro jest niedziela. Wyjeżdżam do Kalispell, do przyjaciela.

Jackie usiadła na stopniach werandy z notesem na kolanach, kiedy Paul zaczął zbierać przegniłe deski i układać je obok podjazdu.

- To skaleczenie na twarzy...

Arnussen wyprostował się, zdjął czapkę i otarł pot z czoła.

- Nie mogę używać maszynki elektrycznej. Mam bar-

dzo mocny zarost, jeśli nie ogolę się żyletką albo brzytwą, późnym popołudniem muszę się golić ponownie. Poza tym - ciągnął - nigdy nie umiałem ogolić się dokładnie. Zawsze się spieszę i natychmiast zacynam, a potem zaczynam biegać po domu w poszukiwaniu plastra.

Trafił w czuły punkt, jej zdarzało się ciągle to samo. Co wcale nie oznaczało, że Paul Arnussen mówi prawdę. Skaleczenie na kostce pod skarpetką było zupełnie niewinną sprawą, efektem pośpiechu i nieuwagi. Ranka na policzku Arnussena mogła być śladem zadany przez przerażone małe dziecko walczące z porywaczem.

- Wrócił pan wczoraj ze spaceru około dziewiątej?

- Nie, po dziesiątej, może nawet około jedenastej.

- Mówił pan, że pojechał za miasto, kilka mil na północ i że postanowił wrócić, kiedy zaczęło zmierzchać. Dlaczego zabrało to tyle czasu?

- Kłopoty w drodze powrotnej. De ma pani lat, detektywie Kaminsky?

Jackie spojrzała na niego zaskoczona. - Dlaczego pan pyta?

Wskazał na jej otwarty notes. - Podziwiam panią. Ze zdecydowała się pani uprawiać taki ciężki zawód. Musi być pani naprawdę dobra, skoro w tak młodym wieku została detektywem.

- Wcale nie jestem taka młoda - ucięła, niepewna, czy chłopak nie próbuje jej zagadywać. - Mam trzydzieści dwa lata. Każdy posterunkowy może starać się o awans na detektywa po czterech latach służby.

- Co wcale nie znaczy, że go otrzyma, prawda? - Arnussen przeniósł następną stertę desek na trawnik przy podjeździe. - Musiała być pani naprawdę dobra, skoro przeszła pani wszystkie testy i zdała egzaminy - powtórzył.

- A pan skąd to wie?

- Mam przyjaciela w Montanie, który jest policjantem. Od wielu lat pracuje w Great Falls, nazywa się Clint Paget. Teraz chyba jest porucznikiem.

Jackie zapisała sobie nazwisko. Z każdą chwilą coraz bardziej się upewniała, że sprawdzenie danych dotyczących Paula Arnussena zajmie jej i Wardlowowi sporo czasu.

- Pochodzi pani ze Spokane?

Paul zdemontował już podłogę werandy, a teraz wyjął latarkę w torby i wszedł pod spód konstrukcji, żeby sprawdzić fundamenty.

- Nie - odpowiedziała Jackie. - Mieszkałam w Los Angeles, tam zaczęłam pracę w patrolu, dopiero kilka lat temu przeniosłam się tutaj i próbuję walczyć z przemocą na ulicach.

- Po przeniesieniu nie musiała pani zaczynać od początku, od pracy w patrolu? - Arnussen podniósł się i wychylił głowę znad szkieletu podłogi.

- Owszem, musiałam, ale miałam już doświadczenie, więc nie czekałam długo na awans.

- Ale detektywem nie jest pani chyba zbyt długo, mam rację?

- Od dwóch lat - powiedziała Jackie chłodno, zła na siebie, że dała się wciągnąć w prywatne rozmowy. Gdzie ona ma rozum? Wielu zboczeńców czerpie swoją siłę z tego, że potrafią być czarujący, uwodzicielscy, wiedzą, jak manipulować i swoimi ofiarami, i ludźmi z policji. Zachowują się dokładnie tak, jak w tej chwili zachowywał się Arnussen. Najpierw deklarują chęć pomocy, po czym sprytnie zbaczają w rozmowie ze spraw zawodowych na prywatne, panując dzięki temu nad tokiem przesłuchania i samym przesłuchującym.

- Pozwoli pan, że zajrzę do ciężarówki? - zagadnęła, przerywając konwersację.

- A niby dlaczego? Interesuje się pani ciężarówkami, detektywie Kaminsky? To bardzo pospolita marka i model.

Paul Arnussen wpatrywał się w nią takim wzrokiem, jakby czytał w jej myślach, i bawiło go to, co w nich znajduje.

- Chcę zajrzeć do środka - powtórzyła, patrząc mu prosto w oczy.

- A gdybym odmówił?

- Wtedy będę musiała wystarać się o nakaz rewizji, pamiętając o pańskich oporach.

Arunssen wyskoczył lekko z dołu, który został po zdjęciu podłogi werandy i stanął obok siedzącej na schodach Jackie, tak blisko, że czuła zapach jego potu, zapach ziemi pod werandą i drewna.

- Czy jestem podejrzanym, detektywie Kaminky?

- Jest pan prawdziwym jasnowidzem, panie Arnussen? Jeśli nie, jest pan bez wątpienia podejrzany. - Jackie nie dała się wyprowadzić z równowagi.

Mężczyzna wyprostował się i oparł lekko o kolumnkę przy stopniach. - Kilka razy zdarzały mi się podobne doświadczenia - oznajmił wreszcie. - Nie lubię o tym mówić. Zaczęło się w dzieciństwie.

- Miał pan widzenia?

- Przebłąski. Pierwszy przyszedł, kiedy miałem siedem lat. Zobaczyłem konia zaplątanego w druty kolczaste i powiedziałem o tym ojcu. Pojechaliśmy na prerię i pięć mil od domu znaleźliśmy klacz. Gdybyśmy jej nie uwolnili, wykrwawiłaby się na śmierć.

- A następne? - zapytała Jackie z udaną obojętnością. - Te, jak je pan nazywa, widzenia, powtarzały się?

- Nie szukałem okazji, jeśli o to pani chodzi. Od dawna nie zdarzyło mi się tak silne i wyraźne jak ostatniej nocy. Straszne. Ten mały...

- Czy pan go zna? Zetknął się pan kiedyś z Michae-lem Panesiviciem?

- A niby jakim sposobem?

- Tutaj, w okolicy, skoro tu pan pracuje. Mieszka tu jego rodzina i niania.

- Rzeczywiście, dom jego dziadków jest niedaleko stąd. Ogromna rezydencja, przypomina pałac.

- Właśnie - przytaknęła Jackie, chociaż nie miała pojęcia, jak wygląda dom Mellonów. Określenie „pałac” dobrze pasowało do jej wyobrażeń na temat stylu życia eme-

rytowanego sędziego i jego bliskich. Coraz bardziej niepokoiła się o bezpieczeństwo małego. Dopiero teraz zaczęła myśleć, że Michaelowi może coś grozić, że być może, już nie żyje.

- Mogę obejrzeć ciężarówkę, panie Arnussen? Chłopak wzruszył ramionami i rzucił na trawę obcegi, którymi cały czas się bawił.

- A czemu nie?

Podeszli razem do samochodu, Paul otworzył kabinę i cofnął się, by Jackie mogła zajrzeć do wnętrza. W środku było wyjątkowo czysto, panował idealny porządek. Z tyłu za siedzeniami leżał zwój liny, trójkąt awaryjny i metalowa skrzynka z narzędziami. W schowku pod przednią szybą znajdowało się kilka map, dowód rejestracyjny i bloczek z fakturami.

- Dba pan o wóz - rzuciła Jackie, przechodząc z Arnussenem na tył wozu. Paul bez słowa uniósł plandekę. W środku stała ogromna drewniana skrzynia wypełniona narzędziami, taczki, a obok leżała złożona płachta brezentowa. Jackie uniosła jej róg i zamarła na widok rdza-wobrazowej plamy.

- Skąd to? - zapytała ostro.

Arnussen stał obok i małym nożykiem ostrugiwał dębowy kołek. Podniósł głowę.

- Co takiego?

- Ta plama na brezencie.

Chłopak podszedł bliżej, wionął od niego mocny, męski zapach potu. - Najprawdopodobniej krew - odparł,

patrząc na Jackie z obojętnym wyrazem twarzy. - Zaszła krew. Ma pani zamiar mnie aresztować?

- Skąd się tu wzięła? - raz jeszcze zapytała Jackie, czując przyspieszone bicie serca.

- Pies mi wpadł wczoraj pod koła, kiedy wracałem wieczorem do domu. Załadowałem go na skrzynię i zawiozłem do najbliższego domu. Stwierdziłem, że tam być może mieszkają jego właściciele. Kiedy dotarłem na miejsce, już nie żył.

- Twierdzi pan więc, że to psia krew?

- Oczywiście. A nihy co innego? - Chłopak zdawał się lekko zirytowany.

Jackie milczała przez chwilę. Okoliczności świadczyły przeciwko Arnussenowi. Czy powinna potraktować go jak oskarżonego? Może rzeczywiście pojechał na spacer, może naprawdę pies wpadł mu pod samochód? Będzie to musiała jakoś sprawdzić. Poza tym, jeśli on porwał Michaela, dla dobra dziecka lepiej będzie, jeśli policja wstrzyma się na razie z aresztowaniem.

- Czy pozwoli pan, że zabiorę tę płachtę?

- Potrzebny pani brezent?

Puściła mimo uszu sarkastyczne pytanie. - Oddam go tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Proszę bardzo. - Arnussen wyjął płachtę i wręczył Jackie.

Dziewczyna położyła ją na masce swojego wozu i otworzyła ponownie notes. - Mógłby pan to podpisać? - poprosiła, podsuwając Paulowi kartkę.

- Co to takiego?

- Zwykła formalność. Oświadczenie, że wobec braku nakazu wydaje mi pan ten materiał z własnej nieprzymuszonej woli.

- Oczywiście, podpiszę. Proszę mi pożyczyć swój długopis.

Podpis Paula okazał się wyjątkowo elegancki; litery były zgrabne, a linie mocne i zdecydowane. - Coś jeszcze? - zapytał, zwracając Jackie notes i długopis.

- Tak. Może mi pan wytłumaczyć, jak dojechać na farmę, na którą zawiózł pan psa?

- Nie tylko. Mogę podać pani dokładny adres, telefon i nazwisko tej kobiety. - Wyjął z tylnej kieszeni portfel i wręczył Jackie kartkę.

- Po co wziął pan nazwisko tej kobiety? - zapytała, przepisując dane do swojego notesu.

- Była bardzo przybita, że straciła psa. To był piękny pies pasterski, australijski blue heeler. Mój przyjaciel w Kalipsell hoduje właśnie heelery. Jedna z jego suk oszczeniła się kilka tygodni temu. Dlatego jadę do niego jutro. Chcę kupić od niego malucha i dać tej kobiecie w zamian za przejechanego.

- Miły gest - mruknęła Jackie. - Jechać taki kawał drogi do Montany, ponad dwieście mil, żeby wyświadczyć przysługę obcej osobie.

- Taki ze mnie miły facet. - Arnussen spojrzał jej prosto w oczy tym swoim bystrym, przenikliwym spojrzeniem i cały dotychczasowy chłód Jackie prysł w jednej chwili.

- Posłuchaj, Arnussen, nie wiem, w co grasz, ale jeśli masz jeszcze coś do powiedzenia, powiedz to teraz i oszczędź nam zachodu.

Na twarzy chłopaka odmalowało się zdumienie. - Nie mam pani nic więcej do powiedzenia, detektywie - rzucił chłodnym głosem, ruszając w kierunku werandy. - Tylko jedno: mam nadzieję, że znajdzie pani tego chłopca, zanim przytrafi się prawdziwe nieszczęście. Po tym świecie chodzą potwory, prawdziwe potwory.

Jackie wrzuciła brezent do bagażnika i usadowiła sifi za kierownicą swojego wozu, tymczasem Arnussen wróciwszy do pracy zaczął układać przegniłe deski ze starej podłogi w stertę koło podjazdu. Wywołany przez radio Wardlow odezwał się natychmiast - na szczęście siedział jeszcze na posterunku i sprawdzał napływające od rana informacje telefoniczne.

- Potrzebuję twojej pomocy - rzuciła Jackie, słysząc głos kolegi.

- Jasne. W czym problem?

Jackie podała nazwisko i adres właścicielki farmy, spisane z kartki Paula. - Dowiedz się, czy wczoraj wieczorem został przejechany pies tej kobiety. Żadnych rozmów telefonicznych, niech ktoś pogada z nią osobiście.

- Dobrze.

Odczekała, aż jej partner zapisze przekazane informacje.

- Sam się tym zajmę. I tak tutaj już wszystko skoń-

czyłem. Miałem jechać do centrum handlowego, a ta kobieta mieszka zaledwie kilka mil na północ od centrum, prawda?

- Jeśli w ogóle istnieje. Pośpiesz się, sprawa jest naprawdę pilna - przynaglała Jackie. - Będę pilnowała chłopaka, dopóki nie sprawdzisz jego zeznań, a mam po południu kolejne spotkanie.

- Już wyjeżdżam. Jeśli nie będzie korków, za pół godziny skontaktuję się z tobą.

- O ile to możliwe, chciałabym też zobaczyć ciało psa. Muszę mieć absolutną pewność, czy historia opowiedziana przez Arunssena jest prawdziwa.

Wardlow nie dopytywał już o szczegóły, tylko potwierdził odebranie polecenia i wyłączył się. Jackie odwiesiła mikrofon, usiadła wygodniej i czekając na wiadomości, zajęła się obserwowaniem Paula Arunssena oraz przeglądaniem notatek.

Chłopak świetnie wiedział, że jest pilnowany, ale pracował tak jak wcześniej, nie okazując zdenerwowania. Pod dom podjechała ciężarówka z nowymi deskami. Paul pomógł kierowcy rozładować drewno i powrócił do pracy. Kiedy usunął do końca przegniłą podłogę, przysiadł na stopniach werandy i pociągnął solidny łyk ze srebrnego termosu. Potem otworzył pojemnik na śniadanie, wyjął z niego kanapki i jabłko. Po skończonym posiłku podszedł do wozu Jackie.

- Mużę jechać po materiały - powiedział, nachylając się do okna. - Zamierza pani jechać razem ze mną?

- Owszem, jeśli ruszysz teraz. Wysłałam kolegę na farmę, której adres podałeś. Ma sprawdzić twoje zeznania. Może lepiej poczekać, za kilka minut powinnam mieć odpowiedź, wtedy będziesz mógł robić, co chcesz.

--Ledwie skończyła zdanie, zatrzeszczało radio i w głośniku rozległ się głos Wardlowa.

- Zgadza się? - zapytała Jackie niespokojnie.

- Widziałem psa. Niewielki, szary, dość paskudnie pokiereszowany. Kobieta wyglądała tak, jakby przepłakała całą noc.

- W porządku. Dzięki. - Jackie rozłączyła się i odwiesiła mikrofon, po czym podniosła wzrok na Paula Arunssena, który obserwował ją ze spokojnym wyrazem twarzy.

- Możesz jechać - oznajmiła krótko.

Chłopak w milczeniu skinął głową i podszedł do swojej ciężarówki. Kiedy odjechał, Jackie włączyła silnik i ruszyła w stronę domu Mellonów.

ROZDZIAŁ 7

Jackie nigdy chyba nie miała okazji być w tak okazałej rezydencji, jak ta stanowiąca własność rodziców -Leigh Mellon. Dwupiętrowa budowla z piaskowca z kła-sycystycznym portykiem imponowała skalą oraz elegancją proporcji.

Brama otworzyła się elektronicznie, a przy drzwiach czekała na gościa pokojówka, która wprowadziła panią detektyw do holu z marmurową posadzką, wyposażonego w kilka tekowych mebli o ostentacyjnej prostocie.

Nad długą konsolą wisiał obraz przedstawiający dwa walczące pawie z szeroko rozłożonymi wielobarwnymi ogonami. Na ich widok Jackie natychmiast przypomniała sobie dziwną opowieść Paula Arnussena o kurczaku i ziemiance. Patrząc na malowidło sięgnęła po swoją odznakę.

Kobieta skinęła głową.

- Pani Mellon czeka na panią. Proszę za mną.

Ubrana w szarą sukienkę, pulchna, ciemnowłosa pokojówka w białych ortopedycznych butach była chyba, na ile Jackie mogła rozpoznać jej akcent, Filipinką.

Przeszły razem przez amfiladę pokoi wprawiających

w niemy zachwyty - wspaniałe, utrzymane w spokojnych beżach dywany, tekowe meble, przyciemnione oświetlenie, obite jasną skórą kanapy i fotele. Musiało to wzbudzić zachwyty wychowanej w ubóstwie dziewczyny.

Gdybym wygrała pięćdziesiąt milionów na loterii, myślała Jackie smętnie, pewnie też zamarzyłabym o takim domu.

Pokojówka wprowadziła Jackie do pokoju o ogromnych francuskich oknach wychodzących na ogród. Rodzina Mellonów musiała lubić to wnętrze i spędzać w nim dużo czasu. Świadczyły o tym liczne kanapy, fotele, półki z książkami, sekretery ustawione pod ścianami. Przy jednym z okien siedziała kobieta zajęta tkaniem na niewielkich krosnach.

Ku swemu zdumieniu Jackie stwierdziła, że kolory wątku i osnowy w pełni harmonizują z tonacją całego wystroju domu.

- Madame, detektyw Kaminsky.

Barbara Mellon podniosła głowę znad robótki. Była to starsza pani bez śladu makijażu na twarzy, szczupła i wysoka jak jej córki. Miała siwe włosy obcięte na pazia, spod grzywki bystro spoglądały duże, błękitne oczy. Kobieta ubrana była w spłowiałe džinsy i niebieski T-shirt, na nogach miała skórzane sandały i białe skarpety.

- Dzień dobry, pani detektyw - mówiąc to, wskazała najbliższe sobie krzesło. - Proszę usiąść. Nie odchodź, Moniko, będę cię jeszcze potrzebowała.

Pokojówka zatrzymała się w progu i wróciła do po-

koju. Jackie przypomniała sobie, co Stefan Panesivić mówił o swojej byłej teściowej i o jej snobizmie. Tymczasem następne słowa, które wypowiedziała, zdawały się całkowicie przeczyć temu negatywnemu obrazowi.

- Użyłam tej pomarańczowej włóczki, którą wybrałyśmy, ale teraz nie jestem pewna, czy pasuje. Jak myślisz, Moniko?

Pokojówka zbliżyła się do krosna.

- Za jaskrawa - oceniła po namyśle. - Przy tej zgaszonej zieleń dobrze wyglądałby brąz.

- Ja też tak uważam - przytaknęła Barbara i skrzywiła się. - Niech to diabli. Teraz muszę to wszystko spruć i zaczynać od początku. Trudno.

- Podać kawę? - zapytała pokojówka, wychodząc.

- Tak, proszę. A może pani woli herbatę? - Barbara spojrzała znad krosna na Jackie.

- Może być kawa, ale nie musi sobie pani robić kłopotu z mojego powodu.

- Nie robię sobie kłopotu. - Barbara była lekko rozbawiona. - Nie zdążyłam zjeść dzisiaj lunchu i jeśli nie wypiję filiżanki kawy, zaraz zasnę. Przynieś też ser i owoce, Moniko, bardzo proszę.

- Nigdy jeszcze nie widziałam nikogo przy krosnach - powiedziała Jackie, gdy pokojówka zniknęła. - Czy tkactwa trudno się nauczyć?

- Jak wszystkiego. Nauczyć się może nietrudno, ale robić to dobrze - bardzo - odparła Barbara z pogodnym uśmiechem.

- Chodziła pani na jakieś kursy?

Uśmiech znikł z twarzy Barbary, kobieta raptem spoważniała.

- Nie przyszła tu pani, żeby prowadzić grzecznościowe rozmowy o moich hobby. Przejdźmy do rzeczy, dobrze?

- Oczywiście. - Jackie wyjęła z torby swój nieodłączny notes. - Pani wnuk zniknął wczoraj między godziną siódmą a ósmą wieczorem. Czy domyśla się pani, gdzie może w tej chwili przebywać?

- Przypuszczam, że jest u swojego ojca. - Barbara przesunęła koszyk z włóczką. - Drań - dodała z wyraźną złością w głosie.

- Niezbyt pani lubi zięcia.

- Byłego zięcia. Rozeszli się w styczniu. Dzięki Bogu. Jackie czekała w milczeniu. Czowała, że Barbara powie

znacznie więcej, jeśli nie będzie jej ponaglała pytaniami.

- Powinam była pomyśleć o tym wcześniej - stwierdziła Barbara ponuro.

- O czym?

- O porwaniu Michaela. Gdybym go gdzieś ukryła, nie doszłoby do nieszczęścia. A teraz? Bóg wie, gdzie się znajduje, co się z nim dzieje. Dawno temu powinam była to zrobić i oszczędzić małemu i Leigh cierpienia.

- To bardzo poważne przestępstwo.

Ledwie Jackie wypowiedziała te słowa, uświadomiła sobie jak głupio, banalnie i nietrafnie zabrzmiały. Ludzie pokroju Barbary Mellon nie boją się łamać prawa. W swoich pieniądzech, pozycji i władzy upatrują swego

rodzaju tarczy chroniącej ich przed przykrymi konsekwencjami własnych postępów.

- Mogłaby mi pani powiedzieć, dlaczego nie lubi Stefana Panesivicia?

Barbara wzruszyła ramionami i zerknęła na zegarek, po czym założyła ręce za głowę. - Monika mogłaby już wrócić z tą kawą, umieram z pragnienia. - Spojrzała na Jackie. - Od początku mi się nie podobał. Czułam w nim awanturnika, w dawnym znaczeniu tego słowa, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

- Podejrzewała pani, że nie ma uczciwych zamiarów wobec Leigh, że tak naprawdę być może wcale jej nie kocha, czy tak?

Starsza pani parsknęła krótkim śmiechem. - Stefan? On nie ma w sobie krztyny uczciwości. Według mnie ożenił się z Leigh, bp uznał, że trafiła mu się Amerykanka z pozycją i pieniędzmi, dzięki której ułoży sobie życie w Stanach. Ludzie z jego klasy szukają tylko okazji, by wykorzystać innych.

Jackie z każdą chwilą nabierała coraz większej niechęci do Barbary. Określenie „ludzie z jego klasy” było właściwie obelgą, ale pozostawiła je bez komentarza.

- Myśli pani, że on kocha swojego syna?

- Myślę, że on go nie tyle kocha, ile chce dla siebie. To dwie zupełnie różne rzeczy.

- A pani kocha małego, pani Mellon?

- Bardzo. To mój jedyny wnuk i tak już chyba Zoltanie. Kiedy pomyślę, że mogłabym go stracić...

Machinalnie wzięła do ręki czólenko i zapatrzyła się w okno.

- Dlaczego mówi pani, że nie będzie miała więcej wnuków?

- Nie przypuszczam, by Leigh zdecydowała się ponownie wyjść za mąż po poprzednich doświadczeniach, a Adrienne nie może mieć dzieci. Nie wiem dokładnie dlaczego, nigdy nie pytałam o szczegóły, ale diagnoza wydaje się jednoznaczna. Od lat bezskutecznie starają się z Harlanem, by zaszła w ciążę, i nic. Adrienne jest bardzo nieszczęśliwa z tego powodu.

Jackie przypomniała sobie złośliwą jak osa siostrę - Leigh. Nie podejrzewałyby jej o tęsknotę za dzieckiem. Zapisała sobie ostatnie słowa Barbary Mellon i opatrzyła je wykrzyknikiem.

- To dziwne, z kimkolwiek rozmawiam, każdy jest przekonany, że Michael jest przetrzymywany przez któregoś z członków drugiej strony rodziny - powiedziała, starannie ważąc słowa. Stefan uważa, że to państwo ukrywają małego.

- Do czego pani zmierza, detektywie?

- Chcę powiedzieć, że nikt jakoś specjalnie nie rozpacza z powodu zniknięcia chłopca. Okazujecie raczej złość, zdenerwowanie, ale nie zamartwiacie się.

- A czy policja ma powody przypuszczać, że uprowadził go ktoś obcy?

Jackie pomyślała o silnych, nawykłych do pracy rękach Paula Arnussena, jego przenikliwych oczach, o pla-

mie krwi na brezencie, dziwnych opowieściach na temat widzeń, ziemiance i kurczaku.

- Nic określonego - odpowiedziała. - Domyślam się, że nikt do państwa nie dzwonił z żadnymi żądaniem czy pogrozkami?

Barbara pokręciła głową przecząco. - Oczywiście, że nie. Gdyby było inaczej, natychmiast byśmy panią zawiadomili.

- Czyli w domu ktoś stale czuwa przy telefonie.

- Tak, jesteśmy gotowi w każdej chwili odebrać telefon z żądaniem okupu. Wiemy, jak się to odbywa.

Raz już przeżyliśmy coś podobnego. - W głosie Barbary słychać było przygnębienie.

Jackie nastawiła uszu.

- Ktoś z rodziny został kiedyś porwany dla okupu.

Barbara uśmiechnęła się na widok Moniki, która pojawiła się w progu z zastawioną po brzegi tacą. Kiedy ustawiła już na stole zastawę, dzbanek, owoce, sery i ciastka, Barbara rozlała gorący napój do filiżanek z brązowej glinki, ozdobionej zielono-rdzawym wzorem.

- To jeszcze jedno moje hobby - powiedziała, - widząc, że Jackie z zainteresowaniem przygląda się naczynkom. W ogrodzie mam małą pracownię ceramiczną z piecem i kołem garncarskim.

- Są śliczne.

- Dziękuję. Proszę częstować się owocami.

Jacki wzięła kilka winogron i zerknęła w swoje notatki. - Wróćmy do porwania.

- To było dawno temu - zaczęła starsza pani w zadumie. - Około dwudziestu lat. Adrienne mogła mieć wtedy dwanaście, trzynaście lat. Uczyła się w prywatnej szkole w Kalifornii i pewnego dnia zniknęła. Zaraz potem dostaliśmy telefon z żądaniem dwustu tysięcy dolarów okupu i obietnicą uwolnienia dziecka.

- Co było dalej?

Barbara wzruszyła ramionami.

- Alden nie zdążył jeszcze zgromadzić żądanej sumy, gdy Adrienne trzy dni po zniknięciu pojawiła się w szkole, cała i zdrowa.

Barbara zjadła kawałek sera i nabiła na widelczyk niewielką porcję melona. Mogło się zdawać, że wspomnienie nie robi na niej najmniejszego wrażenia.

- Gdzie się przez ten czas podziewała pani córka? Kto ją uprowadził?

- Nigdy do tego nie doszliśmy. Adrienne odmawiała odpowiedzi na wszelkie pytania.

- Musieli państwo umierać z niepokoju? Nie można z niej było wydobyć żadnej informacji, choćby siłą?

Barbara zaśmiała się sucho. - Kiedy Adrienne się uprze, nikt jej do niczego nie zmusi. - Zapatrzyła się w zadumie na swoją filiżankę. - Daliśmy córce spokój - podjęła po chwili swoją opowieść. - W naszym życiu tyle się wtedy działo. Przeżywaliśmy bardzo gorący okres. - Alden prowadził kampanię o wybór na wysoki urząd. Ważne, że córce niż się nie stało. Nie mieliśmy czasu rozmyślać nad jej eskapadami.

Jackie sporządziła kolejną notkę. Jej dzieciństwo wyglądało podobnie, pomyślała ze smutkiem. Jako nastolatka mogła przepaść na kilka dni i nikt nie zauważał jej zniknięcia, nikt się nie przejmował, nikt nie próbował jej szukać czy robić po powrocie wyrzutów.

Może istniały pewne podobieństwa między bardzo bogatymi i bardzo biednymi, jednak lokując jednych i drugich poza obszarem postaw charakterystycznych dla klasy pracującej, jakby zapewne określiła to Barbara Mellon.

Teraz kobieta bacznie obserwowała Jackie, jakby próbowała czytać w jej myślach. - Czy Stefan mówił pani, że jestem snobką?< - zapytała wreszcie.

- W rzeczy samej, tak właśnie panią nazwał - odparła Jackie spokojnie.

Barbara skrzywiła się z niesmakiem. Chciała coś powiedzieć, ale przez sięgające podłogi francuskie okno wszedł właśnie mężczyzna w sztruksowych spodniach i znoszonej brązowej kurtce; wysoki, wyprostowany, o delikatnej, szlachetnej twarzy. Jackie uderzyło od razu podobieństwo między nim i Leigh.

- Barbie? - zagadnął. - Chodź obejrzeć moje cynie, właśnie zaczynają kwitnąć.

- Cieszę się, kochanie. - Barbara rzuciła Jackie krótkie spojrzenie. - Mój mąż - powiedziała, a potem, wyraźnie spięta, szybko podeszła do mężczyzny i szepnęła mu coś na ucho.

- Policja? - w łagodnych oczach mężczyzny pojawiło się zaniepokojenie.

- Pani Kaminsky jest detektywem, Aldenie. Przyszła zamienić ze mną kilka słów. Może wypijesz z nami kawę?

Pokręcił głową, wyraźnie strapiony.

- Chciałem tylko, żebyś zobaczyła moje kwiaty.

- Za chwilę do ciebie przyjdę, kochanie. Tylko pani wyjdzie.

- Po co przyszła?

- Taka mała prywatna wizyta. Pani interesuje się moimi tkaninami

- Leigh przywiezie dzisiaj Michaela? - zapytał starszy pan, wkładając ręce do kieszeni.

Jackie na te słowa poderwała głowę, tymczasem Barbara spokojnie usiadła w fotelu i wzięła do ręki filiżankę.

- Nie, dzisiaj nie.

- Ale przecież obiecałaś, że Michael przyjedzie dzisiaj do nas. - Mellon był najwyraźniej ciężko zawiedziony. - Mówiłaś, że pomoże mi nakładać ziemię do doniczek.

- Nie dzisiaj, Aldenie - uspokajała męża Barbara. - Idź już, powinieneś podlać storczyki. Za kilka minut przyjdę do ciebie.

- I przyprowadzisz Michaela?

- Nie dzisiaj - powtórzyła cierpliwie. - Może jutro. Mellon zamknął za sobą francuskie okno i poszedł przez

trawnik w kierunku oranżerii. W pokoju zaległa cisza.

- Alden przeżył kilka lat temu poważne załamanie nerwowe - odezwała się wreszcie Barbara. - Wiele miesięcy spędził w klinice, wreszcie pozwolono mu wrócić

do domu, ale nigdy nie odzyskał dawnego zdrowia i pewnie nigdy go nie odzyska. Zajmuje się swoimi kwiatami i chyba jest szczęśliwy.

- Myśli, że wkrótce zobaczy Michaela.

- Uwielbia wnuka. Helen przyprawdza go do nas prawie codziennie i Alden przywykł do obecności małego.

- Helen?

- Helen Philips. Mieszka niedaleko stąd, opiekuje się Michaeliem, kiedy Leigh prowadzi zajęcia w szkole. Znam ją od dziecka.

- Tak, teraz sobie przypominam, jej nazwisko było wymienione w pierwszym raporcie. Sąsiadka.

- Ma dom dosłownie dwie ulice stąd. Biedaczka, musi teraz umierać z niepokoju. Bardzo kocha małego.

Jackie pomyślała w duchu, że chciałaby wreszcie spotkać kogoś, kto umierałby z niepokoju, ale nie powiedziała ani słowa.

- Nie miałam serca mówić mu o zaginięciu Michaela. Nie zrozumiałby albo znowu by się załamał.

- Rozumiem. - Jackie zawahała się. - Dla porządku muszę panią spytać, co pani robiła wczoraj między szóstą i dziewiątą wieczorem.

- Siedziałam tutaj i tkłam - odparła Barbara spokojnie.

- Sama?

- Prawie przez cały czas był ze mną Alden. Układał puzzle.

- O której jedli państwo kolację?

- Nie siadamy do kolacji, kiedy panują takie upały. Około siódmej Monika przyniosła nam tutaj po filiżance zupy i kanapki.

- Długo została z państwem pokoju?

Barbara wyglądała na zaskoczoną pytaniem. - Ależ jadła z nami. Potem sprzątnęła naczynia i wróciła. Pomagała Aldenowi układać puzzle, rozmawialiśmy o kolorach w mojej nowej tkaninie. Niemal cały wieczór spędziła z nami.

- Jest pani z nią bardzo zżyta.

- Mam w niej najlepszą przyjaciółkę - oznajmiła Barbara. - Cokolwiek Stefan opowiada na mój temat.

- Czy przychodzą pani do głowy jakieś fakty, które mogłyby nam pomóc odszukać Michaela?

- Na przykład jakie?

- Chociażby dotyczące Stefana, skoro myśli pani, że to on porwał chłopca.

Barbara spuściła głowę, wzrok utkwiała w filiżance. - Może powinna pani porozmawiać z Adrienne - powiedziała wreszcie.

- Z Adrienne? Dlaczego?

- Bo była z nim bliżej niż którekolwiek z nas, jeśli nie liczyć Leigh, oczywiście.

Jackie nie oczekiwała takiej odpowiedzi. Barbara podniosła się z fotela z chłodnym, trochę wyniosłym uśmiechem.

- Proszę mi wybaczyć, pani detektyw, ale mąż czeka na mnie w oranżerii. Jeśli tylko dowie się pani czegoś o naszym wnuku, proszę natychmiast dać nam znać.

Już w samochodzie, siedząc za kierownicą, Jackie zauważyła polaroidowe zdjęcia Paula Arnussena, które zrobiła, czekając na telefon Wardlowa. Przez chwilę miała ochotę wrócić do Mellonów i pokazać zdjęcie Barbarze, ale uznała, że rzecz może poczekać.

Będzie miała pretekst do kolejnej wizyty. Była przekonana, że złoży ją niedługo.

ROZDZIAŁ 8

Jackie kierowana nagłym impulsem sprawdziła adres na swojej liście, po czym podjechała pod położony w pobliżu dom Helen Philps.

Nie umawiała się dotąd z opiekunką, ponieważ Leigh nie zatrudniała kobiety podczas przerwy wakacyjnej. Obydwie panie Mellon wspominały jednak o niej, Jackie uznała więc, że warto z tą kobietą porozmawiać. Może Helen tak się przywiązała do chłopca, że postanowiła zagarnąć go dla siebie.

Odsunięty od ulicy dom, z półkolistym podjazdem okolonym krzakami i kwiatami, był dość duży. Nie sprawiał tak imponującego wrażenia jak dom Mellonów, pomimo to mógł się podobać: biały budynek ze stromym dachem, wieżyczkami i wykuszami, otoczony rozległym ogrodem wyglądał na wygodną rezydencję.

Przy rosnących koło płotu peoniach pracowała kobieta w długiej bawełnianej sukience, białych skarpetkach, tenisówkach i słomkowym kapeluszu z szerokim rondem. Jackie przeszła przez trawnik i pokazała odznakę.

- Detektyw Kaminsky - przedstawiła się. - Chciałabym rozmawiać z Helen Philps.

- To ja.

Opiekunka była drobna i szczupła. Miała jasnoniebieskie oczy. Gęste, rudawe, już siwiejące włosy zaplecione były w długi warkocz. Na miłej piegowatej twarzy malował się niepokój.

Pomimo lekkiej siwizny kobieta zdawała się po dziewczęcemu nieśmiała, jakby mijające lata nie wycisnęły na niej swojego piętna.

Jackie przypomniła sobie informacje dotyczące Helen, które wyczytała w raporcie Kenta Paxtona; kiedy Helen straciła narzeczonego w Wietnamie, nigdy już nie związała się z żadnym mężczyzną. Pozostała w domu rodzinnym i opiekowała się starzejącą matką. Być może ten piękny dom stał się dla niej rodzajem konserwującego klosza i sprawił, że czas obszedł się nią łaskawie, nie niszcząc dziewczęcego wdzięku tej drobnej istoty.

W tej chwili opiekunka robiła wrażenie bardzo przybitej. Wargi jej drżały i tak mocno zaciskała palce na trzonku motyki, że pobierały jej knykcie.

- Czy... czy wiecie już, gdzie jest Michael?

- Nie, na razie jeszcze nic nie mamy.

Po piegowatej twarzy Helen popłynęły łzy. - Tak się boję - szepnęła. - Michael to takie kochane, urocze dziecko. Nie mogę sobie wyobrazić, że ktoś mógłby...

Jackie położyła dłoń na ramieniu kobiety. - W tej chwili nie ma powodów, by spodziewać się najgorszego - powiedziała łagodnie. - Bardzo możliwe, że Michael jest bezpieczny.

- Bezpieczny? Przecież mówi pani, że jeszcze go nie znaleźliście. - Helen patrzyła nic nie rozumiejącym wzrokiem.

- Wiem, ale może go przetrzymywać ktoś z rodziny. W takim przypadku możemy przypuszczać, że nie jest narażony na bezpośrednie zagrożenie.

Jackie odczekała, aż wypowiedziane zdanie dotrze do świadomości Helen.

Oczy opiekunki rozszerzyły się nagle. - Myśli pani, że Mellonowie... - zamilkła, przestępując niepewnie z nogi na nogę.

Jackie obserwowała ją zaintrygowana.

- Może mi pani poświęcić kilka minut? Chciałabym porozmawiać, usłyszeć pani zdanie na temat obydwu rodzin.

- Niewiele będę mogła powiedzieć. Jestem tylko opiekunką do dziecka.

- Ale od małego zna pani Mellonów, prawda?

- To prawda, znam Barbarę i Aldena, od kiedy sięgam pamięcią. Dziewczynki są dużo młodsze ode mnie, od dawna tutaj nie mieszkają.

- A jednak od dłuższego czasu zajmuje się pani Michaeliem?

- Mniej więcej od półtora roku.

- Jak to się stało?

- Leigh wróciła do pracy w szkole, akurat zwolnił się etat. Nie miała wówczas żadnej opiekunki i zostawiała Michaela u matki, ale Monika nie dawała sobie rady z nawałem pracy, więc...

- Pokojówka Mellonów?

- Tak jest. Często wpadam tam popołudniami z krótką wizytą. Kiedy zobaczyłam, jak trudno jest Monice i Barbarze zajmować się chłopcem, zaproponowałam, że je wyręcę. To takie kochane dziecko. Moja matka go uwielbia, a mnie opieka nad nim przynosi wiele radości.

Helen znowu zaczęły drżeć usta, nachyliła się do kwiatów, by opanować napływające łzy, poprawiła podpórkę pod ciężką łodygą i strząsnęła jakąś mrówkę z dłoni. Jackie tymczasem wyjęła z notesu zdjęcie Arnussena.

- Czy widziała pani kiedykolwiek tego człowieka, pani Philps? .

Helen podniosła fotografię i przez chwile oglądała ją uważnie.

- Mam wrażenie, że tak, ale nie potrafię powiedzieć gdzie i kiedy.

Jackie czekała, nie próbując podpowiadać. Wreszcie Helen z rezygnacją pokręciła głową.

- Przykro mi.

- Nie szkodzi. - Jackie schowała zdjęcie. - Gdyby mogła mi pani poświęcić kilka minut...

- Oczywiście. Jestem niegrzeczna. Zechce pani wejść do środka.

Helen zebrała motykę, grackę i obydwie kobiety ruszyły na tył domu, gdzie gospodyni schowała narzędzia w niewielkim schowku. Jackie z zachwytem rozglądała się po ogrodzie, w którym płaczące wierzby zwieszały gałęzie na idealnie wystrzyżony trawnik.

- Jak tu pięknie - pochwaliła. - Musi pani uwielbiać ogrodnictwo.

- Sama bym nie dała sobie rady - odparła Helen, zamykając schowek na kłódkę. - Mamy ogrodnika, który przychodzi dwa razy w tygodniu. Kuzyn Moniki. Pomaga mi. Odgarnia śnieg w zimie, grabi liście, przekopuje ogród, wykonuje wszystkie cięższe prace.

- A pani dba o kwiaty?

Helen uśmiechnęła się nieśmiało. - Mój ojciec odziedziczył ten dom po swoich rodzicach i zamieszkał tu razem z moją matką zaraz po ślubie, sześćdziesiąt lat temu. Matka posadziła mnóstwo kwiatów, a ja czuję się odpowiedzialna za ich utrzymanie.

W ogrodzie była jeszcze niewielka cieplarnia i długi garaż.

- Tam były kiedyś stajnie - powiedziała Helen, idąc za wzrokiem Jackie. Na przełomie wieków mój pradziadek trzymał tutaj nawet po osiem koni.

Wśród kwiatów brzęczały pszczoły, w gałęziach drzew ćwierkały ptaki, a na stromym dachu dawnej stajni obracała się leniwie miedziana chorągiewka.

- Tak tu pięknie - rozmarzyła się Jackie. - Leigh pewnie była bardzo szczęśliwa, że może zostawiać synka w takim cudownym miejscu.

Coś w słowach Jackie zaniepokoiło Helen, bo zdjęła kapelusz i bez słowa ruszyła w stronę domu. Przez drzwi ogrodowe weszły do miłej, staroświeckiej kuchni, w której roznosił się zapach pieczonego ciasta. Helen umyła

ręce, Jackie tymczasem usiadła przy stole i wyjęła swój notes.

- Michael był tutaj w czwartek po południu, dwa dni temu, prawda?

- Tak. Leigh miała coś do załatwienia, więc przywiozła go do mnie. Bardzo się ucieszyłam, że znowu go widzę. - Helen wyjęła z lodówki dzbanek mrożonej herbaty. - Bardzo mi brakuje małego podczas wakacji.

- Dziękuję. - Jackie przyjęła z rąk gospodyni szklanę schłodzonego napoju i z prawdziwą przyjemnością upiła kilka łyków. - Leigh miała w czwartek rozprawę w sądzie rodzinnym, jeśli dobrze pamiętam. Chodziło o zasady widzeń małego z jego ojcem?

- Tak. - Helen ustawiła na stole staroświecki talerz z ciastkami, do tego talerzyki od kompletu, błękitne serwetki i wreszcie usiadła naprzeciwko Jackie.

- W jakim była nastroju[^] kiedy przyjechała odebrać Michaela?

- Znaczy się, po rozprawie? - Biedaczka była zupełnie roztrzęsiona.

- Mówiła coś na ten temat, opowiadała, jakie zapadło postanowienie?

- Nie, ale wiedziałam, że rozprawa potoczyła nie po jej myśli.

- Skąd?

- Zdziwiłam się, że tak wcześnie wróciła. Właśnie położyłam Michaela spać, bo byłam pewna, że spędzi całe popołudnie w sądzie. Odpowiedziała, że postano

wienie zapadło błyskawicznie. Wydawała się bardzo przybita, smutna, rozgoryczona.

- Ale nie opowiadała szczegółów? Helen pokręciła głową.

- Tacy właśnie są Mellonowie.

- Jacy?

- Nie lubią się zwierzać... zachowują dystans. Jeśli mają jakieś problemy, starają się załatwić je w gronie rodzinnym.

- Może pani podać jakiś przykład?

- Chociażby choroba Aldena. Minęło wiele czasu, zanim ktokolwiek spoza rodziny wiedział, że Mellon jest w szpitalu. Leigh do dzisiaj nie zamieniła ze mną słowa o jego stanie zdrowia.

- Nie nazwałaby pani Leigh bliską przyjaciółką?

- Bliską nie, ale na pewno jesteśmy zaprzyjaźnione. W czasie roku szkolnego jest u mnie codziennie. Pracuje niedaleko, więc jak tylko może się wyrwać, wpada tutaj, żeby zjeść lunch razem z Michaeliem. Spędzamy razem naprawdę dużo czasu.

- Ale nigdy nie rozmawiała pani z nią na temat jej małżeństwa i jej stosunków z byłym mężem?

- Wątpię, czy Leigh rozmawiała o tym z kimkolwiek, może poza jej matką i siostrą.

- A Stefan? Widuje go pani?

- Teraz już nie. Kiedy jeszcze mieszkali razem, przyjeżdżał czasem odebrać Michaela.

- Co pani o nim myśli? - zapytała Jackie.

- Wydawał mi się miłym człowiekiem. Zawsze uprzejmy. Miał świetny kontakt z Michaelem.

- Po rozwodzie z Leigh więcej go już pani nie widziała?

Helen nie odpowiadała. Bawiła się okruszami ciastka na talerzu. Na jej miłej twarzy malowało się napięcie.

- Pani Philips? - ponagliła Jackie łagodnie.

- Kilka miesięcy temu pojawił się tutaj pewnego popołudnia - mruknęła Helen. - Jakoś w maju, na krótko przed Dniem Matki.

- Czego chciał?

- Chciał zobaczyć się z Michaelem bez wiedzy i zgody Leigh. Powiedział, że zabroniła mu spotkań i że bardzo tęskni za synkiem. Pytał, czy mógłby czasami przyjechać, żeby zabrać małego na plac zabaw, pójść z nim na lody, spędzić razem kilka godzin...

- Rozumiem -. wtrąciła Jackie.

- Pamiętam, że zależało mu bardzo, żeby zawieść Michaela do babci - matki Stefana - właśnie w Dzień Matki.

- Co pani powiedziała?

Na wspomnienie tamtej rozmowy w błękitnych oczach Helen pojawił się ból.

- Czułam się okropnie. On naprawdę kocha małego, a Michael tak się cieszył, że widzi ojca. Musiałam odmówić.

- Dlaczego?

- Bo pracuję u Leigh. Nie mogę jej oszukiwać. Powiedziałam Stefanowi, że jeśli chce widywać syna, musi

to uzgodnić z Leigh i że nie chcę wchodzić z nim w żadne... pokątne układy.

- Jak zareagował?

- Był bardzo zawiedziony. Ciągle pamiętam, jaki smutny stąd wychodził.

- Nie próbował już więcej widzieć się z Michaeliem?

- Nie. Tylko ten jeden raz.

- Postąpiła pani słusznie - powiedziała Jackie pewnym tonem, widząc, że Helen znowu zaczynają drżeć usta.

- Tak pani myśli? - Helen posłała jej błagalne spojrzenie. - Miałam poczucie, że-, zostałam wciągnięta w sam środek ich problemów. Z nikim nie mogłam o tym porozmawiać.

Do kuchni weszła mała staruszka w bawełnianym dresie, kapciach, z pledem narzuconym na ramiona. Za lewym uchem miała przymocowany aparat słuchowy.

- To moja mama, Grace Philips - mruknęła Helen. - Mamo, to detektyw Kaminsky.

- Detektyw? - Pomarszczona, krucha jak porcelanowa figurka staruszka bystrym wzrokiem otaksowała Jackie. - Policjantka?

- Tak.

Grace Philips jeszcze przez chwilę mierzyła Jackie -baczny spojrzeniem, po czym zwróciła się do córki:

- Zimno mi, Helen. Włącz piecyk.

- Nie mogę, mamo. Naprawiam go. To jedyna okazja, teraz, kiedy pogoda jest taka piękna - tłumaczyła cierpliwie córka. - Muszą zmienić w nim filtr.

- Zimno mi - powtórzyła Grace płacząco i zaraz przeszła na agresywny ton: - Włącz mi piecyk. Helen posłała Jackie zażenowane spojrzenie.

- Proszę, mam, kiedy tylko nasz gość wyjdzie, sprawdzę, czy nie mam gdzieś elektrycznego grzejnika, i przyniosę go do twojego pokoju,

- Pospiesz się. Zimno mi.

Grace sięgnęła po ciastko, przez chwilę obracała je w palcach, wreszcie wetknęła do ust. Na brodzie zostały jej okruszki.

- Ma broń? - staruszka zapytała Jackie.

- Tak, mam.

- Co? Niech mówi głośniej!

- Tak, mam broń - krzyknęła Jackie, walcząc z poczuciem własnej śmieszności.

- Dobrze. Może niedługo będzie musiała jej użyć -- oznajmiła Grace zagadkowo, po czym odwróciła się i wyszła z kuchni, ciągnąc za sobą pled.

Helen poczerwieniała z zażenowania. - Proszę wybaczyć mamie - szepnęła. - Czasami...

- Drobiazg. Sama mam babcię, która potrafi być chwilami naprawdę uciążliwa. Doskonale to znam. Helen uśmiechnęła się z wdzięcznością, patrząc, jak Jackie wstaje i chowa notes. - Przykro mi, że niewiele mogłam pomóc.

- Bardzo mi pani pomogła. - Jackie wręczyła jej swoją wizytówkę. - Jeśli coś sobie pani przypomni, proszę zadzwonić.

- Oczywiście. Pani detektyw?

- Tak?

- Mam nadzieję, że znajdzie pani Michaela. Nie będę mogła jeść ani spać, dopóki go nie odnajdziecie. Tak -strasznie się boję.

Jackie poklepała ją po ramieniu. - Proszę się nie martwić, pani Philips - powiedziała z pewnością, która nie miała niestety potwierdzenia w faktach. - Na pewno go znajdziemy.

Leigh przygotowała sobie kanapkę..? pastą jajeczną i podgrzała gotową zupę w mikrofalówce, po czym zasiadła przy kuchennym stole, żeby zjeść swój posiłek.

Dziwnie jej było jeść samotnie, bez żywiołowej obecności Michaela, bez jego paplaniny, śmiechów i ciągłych pytań. Przytłaczały ją cisza i pustka w domu, czuła się zmęczona i zagubiona.

Zamrugła gwałtownie, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy. Tak wyraźnie widziała twarz synka, jego wielkie, brązowe oczy i złote loki. Zawsze z taką powagą i namaszczeniem zaciskał widelec w małej łapce, w takim skupieniu naśladował wszystkie ruchy matki.

- Gdzie jesteś, Michaelu? - szepnęła, patrząc na kryształowy trójkąt zawieszony w oknie, poruszany łagodnymi powiewami wiatru. - Co się z tobą dzieje? Bardzo się boisz? Tak bardzo za tobą tęsknię.

Nagle rozległ się dzwonek przy drzwiach. Przejmujący dźwięk zabrzmiał złowrogo w pogrążonym w ciszy do-

mu. Leigh drgnęła gwałtownie. Odłożyła łyżkę, szybko przeszła do holu i wyjrzała przez wizjer. Na ganku stała detektyw Kaminsky z dużą skórzaną torbą przewieszoną przez ramię. Leigh, spięta i zdenerwowana, otworzyła drzwi, a potem cofnęła się, żeby przepuścić gościa.

Jackie Kaminsky onieśmiała ją. Ta policjantka zawsze była opanowana, pełna dystansu i oficjalna. A jeszcze to chłodne spojrzenie.

Kiedy podczas ich porannej rozmowy Jackie zrobiła szeroki gest, chcąc wyjąć swój notes z torby, odchyliła się poła kurtki, a spod niej wyjrzała czarna, skórzana kabura pistoletu przymocowana do paska. Leigh przeszły ciarki na to wspomnienie. Nie mogła sobie wyobrazić, jak się czuje, jak się zachowuje kobieta taka jak Kaminsky, kobieta, która nosi broń i wie, co z nią może zrobić. Nie potrafiła postawić się na jej miejscu.

A jednak w Jackie nie było nic męskiego, odpychającego. Przeciwnie, ze swoją nieco egzotyczną urodą była bardzo atrakcyjna. Miała lśniące ciemne włosy, złotą cerę i orzechowe oczy z zielonymi cętkami. W tych rzadkich momentach, kiedy się uśmiechała, jej twarz nabierała blasku, a pełne usta unosiły się w miły sposób. Zdawała się wtedy dużo młodsza, na chwilę zniknął też chłodny profesjonalizm.

To wszystko napawało jednak Leigh jeszcze większym lękiem. Gdyby Jackie była twarda czy zgryźliwa i odpychająca, Leigh nie bałaby się, że ulegnie sile oso-

bowości pani detektyw. Tymczasem musiała mieć się cały czas na baczności, by w odruchu sympatii do Jackie nie zacząć się jej zwierzać. Tak, ta policjantka była naprawdę groźna. Należało uważać.

- Właśnie przygotowałam sobie niewielką przekąskę. Może zjesz razem ze mną?

Jackie przecząco pokręciła głową. - Dzięki, już jadłam. Chłopcy przynieśli chińszczyznę do biura.

- Już po szóstej, a ty wciąż na służbie? - zdziwiła się Leigh. - Zaczęłaś dzisiaj dzień bardzo wcześnie. Byłaś u mnie z samego rana. _

- Muszę jeszcze sprawdzić kilka rzeczy, zanim pojedę do domu. - Jackie ruszyła w ślad za Leigh do kuchni.

- Może przynajmniej napijesz się herbaty? - zagadnęła Leigh, gdy Jackie usiadła przy stole, wyjmując swój nieodłączny notes. - I tak będę robiła dla siebie.

- Dobrze, poproszę.

Jackie patrzyła Leigh prosto w oczy, jakby chciała przeniknąć ją wzrokiem. Nie było miłe, czuć się pod czyjąś baczna obserwacją.

- Dowiedziałaś się czegoś na temat Michaela?

- Na razie niewiele. - Jackie położyła na stole fotografię z polaroidu. - Znasz tego człowieka?

Leigh przez chwilę wpatrywała się w zdjęcie przystojnego chłopaka w dzinsach, ciężkich roboczych butach i czapeczce baseballowej, z naręczem desek.

- Chyba nie - odparła w końcu trochę zdziwiona. -- A powinnam?

- Często wykonuje roboty stolarskie w domach na South Hill, w pobliżu twoich rodziców. Myślałam, że może się już na niego natknęłaś.

Leigh pokręciła głową. Postawiła na stole dzbanek z glinki, w którym parzyła się już herbata.

- Twoja matka zrobiła ten imbryk i filiżanki?

- Skąd wiesz? - Na twarzy Leigh odmalowało się zdumienie.

- Tak mi się wydawało, że rozpoznaję jej ceramikę. Dzięki. - Jackie przysunęła sobie napełnioną filiżankę.

Leigh usiadła wreszcie za stołem i wróciła do swojej zupy. - To fotelik Michaela - powiedziała, wskazując czerwony plastikowy mebelek. - Zanim przyszedł, siedziałam tutaj i myślałam o tym, jaki strasznie smutny i pusty jest nasz dom bez niego. Chodzę z kąta w kąt jak błędna i nie wiem, co ze sobą zrobić.

Jackie wyjęła ze swojej torby teczkę z dokumentami. - Musimy przejrzeć pytania, na które będziesz odpowiadała jutro podczas testu.

- Jak to ma wyglądać? - zapytała Leigh, zaciskając dłonie pod stołem.

- Nie bój się, to naprawdę nic strasznego - zapewniła Jackie. - Przeczytam ci teraz pytania i nagram twoje odpowiedzi. Jutro w komendzie miejskiej zostaniesz podłączona do specjalnej aparatury monitorującej i sierżant Kravitz zada ci te same pytania. Jest specjalistką od badań wariograficznych.

- Będziesz tam ze mną?

- Nie w tym samym pomieszczeniu. Będę obok, za lustrzanym oknem, w pokoju wyposażonym w mikrofon, tak że w każdej chwili będę mogła przerwać, jeśli jakaś odpowiedź wyda mi się niejasna.

- Wszystko, co mam robić, to mówić prawdę?

- Wszystko, co masz robić, to mówić prawdę. Leigh wciągnęła głęboko powietrze. - Niczego nie muszę się bać?

Czuła na sobie badawczy wzrok Jackie.

Po chwili przejrzały wspólnie listę pytań. Leigh z ulgą stwierdziła, że nie są ani trudne, ani podchwytliwe, -dotyczyły wszystkich kwestii, o których mówiły wcześniej: o której przyjechali do centrum handlowego, kiedy poszli do barku, w jaki sposób Michael zniknął ze sklepu zabawkarskiego, jak wyglądały próby odszukania chłopca. Leigh cierpliwie odpowiadała, a Jackie ją nagrywała.

- To wszystko. - Jakie odłożyła na bok listę. - Może w końcu uda mi się dotrzeć do domu. - Zawahała się. - Nic się dzisiaj nie wydarzyło? Żadnych dziwnych telefonów, nic niezwykłego?

- Nie. Wokół domu kręcą się reporterzy. Naszą ulicą przejeżdża więcej samochodów niż zwykle, ale myślę, że to zwykli gapie.

- Wszędzie ich pełno. Zdumiewające, jak bardzo ludzie interesują się nieszczęściami innych. Byłabym zapomniała. Leigh...

- Tak?

- Mieszkam w kamienicy niedaleko stąd, na północ od centrum handlowego, przy Francis Street.

- Tak? - powtórzyła Leigh zaniepokojona tym wstępem do pogawędki.

- Zaprzyjaźniona sąsiadka ma czteroletnią córeczkę, Tiffany - ciągnęła Jackie. - Czasami, kiedy Carmen wychodzi wieczorem, zostaję z małą.

Leigh słuchała, zastanawiając się, do czego zmierza Kaminsky.

- Rozmawiałam z nią przez telefon przed przyjazdem tutaj. Chciałam ustalić z nią kilka rzeczy.

- Na przykład?

- Zastanawiałam się, dlaczego zostawiłaś Michaela samego w sklepie zabawkarskim i poszłaś obejrzeć suknię. Tiffany jest o rok starsza od twojego synka, a pomimo to Carmen twierdzi, że nie zostawiłaby jej ani na sekundę samej.

Leigh szybciej zaczęło bić serce. - Czy chcesz powiedzieć, że jestem lekkomyślną matką?

- Nie, tego nie powiedziałam. Wszystko wskazuje na to, że jesteś bardzo troskliwą matką. Dlatego właśnie tak mnie dziwi, że zostawiłaś Michaela samego na całe pięć minut, w miejscu pełnym obcych ludzi.

- Zajął się zabawkami - odparła Leigh, wbijając wzrok w blat stołu. - Upewniłam się, czy mogę go zostawić i poszłam do sąsiedniego sklepu. Cały czas kontrolowałam wejście do sklepu zabawkarskiego, widziałabym, gdyby stamtąd wyszedł.

- Ale nie wracałaś sprawdzić, czy nadal jest w środku?

- Nie - przyznała Leigh cicho. - Wiem, że to moja wina. Będę tego żałowała do końca życia, ale nie cofnę już czasu.

- Nadal uważasz, że to twój były mąż uprowadził Michaela?

Laigh wciągnęła głęboko powietrze. - Tak. Mały jest na pewno ze Stefanem. Gdzie indziej mógłby się podzie-wać?

- Byłam dzisiaj rano w mieszkaniu Stefana. Nie ma tam miejsca, żeby ukryć trzyletnie dziecko.

- Mógł go zawieść na farmę swoich rodziców. Musi być z Miroslavem i Ivaną. Byłaś już u nich?

- Zamierzam pojechać tam jutro z samego rana. - Jackie podniosła się i założyła torbę na ramię. - Pytałam Carmen o coś jeszcze - rzuciła od niechcienia.

- O co? - Leigh też wstała, żeby odprowadzić gościa do drzwi.

- Jak by się czuła, gdyby jej były mąż porwał Tiffany i gdyby nie wiedziała, gdzie on jest.

Leigh zacisnęła dłoń na klamce. Pragnęła, żeby Jackie zniknęła wreszcie za drzwiami.

- Carmen powiedziała, że oszalałaby z niepokoju. Na samą myśl o czymś podobnym prawie się popłakała do słuchawki.

- Wpadanie w histerię nic nie da - odparła Leigh chłodno. - To na pewno nie pomoże Michaelowi.

- Nie, ale to naturalna reakcja, nie uważasz?

- To zależy od tego, jak się zostało wychowaną -powiedziała Leigh. - Matka uczyła nas, że w krytycznych momentach powinniśmy trzymać emocje na wodzy, niezależnie od tego, jak wielką czujemy rozpacz czy przygnębienie. Mówiła, że ludziom z naszą pozycją nie wypada inaczej się zachowywać. Pożałowała tych słów, ledwie je wypowiedziała. Brzmiały tak wyniośle, tyle w nich było zadufania i uprzedzeń. Oczy Jackie rozszerzyły się ze zdziwieniem i zaraz pojawiła się w nich lodowata niechęć. Uważa, że osądzam jej przyjaciółkę, że jestem taka sama jak moja matka, pomyślała Leigh z rozpaczą. Nie mogła już jednak odwołać tego, co powiedziała. Dla dobra Michaela powinna zachowywać dystans wobec tej kobiety.

- Spotykamy się jutro po,ppłudniu na teście - przypomniała Jackie, wychodząc w letni wieczór. - Zadzwoń do mnie natychmiast, gdyby coś się wydarzyło. Masz moją wizytówkę, prawda?

- Tak - bąknęła Leigh.

Patrzyła jeszcze chwilę za dziewczyną i wolnym krokiem wróciła do kuchni przez pogrążony w dręczącej ciszy dom.

ROZDZIAŁ 9

Następnego ranka Jackie pojechała na Painted Hill. Był słoneczny niedzielny poranek i w mieście panował niewielki ruch, bez trudu więc przedostała się przez zwykle zatłoczone ulice śródmieścia. Przejechała obok parku, minęła pole golfowe, zachwycając się po drodze wzgórzami na horyzoncie, zielonymi od lasów i ozłoconymi niskim porannym słońcem. Okolica powoli traciła miejski charakter, kończyły się dzielnice rezydencji; kiedy wjechała w dolinę, była właściwie na wsi. Wokół widać było niewielkie farmy, konie pasące się na łąkach ogrodzonych białymi płotami, w powietrzu unosił się zapach świeżo skoszonego siana, od czasu do czasu gdzieś zamuczała krowa.

Jackie sprawdziła adres w notesie i zjechała z szosy w boczną drogę, która prowadziła do obejścia na niewielkim wzniesieniu. Dom otaczało starannie utrzymane, ładnie zadrzewione podwórze, dalej mieściły się zagrody dla zwierząt, jeszcze dalej zaś rozciągały się już łąki. Sam dom - parterowy, rozłożysty, tynkowany na biało, z głęboką werandą, wysokimi oknami i dachem z czerwonej dachówki - zaskoczył Jackie swoją zamożnością i wiel-

kością. Był to niemal zameczek usadowiony w samym środku małego królestwa. Po słowach pani Mellon na temat „farmy” i pozycji społecznej Stefana policjantka oczekiwała chałupy i kilku nędznych zabudowań gospodarczych.

Boże pomóż mi, staję się taką samą snobką, jak oni wszyscy, to musi być zaraźliwe.

Skrećając na podjazd, miała widok na całą dolinę. Z tyłu za domem dostrzegła basen otoczony szmaragdowozielonym trawnikiem, mnóstwo krzewów i wypielęgnowane klomby kwiatowe.

Zabudowania gospodarskie lśniły świeżą farbą, wszystko wyglądało jak z obrazka, tak było zadbane, nieskazitelne i sielskie.

U podnóża doliny, w zagrodzie, hasało sześć kudłatych kuców. Potrząsały wesoło grzywami, brykały i najwyraźniej cieszyły się ciepłem słońca. Kojo kurnika dostojnie przechadzały się kury jakiejś wyjątkowi ozdobnej odmiany. Ich „pióra były połyskliwe o brązowym i zielonym odcieniu.

Jackie zaparkowała samochód, wysiadła i z ponurą miną zapatrzyła się na drób.

Zdecydowanie za dużo go się plątało w tej sprawie, począwszy od żółtej kaczki Michaela po niejasną relację Paula Arnussena na temat „jakiegoś kurczaka”. Zbyt wiele, jeśli wierzyć opowieściom Arnussena, a Jackie im nie wierzyła. Pokręciła głową i ruszyła w stronę domu, lecz nagle się zatrzymała.

W ogrodzie, jakieś sto jardów od miejsca, gdzie zaparkowała, znajdowała się grupka ludzi. Jackie słyszała

ich głosy, męskie, kobiece i szczebiotliwy dziecka. Zrzuciła torbę na ramię i weszła do ogrodu przez białą furtkę w płocie.

Czwórka dorosłych pracowała w warzywniku przy grządkach sałaty, dziecko bawiło się gdzieś pomiędzy fasolowymi tyczkami, niewidoczne, ale słyszalne.

Jeden z mężczyzn wyprostował się, kiedy furtka skrzypnęła, otarł sękatą dłonią pot z czoła. Był wysoki, barczysty, z imponującymi wąsami i miał ogorzałą od słońca twarz. Młodszy, podobnie jak tamten ubrany był w dżinsy i bawełnianą koszulkę. Obydwu łączyło rodzinne podobieństwo, mieli te same wyraziste rysy, ciepłe oczy.

Jackie wyciągnęła rękę do starszego. - Detektyw Kaminsky. A pan musi być Mirosław Panesivic.

Miał silny, zdecydowany uścisk dłoni. - Spodziewaliśmy się pani. To mój syn, Zan. - Miał też równie silny obcy akcent.

- Witam. - Zan uśmiechnął się szeroko do Jackie. - Policja w Spokane prezentuje obywatelom swój coraz lepszy wizerunek.

- Moja żona, Ivana, a to moja synowa, Mila. Mirosław przedstawił obie panie, kiedy podeszły bliżej. Pojawiła się także zaintrygowana wizytą mała dziewczynka z czarnym kociakiem w ramionach.

- A to - Mirosław położył dłoń na głowie małej - jest nasza wnuczka, Deborah.

- Cześć, Deborah - powiedziała Jackie z uśmiechem. Dziewczynka mogła mieć około trzech lat.

Ubrana by-

ła w czerwone szorty i biały T-shirt. Nietrudno było zauważyć, że jest uderzająco podobna do swojej matki, drobnej, szczupłej kobiety o delikatnych rysach i czujnym spojrzeniu.

Ivana Panesivić, matka Stefana, wysoka, pełna godności kobieta, wydawała się bardziej majestatyczna z powodu swojego uczesania: siwy warkocz zawinęła w koronę na czubku głowy.

Stefan odziedziczył po niej orle rysy i przenikliwe spojrzenie ciemnych oczu. O ile jednak jego uśmiech był pełen ufności, jej nieśmiały i niezdecydowany stawał się właściwie półuśmiechem.

- Jesteś prawdziwą policjantką? - zapytała Deborah, przerywając milczenie.

Jackie z powagą skinęła głową.

- Masz pistolet?

- Tak, mam. - Jackie odchyliła blezer i pokazała kaburę z wystającą kolbą.

Oczy małej rozszerzyły się w nabożnym zachwycie. Mocniej przytuliła kociaka i przestąpiła z nogi na nogę.

- Jak ma na imię twój kotek? - zagadnęła Jackie.

- Gwiazdka. Ma małą gwiazdkę na łebku. - Deborah zademonstrowała cechę charakterystyczną zwierzaka. -

- Ona mieszka w stodole.

Jackie dotknęła maleńkiego łebka i podrapała delikatnie kota za uchem. - Śliczna.

- Gwiazdka powinna już wracać do stodoły, Deborah

- polecił wnucze Miroslav, - Pani chce z nami porozmawiac - dodał ugodowym tonem.

Najwyraźniej on tu rządził na swój patriarchalny sposób. Kobiety stały w milczeniu, Zan zaczął skrętnie zbierać narzędzia ogrodowe. Deborah szła krok w krok za ojcem, ciągle z kotem w ramionach.

- Chce pani rozmawiać z nami osobno czy ze wszystkimi razem? - zapytał Mirosław.

- Wolałabym osobno, jeśli państwo pozwolą. Z panem pierwszym, panie Panesivic. Gdzie moglibyśmy usiąść?

- Na werandzie. - Mirosław spojrział na żonę. - Jak myślisz, mamusiu?

Ivana skinęła głową. - Przygotuję dzbanek mrożonej herbaty - obiecała, posyłając Jackie łagodny uśmiech. -- Chodź, Milu, pomożesz mi.

Obydwie kobiety ruszyły w kierunku domu, Zan tymczasem skierował się do stodoły razem z córeczką i jej kociakiem.

Na ocienionej pnączami dzikiego wina werandzie stały wykładane poduszkami rattanowe meble.

Jackie usadowiła się w wygodnym fotelu, wyjęła notes i spojrzała na dolinę, której widok roztaczał się z werandy.

- Pięknie tutaj.

- Szczęśliwe mamy tu życie - przytaknął cicho Mirosław. - Kupiliśmy tę posiadłość dwadzieścia lat temu. Nic tu wtedy nie było, gołe wzgórze. Ciężko się napracowaliśmy, żeby dojść do tego, co mamy.

- Sami postawiliście dom, zabudowania?

- Co do jednego kamienia i do jednej deski. Wszystko prawie własnymi rękami. - Na potwierdzenie swoich

słów wyciągnął przed siebie spracowane dłonie. - Mój ojciec miał dużą winnicę pod Zagrzebiem. Odziedziczyłem ją po śmierci rodziców. Jakbyśmy przeczuwali, że na Jugosławię idą ciężkie czasy, chociaż wtedy nic jeszcze nie zapowiadało nieszczęść, bo sprzedaliśmy wszystko i wyjechaliśmy. Zan miał wtedy piętnaście lat. Przyjechał z nami, Stefan został w kraju.

Jackie szybko przeliczyła. - Kiedy wyjeżdżaliście, musiał mieć dwadzieścia trzy lata?

- Tak. Pracował już na uniwersytecie. Myśleliśmy, że został dla dziewczyny, z którą się wtedy spotykał, że chce się z nią ożenić. Ale nie, tamten związek się rozpadł. Stefan był bardzo wymagający, szukał idealnej żony.

- Barbara Mellon uważa, że szukał bogatej żony.

- Barbara Mellon jest głupią starą babą. Serce mi się kraje, kiedy pomyślę, że mój wnuk...

Zamilkł nagle, utkwił wzrok w bezchmurnym niebie ponad koronami drzew.

- Chciał pan powiedzieć coś na temat wnuka - przypomniała delikatnie Jackie.

- Niedobrze mi się robi, kiedy pomyślę, że mój wnuk wychowywany jest przez tych samolubnych, powierzchownych ludzi, którzy nie wiedzą, co to jest troska o drugiego człowieka. Tacy potrafią zatruć duszę.

Wiedziała, że Mirosław mówi prawdę, ale ani mogła, ani chciała wyrażać właśnie teraz własne poglądy. Zapisała obojętnie w swoim notesie odpowiedź, a właściwie opinię starego. To wszystko. Uniosła głowę.

- Czy wie pan, gdzie jest teraz pana wnuk, panie Panesivić?

- Nie wiem - odparł krótko. - Sądzę jednak, że mają go Mellonowie. Ona nigdy nie chciała się nim z nami dzielić. Uważa się za kogoś znacznie lepszego, jej zdaniem przy nas mały stanie się „prostakiem”.

- Mówi pan o Leigh?

- Skądże. - Rysy starego złagodniały. - To kochana dziewczyna. Kocham ją jak własną córkę, od razu ją pokochałem, ledwie ją zobaczyłem. Kiedy tu przyjeżdżała, chodziła za mną kroków krok po farmie, wypytywała o wszystko niczym Deborah, we wszystkim chciała pomagać. Nawet kiedy padało i było błoto, potrafiła, gdy trzeba, założyć gumki i iść ze mną na łąki, do zagród.

Jackie zaskoczona słuchała tych informacji. Po raz kolejny wizerunek Leigh Mellon, który próbowała sobie stworzyć, ulegał transformacji.

- A zatem to Barbara Mellon miała zastrzeżenia do waszej rodziny?

- Tak - przytaknął z zaciętością w głosie. - Ona rządzi Mellonami. To zły człowiek, bardzo niedobry.

- Uważa pan, że Michael jest u niej?

- Po niej wszystkiego można się spodziewać.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę. Jackie zadawała rutynowe pytania, Miroslav udzielał pewnych, krótkich odpowiedzi. Pokazała mu też zdjęcie Paula Arnussena, nie mówiąc nic na temat chłopaka.

Miroslav założył okulary

i obejrzał dokładnie fotografię, ale nie rozpoznał przedstawionego na niej człowieka.

Pojawiła się Ivana z dzbankiem mrożonej herbaty, za nią weszła Mila z tacą owsianych ciasteczek.

Ustawily poczęstunek na stole i chciały już wychodzić.

- Pani Panesivić - odezwała się Jackie - czy mogłabym porozmawiać z panią, kiedy pani mąż odpowie na ostatnie pytania? To potrwa tylko chwilę.

Ivana rzuciła pytające spojrzenie mężowi, ten skinął zachęcająco głową.

- To bardzo miła dziewczyna - zapewnił. - Jeśli wszyscy w policji są tak mili, chętnie będę płacił więcej mandatów za przekraczanie prędkości.

Żarcik pomógł przełamać napięcie i taka zapewne była intencja Mirosława. Starszy pan podniósł się z fotela i oboje z Milą wyszli z werandy. Kiedy zostały same, Ivana naląa herbaty do szklanek, jedną podała Jackie, po czym złożyła ręce na podółku i zamarła w milczeniu.

- Gdzie teraz, pani zdaniem, może być jej wnuk? -- zaczęła Jackie łagodnie.

- Nie wiem. - Oczy Ivany napełniły się łzami. - Bardzo się o niego boję - szepnęła. - Michael to takie wrażliwe dziecko. Jest bardzo nieśmiały, łatwo go przestraszyć. Boi się ciemności i potworów. Jeśli on...

Niepokój pani Panesivić był tak nieklamany, tyle w nim było smutku, bezradności, że Jackie nachyliła się i serdecznie uściśnęła dłoń starszej pani.

- Znajdziemy go - zapewniła z wiarą w głosie. —

Rozpatrujemy różne możliwości, badamy każdy trop, musimy go znaleźć.

- Jeśli jest ranny albo... - Ivania głos uwiązł w gardle, niezdarnym ruchem wyciągnęła chusteczkę z kieszeni fartucha. - Tak bardzo go kocham. Nie wyobrażam sobie życia bez niego.

Wreszcie ktoś z rodziny chłopca naprawdę boleje nad tym, co się stało, pomyślała Jackie niewesoło.

- Pani Panesivić, chciałabym zadać jeszcze jedno pytanie. Chodzi o Leigh Mellon. Co to za osoba? Czy jest, pani zdaniem, dobrą matką?

Ivana podniosła głowę. - O, tak. Bardzo dobrą. Leigh to wspaniała dziewczyna. Ciagle nie mogę się pogodzić z tym, że ją straciliśmy.

- Co to znaczy, straciliśmy?

- Rozwód to straszna rzecz. To nie tylko sprawa między mężczyzną i kobietą - mówiła Ivana przybitym tonem. - Inni też przy tej okazji tracą najbliższe sobie osoby. Troszczyłam się o Leigh jak o własną córkę. Kochałam ją i nadal kocham, ale już jej nie widuję. Tylko Michaela, kiedy Stefan przywozi go na farmę w czasie ich sobotnich spotkań.

- Jednak w ostatnich miesiącach Leigh zabroniła tych wizyt.

- Nie, nie zabroniła. Ona... się boi.

- Czego?

- Chyba naszej rodziny. Jest taka inna od jej własnej. Boi się naszego przywiązania do starego kraju. Boi się

o swojego synka, ale nie ma żadnych powodów, żeby się nas obawiać. Nigdy, przenigdy nie skrzywdzilibyśmy naszego wnuczka, zabierając go od matki.

- Dziękuję, pani Panesivić, to wszystko, co chciałam wiedzieć - powiedziała Jackie.

Ivana wstała, ruszyła ku drzwiom, ale zatrzymała się jeszcze w progu. - Jeśli będzie pani rozmawiała z Leigh...

- Tak?

- Niech jej pani powie, że kocham ją i bardzo za nią tęsknię. Niech jej pani powie, że nie powinna się nas obawiać i że modłę się, by Michael cały i zdrowy wrócił do domu. Może jej to pani powtórzyć?

Jackie poczuła, że ściska ją w gardle, a w głowie narasta zdumienie. - Powtórzę na pewno - obiecała z mocą. - Może tu pani przysłać swoją synową?

Uczucia Mili Panesivić dla byłej szwagierki były dużo mniej serdeczne.

- Leigh to zarozumiała dziwka - oznajmiła usadowiona sztywno na kanapie.

Odmówiła mrożonej herbaty i najwyraźniej miała ochotę jak najszybciej sobie pójść. Jackie przyglądała się jej z autentycznym zainteresowaniem. Mila mówiła doskonale po angielsku, bez śladu obcego akcentu. Była przy tym bardzo atrakcyjna. Miała gładkie ciemne włosy, śniade ciało i ruchy baleriny.

- Jest pani tancerką? - pytanie samo cisnęło się policjantce na usta.

- Nie. - Mila uśmiechnęła się chłodno. - Skończy-

łam szkołę sztuk pięknych, wydział projektowania wnętrz. Mam własną firmę, pracujemy głównie dla dużych korporacji.

- Ach, tak. Gdzie? Tu, w naszym mieście?

- Głównie tutaj. Czasami zdarzają się zamówienia spoza stanu, wtedy wyjeżdżam.

Jackie zadała jej to samo pytanie, które stawiała wcześniej. - Gdzie, pani zdaniem, może się teraz znajdować pani bratanek?

- U Mellonów - odparła Mila bez najmniejszego wahania. - To ludzie, dla których liczy się tylko ich pozycja i pieniądze. Wszystko wokół musi układać się tak, jak oni tego chcą. Niczym z nikim nie potrafią się dzielić.

- Nawet Leigh?

Mila wydeła usta. - Widzę, że ta amerykańska piękność i panią nabrała. Wszystkich nabiera.

- Bardzo jej pani nie lubi, prawda?

- Nienawidzę. W moim przekonaniu Leigh jest - uosobieniem wszystkiego, co złe w Ameryce.

- A co jest złego w Ameryce? - spytała Jackie z zaciekawieniem.

- Wszystko - odparła Mila zapalczywie. - Hipokryzja, apatia, tani sentymentalizm, brutalność, rozwiązłość i całkowita obojętność na cierpienia innych.

- Dość długa lista grzechów. Domyślam się, że nie jest pani obywatelką amerykańską?

- Myli się pani. Jestem Amerykanką w pierwszym pokoleniu. Moi rodzice wyemigrowali z Chorwacji do

Stanów po wojnie, na początku lat pięćdziesiątych, w poszukiwaniu lepszego życia.

- Znaleźli je?

- Tak - przytaknęła Mila z goryczą. - Znaleźli.

- Dlaczego zatem tyle w pani pretensji wobec Stanów?

- Choćby z racji braku zdecydowanej polityki wobec wojny w Jugosławii. To kryminał. Amerykanie nie wiedzieli jak albo po prostu nie chcieli zareagować na konflikt. Nakładali embargo na broń, odmawiając atakowanym prawa do obrony, ale potajemnie dostarczali wsparcia partyzantce serbskiej, odwracali głowy, kiedy mordowano i masakrowano niewinnych ludzi. Cały czas usiłowali zachować czyste ręczki, robiąc oko do wszystkich zwaśnionych stron. To był naprawdę obrzydliwy, niegodziwy spektakl. Najgorsi w tym wszystkim byli właśnie ludzie pokroju Mellonów.

Na werandzie pojawił się Zan Panesivić, pogodnie uśmiechnięty, ale niespokojnie zerkający na żonę.

- Mila zrobiła pani krótki wykład? - zapytał i położył dłoń na ramieniu żony. - Nie powinna jej pani dać mówić o polityce.

- Mila ma zdecydowane poglądy, to prawda, ale ja podziwiam ludzi, którzy mają w sobie dość pasji, by zająć określone stanowisko, wszystko jedno w jakiej sprawie. Pańska żona ma rację, zarzucając Amerykanom obojętność.

Mila posłała jej spojrzenie, w którym było zaskocze-

nie i cień wdzięczności. Kiedy Jackie podziękowała jej za rozmowę, dziewczyna wstała i odeszła.

- Domyślam się, że teraz kolej na mnie? - zagadnął Zan.

- To nie potrwa długo. - Jackie zmierzyła go uważnym spojrzeniem. - Nie jest pan podobny do Stefana.

- Tak, trudno chyba znaleźć braci, którzy bardziej by się różnili. Stefan wdał się w rodzinę matki, ja raczej w ojca.

- Wydaje się pan bardziej amerykański.

Zan wzruszył ramionami. - Przeżyłem tutaj większą część życia, chodziłem do szkoły średniej w Spokane, grałem w piłkę. Niewiele więzi pozostało mi z Chorwacją.

- Jeździ pan tam?

- Nie. Nie byłem ani razu. To droga wyprawa - dodał z chłopięcym uśmiechem. - Mili od lat zadręcza mnie, żebyśmy wreszcie pojechali. Ma wielu krewnych w okolicach Dubrownika. W końcu uległem i zarezerwowaliśmy bilet. Za tydzień wylatujemy, na cały miesiąc. Chcemy, żeby Deborah poznała swoje ciotki i wujków. Mili szaleje z podniecenia.

Jackie nie mogła jakoś wyobrazić sobie Mili, którą podniecałoby cokolwiek innego poza polityką.

Być może jednak, jak to bywa z wieloma ludźmi, była ona zupełnie inną osobą prywatnie i mąż znał ją taką, jakiej nie znał nikt więcej.

- Czy poza wami leci jeszcze ktoś z rodziny? Rodzice?

- Nie. Mama poleciałaby bardzo chętnie, ale nie chce

zostawiać taty samego, a on nie ma ochoty zobaczyć ojczyzny. Nie może zrozumieć tego, co się tam w tej chwili dzieje. Już nawet nie ogląda wiadomości telewizyjnych.

- A Stefan?

- Myślał o wyjeździe, ale teraz... - Na twarzy Zana pojawiła się troska. - Zbyt jest przejęty Michaeliem, żeby planować podróże. Będzie tutaj tkwił, dopóki nie nabierze pewności, że jego syn jest bezpieczny.

- Uważa pan tak samo jak reszta rodziny, że to Mellonowie są odpowiedzialni za zniknięcie Michaela?

- Muszę tak myśleć - odparł Zan cicho. - Nie chcę dopuszczać do siebie innej możliwości.

Jasny, szczery wzrok Zana przekonywał do jego słów. Jackie skinęła głową i zerknęła do notesu.

- Gdzie pan pracuje?

- Jestem projektantem zieleń, pracuję dla miasta.

- Rozumiem. Co pan robił w piątek, między szóstą a dziewiątą wieczorem?

- Byłem tu, na farmie, z resztą rodziny. Przyjechaliśmy tutaj zaraz po pracy. Miła miała tego dnia urodziny. Mama upiekła placek cytrynowy, była taka szczęśliwa tego wieczoru - dodał Zan smutno.

- Dlaczego?

- Z powodu postanowienia sądu. Następnego dnia Stefan miał spędzić cały dzień z Michaeliem, zamierzał przywieźć go na farmę. Mama od dawna nie widziała małego. Już sobie wyobrażała, jak to będzie cudownie zobaczyć znowu Michaela. O niczym innym nie mówiła.

Na werandzie pojawiła się Deborah, wdrapała się ojcu na kolana i przytuliła do jego piersi. Zan potarł włosy małej i oparł brodę na jej główce.

- Coś jeszcze, pani detektyw?

Jackie wyjęła z notesu fotografię Paula Arnussena, ale on nie rozpoznał mężczyzny na zdjęciu.

- Mamo! - zawołał. - Mila! Chodźcie tutaj! Obydwie obejrzały zdjęcie, kręcąc przecząco głowami.

- Przykro nam - powiedział Zan, oddając zdjęcie. - Możemy w czymś jeszcze pomóc?

- Chyba nie. W każdym razie nie w tej chwili. - Jackie podniosła się z fotela. - Dziękuję, że zgodzili się państwo poświęcić mi trochę czasu. Jeśli przypomnicie sobie coś, co mogłoby pomóc w poszukiwaniach, natychmiast dajcie znać, bardzo proszę.

Zan z córką na rękach odprowadził ją do stopni werandy. Jackie uśmiechnęła się jeszcze do swoich gospodarzy na pożegnanie i ruszyła do samochodu, obok którego chodziły dwa kolorowo upierzone kurczaki.

Popatrzyła na ptaki, myśląc o dziwnej wizji Paula Arnussena i śladach krwi w jego samochodzie.

ROZDZIAŁ 10

W poniedziałek rano nad sprawą Michaela Panesivicia pracowało już tylu ludzi, że gabinet Lwa Michelsona okazał się zbyt mały, by pomieścić wszystkich podczas porannej odprawy. Oprócz samego sierżanta i Briana Ward-lowa do grupy dołączyli porucznik i kapitan ze śródmieścia, dwóch dodatkowych detektywów oraz kilku mundurowych. Zasiedli w sali dyżurów, gdzie kto mógł, na krzesłach i blatach biurka; Jackie usadowiła się za własnym biurkiem i otworzyła teczkę z raportami.

- Po pierwsze - zaczęła - muszę wam zrelacjonować, jak wypadł wczorajszy test wariograficzny Leigh Mellon. Byłam pewna, że wyjdą jakieś nieścisłości, ona tymczasem przeszła przez badanie śpiewająco. Sierżant Kravitz chce za kilka dni zrobić powtórkę, ale uważa, że Leigh mówiła prawdę.

- Co to oznacza dla nas? - zapytał Michelson.

Jackie spojrzała w notatki. - Pozostają dwie możliwości. Jeśli matka nie ma nic wspólnego ze zniknięciem Michaela, to albo zrobił to ktoś inny z rodziny, albo obca osoba.

- Sprawdziłeś pedofilów, Wardlow? - Michelson spojrzał na Briana.
- Kilku. Dopiero wczoraj dostaliśmy listę, a trudno kogoś złapać w domu podczas weekendu. Tym bardziej że był to, zdaje się, świąteczny weekend - dodał Brian z goryczą.
- Wiadomo coś więcej na temat dziewczyny z centrum handlowego?
Wardlow pokręcił głową. - Kiedy po raz drugi rozmawiałem ze świadkami, nic nie potrafili o niej powiedzieć.
- Pokazywałeś im zdjęcia Mellonów i Panesiviciów?
- Tak. Nikt z sąsiednich sklepów żadnego z nich nie widział. Zero.
- Inne tropy ?
- Nie ma - mruknął Wardlow. - Dziesiątki ślepych uliczek i mnóstwo zmarnowanego czasu.
Jackie zerknęła na swojego partnera. Wyglądał na zmęczonego i rozbitego, oczy miał podkrążone. Prawdopodobnie w domu znowu zaczęły się awantury z powodu jego późnych powrotów i długich nieobecności.
- A ten tak zwany jasnowidz? - zapytał Michelson, zwracając się na powrót do Jackie.
- W laboratorium mówią, że krew na brezencie nie jest ludzką krwią. Facet wydaje się zbyt sprytny, żeby nam zostawić tak oczywisty dowód.
- Wierzysz, że naprawdę zabił psa na szosie?
- Brian widział zwłoki tego psa, rozmawiał z jego

właścicielką - odparła Jackie. - Ale nadal nie wiem, co o tym sądzić. Arnussen mógł przejechać psa rozmyślnie, żeby zamaskować jakieś inne dowody. Ciągłe mamy tę płachtę brezentu, przebadają mikroślady, jeśli tylko okaże się, że jest jakoś uwikłany w porwanie.

- Nie sądzisz, że może protestować?

- Tym się najmniej przejmuję. Niech nas pozwie do sądu, jeśli koniecznie chce odzyskać swoją płachtę.

Sierżant patrzył na Jackie przez chwilę trochę zasepiony, po czym zwrócił się do Wardlowa.

- Co myślisz o tym facecie? Jakie masz przeczucie?

- Nie wiem. Albo uprowadził dzieciaka, albo rzeczywiście ma jakieś paranormalne zdolności i powinniśmy zacząć szukać kurczaków.

- Dlaczego? - zainteresował się porucznik.

- Facet wie, że mały ma kaczkę-przytulankę, mimo że nie puściliśmy na ten temat pary z ust. Matka przypomniała sobie o zabawce w sobotę rano i zadzwoniła, żeby nam o tym powiedzieć.

- Myślałam o tym - zaczęła Jackie. - Arnussen mógł po prostu widzieć gdzieś w okolicy chłopca z pluszową kaczką. Pracuje na South Hill, a opiekunka Michaela prawie codziennie chodzi z nim do dziadków.

- Istnieje zatem możliwość, że nie jest jasnowidzem ani nie jest zamieszany w sprawę?

Jackie po chwili wahania skinęła głową. - Istnieje - przytaknęła.

- Co wiemy o tym Arnussenie? Zdobyłeś jakieś in-

formacje? - Michelson ponownie skierował wzrok na jej partnera.

- Nienotowany, przynajmniej w naszym stanie. Żadnych wykroczeń drogowych. Zupełnie czysty. Od sześciu lat mieszka w suterenie na Canon Hill. Właścicielka -mieszkania, starsza wdowa około siedemdziesiątki, wie o nim bardzo mało, ale uważa, że chłopak jest aniołem.

- Nawet seryjny morderca może się wydawać aniołem - stwierdził sierżant sentencjonalnie. - Świętym Franciszkiem, co rozmawia z ptaszkami. To samo dotyczy kidnaperów i innych psycholi.

Obejrzałeś dom?

- Większą jego część. Chętnie pokazała mi swoje mieszkanie, ale bez nakazu nie mogłem prosić, żeby wpuściła mnie do Arnussena.

- Warto starać się o nakaz, żeby tam wejść? - chciał wiedzieć Michelson.

- Wątpię. - Wardlow pokręcił głową. - Kiedy pochwaliłem babcię, jak u niej miło i czysto, staruszka powiedziała, że sprząta cały dom od góry do dołu raz w tygodniu. W piątki górę, w soboty dół, łącznie z -mieszkaniami Arnussena. Widać tak ustalili, zawierając umowę.

- Z tego wynika, że sprzątała jego mieszkanie w dzień po porwaniu? - upewnił się jeden z detektywów.

- Tak mi powiedziała.

- Twierdzisz, że bardzo go lubi. Może go kryje?

- Nie w takiej sprawie - stwierdził Wardlow pewnym głosem. - Nie wtedy, gdy w grę wchodzi bezpie-

czeństwo dziecka. Ona ma własne wnuki i bardzo je kocha. Prawie przez godzinę pokazywała mi ich zdjęcia.

Michelson westchnął ciężko i pomasaował się po brzuchu. Wrzody dawały znać o sobie. - Mamy jeszcze coś o tym gościu?

Wardlow ponownie sięgnął do swoich notatek. - Wychował się na ranczo w Montanie. Matka umarła, kiedy miał pięć lat. Opiekował się nim ojciec. Był najprawdopodobniej, mówiąc łagodnie, dość lekkomyślny. Przegrał ranczo w karty i zginął w bójce w barze. Arnussen miał wtedy osiemnaście lat.

- I wtedy już zaczął pracować jako cieśla? - zapytała Shelly Williams, policjantka przydzielona do sprawy.

- Imał się różnych zajęć. Był robotnikiem rolnym, robił przy wierceniach szybów naftowych, zatrudniał się też jako tragarz. Teraz, od prawie pięciu lat, ma własną jednoosobową firmę, która przynosi mu całkiem przyzwoity dochód - renowacja starych, zabytkowych domów. Zamówienia ma głównie z Summit Drive i South Hill.

- I nadał mieszka w suterenie?

- Podobno oszczędza, żeby kupić sobie ranczo. Gospodyni mówi, że to cel jego życia.

Kilku policjantów wymieniło spojrzenia.

- Nie było żadnych telefonów z żądaniem okupu? -zapytał jeden z nich. - Dla Mellonów to żaden problem odpalić sumkę, która wystarczyłaby na kupienie małego rancza.

Jackie pokręciła głową. - Michael został porwany

w piątek wieczorem. Dzisiaj mamy poniedziałek rano. Gdyby chodziło o okup, ktoś już dawno próbowałby nawiązać kontakt z rodziną.

Po raz pierwszy odezwał się kapitan Alvarez, chudy pięćdziesięciolatek w mundurze, schludny i wymuskany:

- Możliwe, że rodzina dostała telefon z żądaniem okupu, ale porywacz ostrzegł ich, żeby nie zawiadamiali policji, jeśli chcą zobaczyć jeszcze chłopca żywego. Tak się przecież zdarza.

Jackie zastanawiała się przez chwilę nad taką ewentualnością, biorąc pod uwagę reakcje różnych członków rodziny Mellonów.

- Gdyby Leigh próbowała coś przede mną ukrywać, domyśliłabym się - powiedziała w końcu. - Ale jej matka... Ona nie dałaby nic po sobie poznać, to twarda kobieta.

Michelson zmarszczył czoło. - Ciągle się zastanawiam nad czwartkowym postanowieniem sądu, które utrzymało w mocy prawo ojca do cotygodniowych spotkań z synem. Ktoś porwał małego dzień po sprawie. Jak to wyglądało z punktu widzenia rodziny? Jackie, mówiłaś, że wariograf Leigh Mellon nic nie wykazał?

- Absolutnie nic.

- Myślisz, że Mellonowie mogli ukryć gdzieś chłopca bez wiedzy Leigh?

- Nie mam pojęcia. Nie rozmawiałam jeszcze z jej siostrą. Jest coś... - zawahała się

- Co takiego? - zainteresował się Michelson.

- Jakież dwadzieścia lat temu starsza siostra Leigh, Adrienne, została porwana dla okupu.
- Jak wyglądało porwanie?
- Uczyła się w prywatnej szkole z internatem, w Kalifornii. Raptem zniknęła, a rodzice dostali telefon z żądaniem dwustu tysięcy okupu. Kilka dni później, kiedy jeszcze gromadzili tę kwotę, Adrienne ni z tego, ni z owego znowu pojawiła się w szkole. Pani Mellon mówi, że nigdy się nie dowiedzieli, co naprawdę wtedy -zaszło i kto to zrobił. Adrienne nie chciała rozmawiać o swoich przeżyciach, a oni mieli wtedy ważniejsze sprawy na głowie niż zmuszanie córki do wyznań. Ojciec zabiegał o jakiś wysoki urząd, był zajęty kampanią. -Niewygodny czas na podnoszenie szumu wokół porwania.
- Chryste - mruknął jeden z detektywów, kręcąc z niedowierzaniem głową. Sierżant nie podzielał jego opinii. - To trochę dziwne, ale nic jeszcze nie znaczy. Ludzie z takimi pieniędzmi często padają ofiarą kidnaperów. Nie szukałbym specjalnego związku między tymi dwoma wypadkami.
- Wiem - powiedziała Jackie. - Chciałabym jednak usłyszeć, co Adrienne ma na ten temat do powiedzenia, o ile zechce mówić. Dobrze byłoby zobaczyć się z nią dzisiaj po południu.
- Jedź do niej. - Michelson zwrócił się do Wardlowa: - Coś jeszcze na temat Arnussena? Przyjaciele, znajomi, hobby?
- Niewiele. Facet większość czasu poświęca na pracę. Kiedy ma trochę czasu, lubi wyjechać na wieś.

- Dziewczyny?

- Nic na ten temat nie wiadomo. Typ samotnika.

- Tacy właśnie bywają rozmaici psychole. FBI włączyło się już w naszą sprawę. Wardlow, poproś ich, żeby zestawili ci pełne dane na temat Arnussena. Gdzie mieszkał, gdzie pracował, okay? Niech sprawdzą, czy były jakieś niewyjaśnione porwania dzieci w poprzednim miejscu zamieszkania.

- Jak ten cieśla spędza wolny czas, poza., tym, że jeździ na wieś? - zapytał kapitan Alvarez.

- Dba o dom swojej gospodyni, robi drobne naprawy, stara się utrzymać wszystko w dobrym stanie, a ona za to opuszcza coś tam' na czynszu. Nie mam nic więcej na jego temat.

- Wróćmy do rodziny, Kaminsky - głos zabrał znowu Michelson. - Co możesz powiedzieć o stronie ojca? - Panesiviciowie robią wrażenie miłych, porządných ludzi. - Jackie opowiedziała kolegom o

Stefanie i jego najbliższych krewnych. - Szwagierka wydaje się tak

zaangażowana w politykę, że chyba nie przywiązuje większej wagi do innych spraw.

Zamilkła na moment i zaczęła bawić się długopisem. - Kaminsky, o czym myślisz?

Kobieta podniosła głowę. - Coś mnie męczy od samego początku. - Co takiego?

- Rodzina matki nie wydaje się specjalnie przejęta porwaniem. Kochają małego, a jednocześnie są dziwnie spokojni. Nie rozumiem tego, sierzancie. Naprawdę nie rozumiem tych ludzi.

Tego samego poniedziałku Leigh obudziła się wcześniej, po kilku godzinach niespokojnego płytkiego snu. Od zniknięcia Michaela nie przespała normalnie ani jednej nocy, a kiedy wreszcie zasypiała, budziły ją koszmary.

Dzisiaj było inaczej. Po długim, pełnym męki weekendzie będzie mogła wreszcie zadzwonić i usłyszeć słowa otuchy.

Wstała, zrzuciła koszulę, wciągnęła szorty i podkoszulkę i szybko zeszła na dół, żeby przygotować sobie śniadanie. Jajko sadzone na toście miało smak waty. Spojrzała na zegar na ścianie, jakby chciała zmusić go do pośpiechu. ~^A

Dziesiąta, pomyślała. Powiedzieli, żebym nie dzwoniła przed dziesiątą.

Posprzątała po sobie i zaczęła kręcić się niespokojnie po domu, obrywając suche liście, przestawiając książki, ustawiając krzesła. Kiedy zaczęła się dusić w pustych pokojach, wyszła na zewnątrz, w poranne słońce, i przez godzinę pracowała w ogrodzie. Wypełła trochę chwastów, spulchniła ziemię wokół tulipanów.

Wreszcie wróciła do środka, umyła ręce i zabrała torebkę. Zamknęła za sobą drzwi na klucz i wsiadła do

samochodu. Skoro powiedzieli jej, żeby zadzwoniła z budki telefonicznej, postanowiła ściśle trzymać się instrukcji. Najbliższy automat znajdował się w centrum handlowym. Parking był niemal pusty, ulice wyludnione. Zdziwiona Leigh dopiero po chwili uświadomiła sobie, że jutro jest święto - czwarty lipca. Ludzie korzystali z długiego weekendu; kto mógł, wyjechał z miasta albo wypoczywał w domu.

Leigh zaparkowała w pobliżu wejścia do centrum, szybko weszła do środka i odnalazła telefon. Masz zapamiętać numer, tak powiedzieli. Nic nie zapisuj. Drżąc ze zdenerwowania wystukała numer.

- Tak? - odezwał się zniecierpliwiony kobiecy głos. - Kto mówi? Proszę się przedstawić.

Miała ściśnięte gardło, zapomniała wszystko, co jej powiedzieli. - Mówi... Leigh Mellon - wykrztusiła szeptem. - Chciałam wiedzieć, czy...

- Bez nazwisk! - rzuciła opryskliwie kobieta po drugiej stronie. - Podaj numer identyfikacyjny, który dostałaś.

Skrecając w palcach metalowy kabel, Leigh wyrecytowała numer. - Proszę, chciałbym tylko wiedzieć, czy on jest cały i zdrowy.

Zapadło głucho milczenie. - My go nie mamy - odpowiedziała w końcu kobieta.

- Co?

- Nie wiem, w co grasz, ale to nie jest śmieszne. Nie podoba nam się, że jesteśmy w ten sposób wykorzystywani.

- Ale... - Leigh ogarnęła panika. - Ja... nie rozumiem. Zrobiłam wszystko tak, jak kazaliście.

Zostawiłam go w...

- Żadnych detali przez telefon! - przerwała gniewnie kobieta. - Mieliśmy na miejscu naszą osobę, tak jak było umówione. Poszła tam przejąć cel, ale bez skutku. Czekwała tak długo, jak mogła bez wzbudzania podejrzeń, i wyszła z niczym.

- Celu nie było... O czym pani mówi? - Leigh zapało dech w piersiach.

- Powtarzam, nie lubimy, kiedy ktoś nas wystawia do wiatru. Nasza grupa ponosi spore ryzyko, nie czerpiąc przy tym żadnych zysków dla siebie. Robimy to dla dobra innych.

- Ale ja zrobiłam wszystko tak, jak mi kazano. W głosie Leigh zabrzmiała błagalna nuta. - Ubrałam go dokładnie tak.,.

- Nie mamy go - powtórzyła kobieta. - Nie mamy pojęcia, gdzie jest. Prosimy, żebyś się więcej z nami nie kontaktowała. Nie znamy się od tej chwili, nie mamy pojęcia, kim jesteś, nigdy o tobie nie słyszeliśmy.

- Proszę zaczekać! - krzyknęła Leigh. - Proszę się nie rozłączać! Chcę tylko wiedzieć, czy...

Usłyszała trzask słuchawki. Rozłączyli się. Wciąż stała bez ruchu, ściskając słuchawkę w dłoni.

Wreszcie odrętwiała z przerażenia odwiesiła ją i ruszyła sztywnym krokiem w stronę wyjścia, do samochodu.

Chciała jak najszybciej być z powrotem w domu, skryć się w jego ścianach i zadzwonić do detektyw Ka-

141

minsky. Teraz nie była jeszcze w stanie do niej zadzwonić. Chciała najpierw znaleźć się w domu, tam gdzie był pokój Michaela, jego ubranka i zabawki.

Jechała na wpół przytomna przez puste ulice, zaciskając spazmatycznie dłonie na kierownicy. Ledwie widziała drogę przez łzy.

- Michael, kochanie, gdzie jesteś? Gdzie jesteś?

ROZDZIAŁ 11

Odprawa właśnie dobiegała końca, kiedy w drzwiach pokazała się głowa Alice.

- Jackie? Możesz odebrać telefon? Nie chcę przeszkadzać w zebraniu, ale to pilne.

Jackie kiwnęła głową i podniosła słuchawkę. Sierżant tymczasem ustalał z ekipą plan działań na cały dzień.

- Detektyw Kaminsky - powiedziała, a potem już tylko słuchała z narastającym przerażeniem.

- Powoli, Leigh - przerwała wreszcie. - Nie rozumiem, co mówisz.

- Nie ma go! - szlochała Leigh. - Nie ma go tam. Dzwoniłam i powiedzieli mi, że go tam nie ma!

- O czym ty mówisz?

Leigh tak się rozszlochała, że z trudem mogła mówić, ledwie słyszalne słowa brzmiały chaotycznie: - Michael... Nie ma go tam... Dzwoniłam i tam go nie ma... Powiedzieli, żebym zadzwoniła w poniedziałek rano, powiedzieli, że powiedzą, gdzie jest i że jest zdrowy. A teraz mówią, że go tam nie ma.

Jackie patrzyła na kolegów wzrokiem pozbawionym wyrazu. - Oni? Do kogo dzwoniłaś, Leigh?

- Do ludzi, u których miał być. Proszę, musicie go znaleźć! Nie wiem, czy oni kłamią, czy naprawdę stało się coś strasznego. Proszę, Jackie, musisz go znaleźć. Nie wiem, co mam robić. Po prostu nie wiem co.

- Uspokój się, Leigh - przerwała Jackie. - Weź kilka głębokich wdechów, zanim spróbujesz coś powiedzieć. Zrób to - nakazała.

Zebrani w pokoju przestali mówić i słuchali w napięciu.

Leigh wreszcie jakby trochę ochłonęła. Kiedy odezwała się ponownie, głos nadal trochę jej drżał, ale nie było w nim już hysterii. - Czy możesz... możesz tu zaraz przyjechać? - zapytała. - Błagam.

- Już jadę.

Jackie odłożyła słuchawkę, zebrała papiery i dopiero wtedy podniosła głowę. - Nie wiem, co się tutaj, u diabła, dzieje - oznajmiła ponuro. - Ale mogę was zapewnić, że ta kobieta dopiero teraz wpadła w panikę.

Zaparkowała samochód przed domem Leigh i szybko weszła na ganek. Kobieta czekała już na nią w drzwiach. Włosy miała w nieładzie, była zapuchnięta od płaczu. Oparta o framugę drzwi drżała na całym ciele.

Jackie wzięła ją pod ramię i wprowadziła do środka, prosto do kuchni. Leigh opadła na krzesło i wbiła pusty, nieobecny wzrok w okno.

- Musisz się napić herbaty. - Mówiąc to, Jackie nastawiła czajnik, wyjęła jedną torebkę z miedzianej puszkii i włożyła do imbryczka.

- A teraz powiedz, o co właściwie chodzi? Miałaś telefon w sprawie okupu?

Leigh wciągnęła głęboko powietrze i splotła dłonie w nerwowym geście.

- Uzgodniłam z kimś, że porwą Michaela. Jackie wpatrywała się w nią bez słowa.

- Ci ludzie... - Leigh załamał się głos, lecz po chwili mówiła dalej. - Kilka miesięcy temu zobaczyłam ogłoszenie na tablicy w kościele. Była w nim mowa o zagrożonych dzieciach i numer telefonu. Tam powiedzieli mi o grupie, z którą powinnam się skontaktować. Ludzie z tej grupy pomagają matkom, których dzieciom grozi porwanie przez ojca. Oni przemycają te dzieci do Kanady.

- Ustaliłaś z nimi, że porwą twoje własne dziecko? - Jackie nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Wszystko było bardzo dobrze zorganizowane - tłumaczyła Leigh cicho. - Spotkałam się z nimi kilka razy.

- Gdzie?

- Przyjechali tutaj, do domu. Kobieta i mężczyzna. Powiedzieli mi, że mam zostawić Michaela w jakimś miejscu publicznym, a oni go przejmą. W ten sposób, donosząc na policję o zaginięciu, mogłam powiedzieć prawdę i nawet przejść pomyślnie próbę kłamstwa, gdyby pojawiły się jakieś podejrzenia.

- Spotkałaś się z nimi kiedyś poza domem?

- Z tą kobietą i mężczyzną nie, ale kilka razy zabrałam Michaela do parku, gdzie czekała na nas młoda dziewczyna. Bawiła się z Michaeliem, przynosiła mu pre-

zenty, żeby go ośmielić do siebie i wzbudzić jego zaufanie.

Jackie słuchała tego wszystkiego z coraz większą wściekłością. Odwróciła się szybko, zdjęła gotujący się czajnik z gazu i naląła wrzątek do imbryczka.

- Po co te wszystkie zabiegi? - zapytała, usiłując nadać swojemu głosowi spokojne brzmienie.

- Żeby Stefan nie mógł zabrać Michaela do Europy. Kiedy sędzia powiedział, że muszę się zgodzić na sobotnie widzenia, przeraziłam się, że mogę stracić dziecko.

- Nie lepiej było wywieźć go gdzieś samej? Zniknąć? Po co te wszystkie komplikacje?

- Nie chciałam, żeby Stefan wiedział, że mam w tym jakiś udział. Nie chciałam, żeby nas szukał. Miał być przekonany, że Michael gdzieś przepadł... albo nie żyje... - Głos Leigh przeszedł w zdławiony szept. - Niechby wyjechał z tym przekonaniem i zostawił nas w spokoju.

- Ustaliłaś wszystko po rozprawie? W ciągu jednego dnia? - Jackie postawiła dzbanek i kubki na stole. Leigh pokręciła głową przecząco. - Zaplanowałam porwanie wcześniej. Uzgodniliśmy, że w razie postanowienia niekorzystnego dla mnie skontaktuję się z nimi, a oni przejmą Michaela przed pierwszym sobotnim widzeniem.

- Zadzwońska do nich w czwartek? Leigh przytaknęła bez słowa.

- Kiedy powiedziałaś im, że przegrałaś w sądzie, co ci odpowiedzieli?

- Nie byli rozmowni. Oni starają się kryć, niewiele mówić, utrzymują wszystko w wielkiej tajemnicy. Nie znałam nawet ich imion. Używają numerów identyfikacyjnych. Zadzwoiłam i umówiliśmy się, że zostawię Michaela samego w sklepie zabawkarskim dokładnie kwadrans po siódmej. Zrobiłam wszystko punkt po punkcie tak, jak mi kazali. Zabrałam Michaela do tego sklepu i zostawiłam samego na pięć minut. Kiedy wróciłam, już go nie było.

Jackie powoli zaczęła pojmować nieprawdopodobny przebieg wypadków.

- A ty zawiadomiłaś wtedy policję o zaginięciu syna?

- Tak. Ci ludzie powiedzieli mi, że mogę zadzwonić w poniedziałek, żeby upewnić się, czy Michael jest już w Kanadzie.

- Jak miałaś go potem odnaleźć?

- W dwa, trzy tygodnie po porwaniu, kiedy policja przestałaby prowadzić poszukiwania, a Stefan przestałby podejrzewać mnie i moją rodzinę, miałam pojechać do Kolumbii Brytyjskiej i zadzwonić ponownie pod ten sam numer. Tam dostałabym adres, pod którym powinnam znaleźć Michaela.

Wtedy mogłabym zdecydować, co robić dalej.

Jackie była wstrząśnięta, ale komentarz zachowała dla siebie.

- Czy twoja rodzina wiedziała o tym pomysłe? Leigh pokręciła przecząco głową. - Zabronili mi w tajemniczać kogokolwiek, nie mogłam nic powiedzieć na-

wet matce. Wszyscy mieli być przekonani, że Michael został porwany.

- Więc co się stało? Dlaczego go nie mają?

- Kobieta powiedziała mi, że dziewczyna była w sklepie, ale nie znalazła Michaela. Nie było go w sklepie z zabawkami!

Leigh znowu się rozszlochała. Jackie podsunęła jej kubek z herbatą i zmusiła do wypicia kilku łyków.

- Czy na pewno zostawiłaś go samego tylko na pięć minut?

- Ktoś inny musiał go zabrać zaraz po tym, jak wy.-szłam ze sklepu. O Boże, Michael...

Jackie zmarszczyła czoło w namyśle. - Ci ludzie, z którymi się umówiłaś... dałaś im jakieś pieniądze?

- Nie. Oni nie robią tego dla pieniędzy. Chodzi im tylko o dobro dzieci. Po wszystkim, kiedy Michael byłby znowu ze mną cały i zdrowy, miałam tylko zwrócić im koszty.

- Mogą go przetrzymać i żądać dodatkowego „zadośćuczynienia”. Czy umawiali się z tobą na dalsze kontakty?

- Mówiłam ci, że go nie mają! Kobieta, z którą rozmawiałam dzisiaj rano... - Leigh znowu głos odmówił posłuszeństwa^" Zacisnęła palce na kubku. - Powiedziała, żebym więcej nie zawracała im głowy. Była przekonana, że się wycofałam w ostatniej chwili z naszej umowy. Była na mnie naprawdę wściekła.

- Pozwól sobie powiedzieć, że nie ona jedna - dodała Jackie cierpko.

Leigh spojrzała na nią, jakby nie rozumiała do końca usłyszanej uwagi.

- Okłamałaś policję. To poważne przestępstwo. Prokurator może postawić cię w stan oskarżenia za coś takiego.

- Nie obchodzi mnie, co się ze mną stanie! - krzyknęła Leigh. - Nie rozumiesz? Oskarżajcie mnie, o co tylko chcecie, ale znajdźcie moje dziecko!

Chwilę później Jackie chodziła w tę i z powrotem po gabinecie Lwa Michelsona. Sierżant i Wardlow obserwowali ją w milczeniu.

- Chryste - mruknęła. - Byłam tak wściekła na tę idiotkę, że patrzeć na nią nie mogłam. Uciekłam stamtąd tak szybko, jak tylko mogłam.

- Nigdy nie sądziłem, że potrafisz się do tego stopnia zaangażować w sprawę. - Wardlow pokiwał z politowaniem głową. - Co się z tobą dzieje, Kaminsky?

- Co się ze mną dzieje? - wybuchnęła Jackie. — Brian, ta wariatka wszystko zaaranżowała. Tak strasznie chciała dopiec mężowi, że gotowa była oddać własne dziecko w ręce zupełnie obcych ludzi. Miała w nosie, że wciąga w swoje rodzicielskie rozgrywki innych, że manipuluje policją, rodziną, wzbudza współczucie całego miasta.

- I co z tego? - zapytał sierżant spokojnie. - Brian ma rację, powinnaś wziąć się w garść. Twoje emocje nic tu nie zmieniają.

- Tak? - Jackie natarła na niego z furją. - Ale zmieni się całe to cholerne dochodzenie! - Wyładowawszy złość, usiadła w końcu na krześle.
- To, co usłyszałaś, ani na jotę nie zmieni trybu dochodzenia - powtórzył Miechelson stanowczo. - Od samego początku szukaliśmy uprowadzonego chłopca. I nadal szukamy, tyle że możemy wykluczyć matkę z grona potencjalnych podejrzanych, to wszystko.
- Skąd ta pewność? - mruknęła Jackie. - Jeśli skłamała przedtem, może kłamać i teraz. Może jest nienormalna, a cała ta sprawa jest jeszcze bardziej zabagniona i pokrecona, niż się nam wydaje.
- Wardlow nie sądzi, by kłamała - powiedział sierżant. Jackie spojrzała na swojego partnera.
- Dlaczego?
- Ponieważ zeznania dwojga świadków z centrum handlowego potwierdzają jej wersję - przypomniał Wardlow. - Facet ze sklepu komputerowego i ekspedientka z zabawkarskiego widzieli kręcącą się w pobliżu młodą kobietę. Była na miejscu dokładnie w tym czasie, kiedy mały zniknął. Ekspedientka z zabawkarskiego powiedziała nawet, że dziewczyna sprawiała wrażenie, jakby kogoś szukała, i że ze sklepu wyszła sama.
- Sądzisz, że twoja tajemnicza dziewczyna była wysłanniczką agencji ratowania dzieci i że to ona miała przejąć Michaela?
- Tak przypuszczam. Pojawiła się odrobinę za późno, to wszystko. Leigh Mellon zostawiła syna samego

w sklepie, a dziewczyna przysłała, żeby go zabrać. Wszystko zgodnie z planem, tylko że ktoś okazał się szybszy od niej.

Jackie milczała. Ciągłe jeszcze gotowała się ze złości. Czowała się oszukana i nie mogła do końca zwalczyć tych uczuć. Michelson i Wardlow czekali.

- Co mnie wścieka naprawdę, to postawa ludzi pokroju Mellonów - mruknęła w końcu. - Leigh knuła ten swój plan bez najmniejszych skrupułów, że będzie musiała okłamać policję. Wodziła nas za nos, jak chciała, byle dopiąć celu. Teraz, kiedy okazuje się, że dzieciak naprawdę przepadł, żąda, żebyśmy stanęli na głowie i znaleźli go już, zaraz. Co za cholerna arogancja.

- Może nie. - Ton Michelsona był w przeciwieństwie do głosu Jackie wyważony. - Może to normalna reakcja. Nie ma nic silniejszego od matczynej miłości, pamiętaj. Jeśli matka czuje, że jej dziecko jest zagrożone, zrobi wszystko, by je ochronić.

Jackie nadal nie dawała się przekonać. - Poznałam Panesiviciów. Nie uwierzę, by mogli stanowić zagrożenie dla kogokolwiek. Leigh Mellon musiała zdawać sobie z tego sprawę. Po prostu nie chce dzielić się synem ze swoim eksmężem, to wszystko.

- Posłuchaj, Jackie - usiłował tłumaczyć sierżant. - Jesteś zbyt dobrą policjantką, żeby reagować w ten sposób. Masz się pozbierać i zacząć patrzeć na sprawę obiektywnie. Jeśli nie potrafisz, powiedz mi to teraz, a przekażę dochodzenie komuś innemu.

- Przepraszam. Ma pan rację, sierżancie. Zaczynam ich oceniać, choć wiem, że nie powinnam. Chcę prowadzić to dochodzenie. Postaram się trzymać emocje na wodzy.
 - I to chodzi. - Na twarzy Michelsona pojawił się przelotny uśmiech. - Zatem wracamy do pracy. Jakie są plany?
 - Musimy sprawdzić tych samozwańczych wybawicieli zagrożonych dzieci. Spróbujemy się o nich czegoś dowiedzieć. To jakaś dobrze zorganizowana działalność.
 - Podała ci imię kobiety, z którą się kontaktowała?
 - Oni nie używają imion. Leigh też zamiast imienia używała numeru identyfikacyjnego, który jej nadali.
 - Zetknąłem się już z tego typu organizacjami -skrzywił się Michelson. - To fanatycy całkowicie oddani swojej sprawie. Prędzej pójdą siedzieć, niż udzielą informacji policji.
 - To samo mówi Leigh. Chodzi im tylko o jedno -
 - ratować dzieci przed ewentualnym uprowadzeniem.
 - W jaki sposób? Urowadzając je samemu? - zauważył Wardlow cierpko. - Boże, w jakim my pieprzonym świecie żyjemy. Dzieci przesuwają się jak pionki.
 - Leigh dała ci numer telefonu, pod który dzwoniła?
 - zapytał Michelson.
- Jackie podała mu kartkę. Sierżant zerknął na nią przez chwilę i przekazał Wardlowowi.
- Sprawdź to, Brian. Dowiedz się wszystkiego, co możesz, o tych ludziach, dobrze? Powinniśmy przyjrzeć

się im bliżej, może jednak mają jakieś informacje o małym Panesiviciu.

- Brian ma chyba rację - przyznała Jackie. - Teraz, kiedy trochę ochłonełam, myślę, że Leigh Mellon rzeczywiście nie wie, gdzie jest jej syn. Wątpię też, żeby ci wybawiciele go mieli.

- Zgadzam się. Sprawdzimy tylko ich powiązanie ze sprawą, później niech ktoś inny zajmie się nimi na poważnie. Popołniają przestępstwo za każdym razem, kiedy pomagają w uprowadzeniu, nawet jeśli mają najlepsze intencje - sierżant pokiwał głową.

- Sprawdzę to, a informacje przekażę służbom rodzinnym. - Wardlow zerknął na swoją partnerkę. - A ty, Kaminsky?

- Mam całą listę osób, które powinnam przesłuchać po raz drugi. Zaczę od Stefana Panesivicia. Teraz, kiedy wyeliminowaliśmy matkę, ojciec jest głównym podejrzanym.

- Powiesz mu, że planowała porwanie dziecka? - zapytał sierżant.

- Nie wiem. Wyczuję, co zrobić, kiedy się z nim spotkam. Gdy usłyszy, jakie miała zamiary, sam może puścić farbę.

- Z drugiej strony, jeśli to on porwał małego, może zamknąć gębę na kłódkę i cały smród zostawić żonie.

- Wiem. Dlatego mówię, że muszę grać na wyczucie. Chciałabym też porozmawiać z naszym przyjacielem Paulem Arnussenem. - Tu zwróciła się do swojego partnera: - Rzeczywiście pojechał wczoraj do Kalispell?

Wardlow zerknął w notatki. - Wyjechał wczoraj swoją ciężarówką spod domu o siódmej rano i skierował się autostradą na wschód, do granicy stanu. W Montanie zauważył go patrol policyjny, jak wyjeżdżał z Kalispell. Pojechali za nim, wracał do domu. W Spokane był z powrotem około północy - odpowiedział.

- Po co pojechał do Montany?

- Twierdził, że jedzie spotkać się z przyjacielem. Chciał wziąć od niego szczeniaka dla kobiety, której psa przejechał - wytłumaczyła Jackie.

- Naprawdę miły facet, co? - zauważył z podziwem sierżant.

- Po prostu kochany - zawtórowała mu Jackie. — Czuły cieśla o zadziwiających zdolnościach parapsycho-logicznych.

- Mieście na niego oko. Pracuje gdzieś dzisiaj? - Michelson znużonym gestem potarł czoło.

- W tym samym miejscu na South Hill. Policjant z patrolu mówi, że skończył już remont podłogi werandy, a teraz robi poręczę. - Wardlow, jak zwykle, udzielił im szczegółowych informacji.

- Porozmawiam z nim po południu albo wieczorem - powiedziała Jackie. - Chciałabym też zobaczyć się z Adrienne Calder. Tego ranka po porwaniu była bezczelna i uszczypliwa. Dość niestosowne zachowanie, zważywszy na okoliczności. Przyszło mi do głowy, że taki ma po prostu charakter, ale teraz zaczynam się zastanawiać, czy nie chodziło o coś więcej.

- Ma alibi? - zapytał Michelson.

- Jasne - przytaknęła Jackie. - Wszyscy mają doskonałe alibi, ale ta kobieta... Jej matka powiedziała mi, że Adrienne i jej mąż od lat bez skutku starają się o dziecko i że Adrienne bardzo przeżywa to, że nie może zajść w ciążę.

- Daj spokój, Kaminsky. Uważasz, że mogłaby sprzątnąć dzieciaka własnej siostrze, żeby zaspokoić swój instynkt macierzyński? Bzdura. - prychnął Wardlow.

Jackie obruszyła się trochę na tę uwagę. - W tej rodzinie wszystko jest możliwe. Mellonowie są do obrzydliwości bogaci, a przy tym nieźle pokręcani.

- Coś jeszcze na temat Calder? - zapytał sierżant.

- Ta historia z porwaniem Adrienne dla okupu. Nie daje mi spokoju. Chciałabym ją o to spytać.

- Minęło dwadzieścia lat - przypomniał Wardlow.

- Jackie ma rację - zaproponował sierżant. - Warto się temii przyjrzeć. Coś jeszcze?

Jackie pokręciła głową - Nie wiem. - spojrzała na Michelsona, na Wardlowa. - Mam uczucie...

- Tak?

- Jakby ktoś powiedział mi w ostatnich dniach coś naprawdę ważnego, a ja nie mogę sobie przypomnieć, co to było.

- Przejrzałaś wszystkie swoje notatki?

- Przejrzałam. Głowa mnie rozbolała od tego przeglądania, ale wciąż nic nie mogę znaleźć. A jednak wiem, że ktoś powiedział jakieś zdanie, które stanowi klucz do całej sprawy.

ROZDZIAŁ 12

Na teren uniwersytetu Jackie przyjechała późnym popołudniem. Od chwili kiedy Leigh opowiedziała jej, jak naprawdę zniknął Michael, nie mogła dodzwonić się do Stefana, ale zostawiła mu kilka wiadomości na sekretarce. Liczyła na to, że profesor wkrótce wróci.

Parking obok jego domu był skąpany w słońcu, a wokół panowała taka cisza, że Jackie słyszała ptaki śpiewające w gałęziach drzew. Campus opustoszał, gdyż wszyscy wyjechali na długi weekend. Na parkingu stały tylko trzy samochody. Jackie przyglądała się im przez chwilę, rozmyślając, czy któryś z nich nie należy może do Panesivicia.

Nie miała pojęcia, jakim wozem Stefan jeździ. Westchnęła ciężko. Praca w policji. Cholerna robota. Wszyscy oczekują od nich cudów. Ryzykuj życie w obronie obywateli, łap bandytów. Umiej rozwiązać każdą zagadkę kryminalną. A rzeczywistość jest ponura: cięcia budżetowe, ciągły brak ludzi, no i ataki prasy. Na domiar złego przestępcy są lepiej uzbrojeni od policjantów, a konstytucja i kodeksy prawne tak skonstruowane, by chronić tych pierwszych.

- Praca w policji to wielka gra - tłumaczył kapitan Alvarez studentom przychodzącym do akademii. - Dobrzy faceci próbują pokonać złych facetów. My jesteśmy dobrymi facetami. Ale jest jeden mały problem, moje dzieci. Ta gra ma swoje reguły i zasady. Nasza strona musi ich przestrzegać. Żli faceci mogą je obchodzić.

Podczas dochodzenia, jak chociażby to, które właśnie prowadziła, kiedy w grę wchodziło być może życie dziecka, ona mogła wyciągnąć z ludzi tylko tyle, ile chcieli jej powiedzieć. Jeśli chciała dowiedzieć się czegoś o ich domach czy życiu prywatnym, musiała mieć nakaz.

Żeby dostać nakaz, musiała go uzasadnić, czyli wysunąć podejrzenie, to zaś było ryzykowne. Sądy i prokuratorzy woleli często powoływać się na interpretacje prawne mówiące o domniemanej niewinności podejrzanych. Wystarczyło dużo zachodu i kilkanaście sądowych odpowiedzi odmownych, by zniechęcić raz na zawsze każdego dochodzeniowca do podejmowania pochopnych decyzji.

Jedynym wyjściem, jakie pozostawało, było stworzenie ogromnego zespołu dochodzeniowego. Tylko taki zespół mógłby ogarnąć cały zakres sprawy i sprawdzić dokładnie każdą legalnie uzyskaną, choćby najdrobniejszą informację.

Tylko że w przeciwieństwie do tego, co pokazują seriale policyjne, żaden departament policji w kraju nie ma dość funduszy, które pozwalałyby na takie dogłębne dochodzenie. Zbyt wiele zdarza się przestępstw i każde -wymaga ludzi, którzy by się nim zajęli. A ludzi ciągle brakuje.

Na przykład sprawa, którą teraz prowadzi. Tylko ich dwoje i kilkoro ludzi, których Michelson jakimś cudem ściągnął do pomocy z innych departamentów. A rezultat jest taki, że nikt dotąd nie wie nawet, jakim samochodem jeździ Stefan Panesivić.

Myśli Jackie na temat ułomności aparatu ścigania przerwał sam Stefan, który właśnie pojawił się przy wejściu na parking.

Ubrany był w białe szorty i podkoszulek w takim samym kolorze. Przez ramię miał przewieszony czerwony ręcznik, a z torby wystawała mu rączka rakiety tenisowej. Jackie wydał się dziś jeszcze przystojniejszy niż przy pierwszym spotkaniu. Ta jego wysportowana sylwetka, muskularne nogi, piękna opalenizna...

- Nieźle jak na starego faceta. - Oczywiście zauważył, że Jackie przygląda mu się z podziwem. - To właśnie pani myślała, detektywie?

Posłała mu chłodne spojrzenie. - Prawdę mówiąc, zastanawiałam się, który z tych wozów jest pański.

- Nie parkuję tutaj, chyba że czasami. Trzymam swój samochód w garażu koło kampusu.

- Czym pan jeździ?

- Szarym mercedesem SL. Mogę pokazać pani dowód rejestracyjny, jeśli pani chce. - Postawił torbę na ziemi i wytarł ręcznikiem czoło.

- Nauczanie musi być popłatnym zajęciem - zauważyła Jackie. - To drogi wóz.

- Prowadzę interesy w Europie. W ostatnich latach zaczęły przynosić zupełnie niezły dochód. Policjantka wyjęła notes i zapisała kilka uwag, nie zdając sobie sprawy, z jakim rozbawieniem Stefan obserwuje jej poczynania.

- Czy ma pani jakieś stroje wyjściowe, detektywie? Z pani karnacją wyglądałaby pani cudownie w małej czarnej, na szpilkach.

- Dzięki za odpowiedź, ale jakoś nigdy stroje nie były mi w głowie. Możemy porozmawiać parę minut, panie Panesivić?

- Chodzi o Michaela? - domyślił się Stefan.

- Obawiam się, że tak.

Twarz mu pobladła. - Co? Czy... Macie jakieś wiadomości?

- Może wejdziemy jednak do środka.

Skinął głową, gdzieś zniknął kpiący wyraz twarzy. W milczeniu wjechali windą na górę.

- Czy Michael...

Pokręciła przecząco głową, ale nic nie odpowiedziała, bo winda zatrzymała się, a do środka wsiadła jakaś para z jazgoczącym pudłem na smyczy.

- Ma pani dla mnie jakąś straszną wiadomość? — Stefan odezwał się dopiero, kiedy weszli do jego mieszkania.

- Nie - uspokoiła go. To musi być piekło, przeżywać zniknięcie własnego dziecka, pomyślała. Nie wiedzieć, czy żyje, a jeśli żyje, gdzie jest, co się z nim dzieje.

159

- Wiadomość nie jest straszna - dodała. - Trochę zaskakująca.

Stefan odetchnął z ulgą. - Pozwoli pani zatem, że wezmę szybki prysznic? To potrwa tylko chwilę.

- Proszę.

Stefan ujął ją za łokieć i zaprowadził do bawialni, która tak się jej spodobała podczas pierwszej wizyty.

- Mogę pooglądać pańskie książki?

- Oczywiście - zawołał przez ramię i zniknął w korytarzu. - Jeśli znajdzie pani coś, co panią szczególnie zainteresuje, proszę sobie pożyczyć.

Zacząła przechadzać się wzdłuż szaf bibliotecznych, spoglądając na tytuły. Było tu mnóstwo książek naukowych z dziedzin, o których nigdy nawet nie słyszała, ale był też spory zbiór współczesnej literatury pięknej i okazała biblioteka poezji.

Na jednej z półek znalazła rząd książek dla dzieci. Wyobraziła sobie zasłuchanego Michaela, jak siedzi na kolanach ojca. Był wśród tych książek także „Królik Piotruś”. Jackie wyjęła książkę i zaczęła oglądać ilustracje.

Paul Arnussen mówił, że Michael jest gdzieś pod -ziemią, w norce, gdzie są małe mebelki, obrazki na ścianach.

Nagle poczuła, że ma gęsią skórę, zrobiło się jej niedobrze. Odłożyła książkę i zmarszczyła brwi.

Ciągle prześladowało ją poczucie, że ktoś powiedział jej coś bardzo ważnego, co dotyczyło losu Michaela Panesivicia.

Może kiedy wróci dzisiaj wieczorem do domu i po-

łoży się do łóżka, zgasi światło i oczyści mózg z natłoku myśli, tamte ważne zdania przyjdą same. Czasami to działało, ale nie zawsze.

- Przepraszam, że kazałem pani czekać. - W drzwiach pojawił się Stefan ubrany w szorty koloru khaki i białą bawełnianą koszulkę. - Widzę, że znalazła pani książeczki Michaela.

Jackie wyjęła zdjęcie Paula Arnussena z notesu i podała je Stefanowi. - Widział pan kiedyś tego człowieka?

- Widziałem. - Oglądał zdjęcie, marszcząc czoło.

- Kiedy? - ożywiła się Jackie.

Nadal wpatrywał się w twarz na zdjęcia - Nie wiem To jeden z tych... Cholera! Nie mogę sobie przypomnieć. Wiem, że widziałem tego człowieka nie tak dawno temu, ale nie pamiętam gdzie. Co za okropne uczucie. Pani też się zdarza?

- Tak - przytaknęła Jackie sucho. - Też mi się zdarza. - Schowała zdjęcie i usiadła w fotelu. - Dzisiaj rano usłyszałam od Leigh nie dobrą wiadomość.

- Niedobrą? - Stefan, poruszył się zaniepokojony. - Co to znaczy?

Jackie zreferowała mu pokrótce wydarzenia ostatnich dwóch dni. Opowiedziała o teście wariograficznym - Leigh, o tym, jak rozhisteryzowana kobieta zadzwoniła na posterunek i jak potem wyznała swój zakłany plan wywiezienia Michaela za granicę.

Twarz Stefana powoli tężała w maskę. - Dlaczego? - zapytał w końcu. - Dlaczego zadała sobie aż tyle -trudu?

- Żeby móc opowiedzieć wiarygodną historię i wywieść w pole policję razem z jej wykrywaczami kłamstw. Przede wszystkim jednak chciała zwiść pana. Żeby jej pan nie szukał. Żeby pan uwierzył, że pański syn nie żyje albo przynajmniej zniknął bez śladu i nie ma szans na odnalezienie, a ona o niczym nie wie.

Usta wykrzywił mu grymas złości. - Suka! Mała, przekłeta suka. Boże, miałbym ochotę...

Jackie w pewnym sensie czuła podobnie. Jej własna reakcja niewiele się różniła, kiedy pierwszy raz usłyszała opowieść Leigh. Cokolwiek myślała, nie powiedziała tego Stefanowi.

- Spokojnie - powiedziała. - Takie zachowanie donikąd nas nie zaprowadzi.

- Jakie zachowanie?

Wskazała na jego dłonie zaciśnięte w pięści. - Mam nadzieję, że nie ma pan zamiaru nikogo bić, profesorze. To nie pomoże Michaelowi.

Zmierzył ją wściekłym wzrokiem. Dopiero teraz Jackie zdała sobie sprawę z tego, ile gwałtowności może tkwić w tym człowieku. Była prawie przerażona.

Leigh Mellon twierdziła, że jej były mąż jest potworem. Widząc grymas furii na jego twarzy, Jackie pomyślała, czy nie było racji w tym określeniu.

Ale Stefan Panesivić był również człowiekiem, który poświęcał swój wolny czas, by pomagać studentom, który w swojej bibliotece trzymał książeczki o Króliku Piotrusiu i czytał je synkowi.

- Przepraszam - wykrztusił, prostując palce. - Wiem, że powinienem trzymać emocje na wodzy, ale ta przekłeta kobieta doprowadza mnie do pasji. Tak się martwię o Michaela, że nie mogę spać. -

Niezdarnie przesunął dłonią po twarzy, by ukryć oczy błyszczące od łez.

Jackie taktownie udawała, że nic nie zauważa, dając Stefanowi czas na to, by się opanował. Najpierw atak furii, teraz łzy. Furię jeszcze mogła zrozumieć, ale nie sądziła, że cokolwiek jest w stanie doprowadzić Stefana Panesivicia do łez.

- Co teraz? - zapytał głosem ciągle jeszcze pełnym emocji.

- Dalej prowadzimy dochodzenie - odparła Jackie, mając w pamięci słowa Michelsona. - Szukamy uprowadzonego chłopca, tak jak do tej pory. Tyle że teraz jesteśmy prawie stuprocentowo pewni, że Leigh nie wie, gdzie on jest.

- Jej rodzina może wiedzieć.

- Co pan ma na myśli?

Zrobił niecierpliwy gest dłonią. - Domyślam się, że poznała pani wielmożną Barbarę? Nie sądzi pani, że jest to osoba, która nie zawaha się złamać prawo, jeśli będzie chciała osiągnąć swój cel?

- Nie jestem pewna - odparła Jackie szczerze. - Staram się nie ulegać pierwszemu wrażeniu. Barbara Mellon miałyby porwać własnego wnuka bez wiedzy jego matki?

- Dlaczego nie? Mellonowie zawsze uważali, że -Leigh jest słabym ogniwem w ich rodzinnym łańcuchu.

Barbara i Adrienne są zimne i całkowicie bezwzględne, a Leigh to kobieta niedojrzała i niezdecydowana. Jeśli robiono jakieś plany pozbawienia mnie Michaela, Leigh była z pewnością ostatnią osobą, która by się o tym dowiedziała.

- Ona tymczasem twierdzi, że rodzina nie miała pojęcia o pomysle przemycenia Michaela do Kanady. Utrzymuje, że nie zwierzyła się ze swoich zamiarów nawet matce.

- I pani jej wierzy? Po tych wszystkich kłamstwach, które pani naopowiadała, trudno chyba jej ufać.

- Ma pan rację, nie wiadomo, w co wierzyć, ale Leigh jest naprawdę zrozpaczona i przerażona, nie przypuszczam, żeby udawała.

Zapadło krótkie milczenie; Jackie pisała coś w notesie, Stefan patrzył w okno z zamyślonym wyrazem twarzy.

- Co z tymi tajemniczymi ludźmi, z którymi Leigh wdała się w układy? - zapytał po chwili. - Czy jest jakaś szansa, że jednak mają Michaela, wbrew temu, co Leigh pani powiedziała?

- Sprawdzamy ich. Dam panu znać, jak tylko będę coś wiedziała. - Jackie podniosła się i ruszyła ku drzwiom. - Zadzwoń pan do mnie, jeśli coś sobie przypomni?

- Co, mianowicie?

- Na przykład, gdzie widział pan tego człowieka z fotografii.

- To ważne?

- Być może.

Stefan miał zamyśloną minę. - Postaram się poszukać w pamięci. Dokąd teraz pani jedzie?

- Zamierzam złożyć wizytę Adrienne Calder. - Jackie zauważyła przelotny skurcz na twarzy Stefana. -

Pani Mellon sugerowała, że powinnam z nią porozmawiać -- dodała od niechcienia. - Barbara

wspomniała, że Adrienne miała z panem bliższe kontakty niż reszta rodziny.

Oczy Stefana lekko się rozszerzyły, ale zbył tę uwagę milczeniem.

- Co matka Leigh, pana zdaniem, miała na myśli?

-Wzruszył ramionami. - Przypuszczam, że tb, co powiedziała. W swoim czasie ja i Adrienne byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Jest inteligentniejsza niż reszta rodziny, chociaż rozumiem, że takie określenie niewiele mówi. W każdym razie lubiłem z nią rozmawiać.

- Ale już pan z nią nie rozmawia?.

- Była pani kiedyś zamężna, detektywie Kaminsky? Jackie pokręciła głową.

- Zatem te rozkosze jeszcze przed panią. - Stefan uśmiechnął się kwaśno. - Przekona się pani, że rozwód jest czymś na kształt wojny domowej. Kiedy tylko zaczyna się walka, człowiek traci wszystkich przyjaciół po drugiej stronie.

Jackie przypomniała sobie, że Ivana Panesivić mniej więcej to samo mówiła o swojej synowej.

Pożegnała się i wyszła z mieszkania. Na parking, koło jej samochodu, dwie dziewczynki grały w jakąś skom-

plikowaną odmianę klas. Zapewne córki wykładowców. Jedna z nich, Chinka, miała lśniące ciemne włosy, równo obcięte do uszu. Druga, pulchna blondynka, nosiła sterczące kucyki przewiązane różowymi kokardami. Jackie oparła się o maskę samochodu i obserwowała je przez chwilę. Przyjemnie było słuchać ich śmiechu, patrzeć na grę słońca na dziewczęcych buziach i podziwiać ich pełne wdzięku ruchy.

- Umie pani grać w klasy? - bardzo grzecznie zapytała Chinka.

Jackie z żalem zaprzeczyła. - Nigdy się nie nauczyłam, ale coś mi wygląda, że to fajna gra.

Chciałaby świętować jak inni ludzie - spędzić resztę popołudnia w jakimś spokojnym miejscu i przyglądać się roześmianym dzieciom. Z ociąganiem wsiadła do samochodu i ruszyła w stronę południowej części miasta.

ROZDZIAŁ 13

Dom Adrienne Calder w niczym nie przypominał pełnej staroświeckiego wdzięku rezydencji jej rodziców. Modernistyczna bryła o wielkich oknach otoczona srebrzystym cedrem mieściła się na stoku wzgórza w jednym z nowych osiedli na południowo-wschodnich obrzeżach miasta.

Ogród przed domem został najwidoczniej zaprojektowany przez jakiegoś projektanta minimalistę; pośród skałek i łupku rosły kaktusy i małe iglaki. Jackie przeszła wymyślnie powycinaną łupkową ścieżką do frontowego wejścia. W masywne, dwuskrzydłowe dębowe drzwi wprawione były witrażowe szybki. Jackie odczekała chwilę i zadzwoniła ponownie, coraz bardziej zirytowana, że nikt nie otwiera.

Umówiła się z Adrianą kilka godzin wcześniej, ale ta widać należała do osób, które potrafią nie stawić się na spotkanie bez żadnego uprzedzenia. Nic jej nie obchodziło, że ktoś, kto ma dużo pracy, jedzie przez całe miasto tylko po to, żeby się z nią zobaczyć.

Zastanawiała się, co robić dalej, kiedy zza węgła domu wychynął nastolatek w olbrzymich workowatych szortach i z sekatorem w dłoni.

- Cześć - zagadnął na widok Jackie. - To ty jesteś ta gliniara?
- Owszem - odpowiedziała Jackie uprzejmie, hamując złość. - Zastałam panią domu?
- Z tyłu. - Machnął sekatorem w kierunku ścieżki wiodącej do cedrowej furtki. - W basenie. - Chłopak uśmiechnął się obleśnie i zajął przycinaniem żywopłotu z jałowca.

Kiedy Jackie znalazła się w ogrodzie, zrozumiała sens uśmiechu nastolatka. Adrienne Calder stała na drugim brzegu basenu. Miała na sobie jasnobrązowy kostium, tak skąpy i tak idealnie przylegający do opalonego ciała, że z daleka wyglądała jak naga. Wskoczyła do wody, przepłynęła całą długość basenu energicznym kraulem i zatrzymała się u stóp Jackie.

- Cześć, pani Blaszkó - zagadnęła rozkosznie. — Zrzuć te ciuchy i też popływaj. Woda jest cudowna.
- Dziękuję. Ma pani trochę czasu, żeby ze mną porozmawiać, pani Calder?
- Mam mnóstwo czasu. Prawdę mówiąc, nie mam nic innego poza czasem. Obawiam się jednak, że będziesz musiała zaprzestać tego ceremonialnego nazywania mnie panią Calder. Mam na imię Adrienne.

Wyszła z wody i sięgnęła po ręcznik leżący na jednym z ciemnozielonych leżaków. Jackie usadowiła się tymczasem pod parasolem, przy stole ze szklanym blatem.

- O co chodzi? - zapytała Adrienne, wycierając się. - Masz wyjątkowo ponurą minę.

Jackie znalazła długopis, wyjęła swój notes.

- Zawsze chodzisz w tych blezerach? Chryste, jest ponad trzydzieści stopni. Nie upieczesz się?

Jackie odchyliła połą lnianego żakietu, pokazując przytroczoną do pasa kaburę pistoletu i kajdanki.

- Wolę nie zwracać na siebie uwagi.

- I tutaj się różnimy. - Adrienne natarła ręce i nogi olejkiem do opalania, wyciągnęła się na leżaku, po czym zamknęła oczy. - Lubię zwracać na siebie uwagę. Im bardziej, tym lepiej.

Jackie przyglądała się jej z zainteresowaniem. Adrienne Calder miała ładny profil i szczupłe, wysportowane ciało. Była podobna do siostry, ale charaktery miały zupełnie odmienne. Jak dzień i noc, pomyślała Jackie, Albo raczej ciemna strona księżyca.

- Nie możesz nosić tego w torbie? - Adrienne przekreśliła się leniwie i wystawiła twarz do słońca.

- Niektóre policjantki tak robią, ale to niezbyt dobry pomysł.

- Dlaczego?

- Torbę łatwo stracić, a wtedy zaczynają się kłopoty.

Adrienne odwróciła głowę i spojrzała na Jackie zaintrygowana. - Twoja robota to naprawdę obrzydlistwo, prawda? Jedna pomyłka i po tobie.

- To prawda.

- Chyba chciałabym być gliną. - Adrienne ponownie zamknęła oczy. - Dawno temu, w zamierzchłym średniowieczu, kiedy byłam dorastającą dziewczyną i nie

miałam żadnej szansy wyboru, zastanawiałam się nawet, czy nie wstąpić do policji.

- Naprawdę? - zdziwiła się Jackie.

- Tak, naprawdę.

- Dlaczego się rozmyślałaś?

Adrienne parsknęła śmiechem. - Nie rozmyślałam się, mama rozmyślała się za mnie. Wyobrażasz sobie, Mel-lonówna upadła tak nisko, że została policjantką. Barbara o mało nie dostała zawału, kiedy poinformowałam ją o swoich zamiarach.

- Nie wydajesz mi się osobą, która przejmowałaby się specjalnie opiniami matki, Adrienne.

- Zazwyczaj się nie przejmuję, ale to moja kochana mamusia trzyma kasę, a w tamtych czasach nie miałam aż tak szalonych pragnień, żeby ryzykować odcięcie od rodzinnych zasobów.

Jackie słuchała w milczeniu.

- To cholerna pułapka. - Adrienne poruszyła się niespokojnie. - Kasa. Człowiek uzależnia się jak narkoman i koniec, jesteś związana na całe życie. Mogą cię kontrolować już zawsze, regulując dopływ. Wiesz o tym?

- Nie za bardzo - odparła Jackie sucho. - Nigdy nie miałam dopływu.

Adrienne znowu parsknęła śmiechem. - Szczęściara. Sama o sobie decydowałaś. Wywalczyłaś sobie swoją pozycję, pnąc się z samych dołów, i teraz jesteś policjantką ze spluwą przy pasku.

- Owszem - przytaknęła Jackie, zdziwiona, że ta rozmowa zupełnie jej nie denerwuje.

Chyba ze względu na postawę Adrienne. Choć nadal kąśliwa i wygadana jak podczas pierwszego spotkania, tym razem wydawała się naprawdę zainteresowana.

- Teraz nikt cię nie kontroluje - odezwała się w końcu Jackie, zataczając wokół dłonią. - Ta rezydencja należy do ciebie, prawda?

- Cholera, nie. Należy do Harlana. Gdybym go - zostawiła, dostanę swoją część, ale to on chodzi do pracy i zarabia pieniądze. Ja jestem ornamentem, detektywie. Bezproduktywna w każdym sensie, ani orzę, ani przędę.

- Stefan Panesivić powiedział mi przed chwilą, że jesteś chyba najinteligentniejszą osobą w całej rodzinie.

Adrienne nieznacznie zacisnęła dłonie na oparciu leżaka.

- Stefan naprawdę tak powiedział?

- Owszem.

- Niech będzie błogosławione jego czarne serduszko - rzuciła beztrosko.

- Twoja matka twierdzi, że kiedyś byliście bardzo zaprzyjaźnieni.

Adrienne wyjęła ze stojącej obok leżaka torby wielkie okulary słoneczne w rogowej oprawie. Gdy je założyła, jej twarz nagle zniknęła, a pojawiła się zimna nieprzystępna maska

- Moja matka nie wie o mnie nic, ale jest przekonana, że wie prawie wszystko.

Jackie wyjęła z notesu zdjęcie Paula Arnussena.

- Widziałaś kiedyś tego człowieka?

Adrienne nachyliła się, przesunęła okulary na czoło.

- Co za wspaniałe stworzenie. To twój chłopak?

- Raczej nie.

- W twoim typie. - Adrienne ułożyła się na powrót wygodnie, zsunęła okulary.

- Dlaczego tak uważasz?

Gospodyni od niechcienia machnęła ręką. - Wygląda tak samo jak ty, uczciwy, przyzwoity, poważnie traktuje swoją pracę i odnosi się z lekką rezerwą do całej reszty. To takie snobizmy klas pracujących. Jackie zaczynała trochę lepiej rozumieć Adrienne. — Próbujesz mnie zirytować, prawda? - zapytała spokojnie.

- Owszem, to silniejsze ode mnie. - Adrienne uśmiechnęła się szeroko. - Jesteś takim łatwym celem.

Jackie odpowiedziała uśmiechem. - No to przestań, bo cię aresztuję za obrazę władzy. Widziałaś kiedyś tego człowieka? - powtórzyła.

Adrienne pokręciła leniwie głową. - Nigdy. Gdybym go zobaczyła, pewnie natychmiast sprowadziłabym go do domu i już nigdy nie wypuściła. Ty nie?

Jakim człowiekiem jest Harlan Calder? - pomyślała Jackie. Wiedziała, że on i Adrienne są małżeństwem od ponad dwunastu lat, że jest wziętym adwokatem, ale nic więcej. Powinna zobaczyć się z nim po weekendzie.

- Rozmawiałaś dzisiaj z Leigh?

Adrienne obróciła głowę na poduszce. - Nie. Wszystko u niej w porządku?

- Właśnie, że nie. Dostała bardzo niedobłą wiadomość.

Słowa Jackie sprawiły, że Adrienne ściągnęła gwałtownie okulary i spojrzała na nią z przerażeniem, blada mimo opalenizny.

- Jezu - wyszeptała. - Coś z Michaelem? Dlaczego nie powiedziałaś mi od razu?

- To nic, o czym myślisz. - Jackie ponownie opowiedziała historię planowanego przez Leigh porwania i szokującego odkrycia, że mały nie jest tam, gdzie być powinien.

- Nigdy nie przypuszczałabym, że Leigh ma w sobie tyle ikry - zareagowała Adrienne ze zdziwieniem.

- Nikt nie docenia Leigh.

- Wiem. To pewnie dlatego, że Stefan całkowicie ją zdominował. Może teraz, kiedy skończyła się ta małżeńska farsa, Leigh stanie się wreszcie dojrzałym człowiekiem.

- Nadal nie wydajesz się zbyt przejęta losem Michaela - zauważyła Jackie.

- A to co za komentarz?

- Nie martwisz się, nie zastanawiasz, gdzie jest, co się z nim w tej chwili dzieje?

- Oczywiście, że się martwię, ale wątpię, żeby groziło mu prawdziwe niebezpieczeństwo.

Najprawdopodobniej jest na farmie, z dziadkami Paneseviciami i karmi kurczaki.

- Byłam na farmie, nie widziałam go.

- Ta rodzina to mała, zamknięta grupa. - Adrienne uśmiechnęła się smutno. - Nie żebym wiele wiedziała

o więziach rodzinnych, ale sądzę, że potrafiliby być solidarni, gdyby musieli ukryć małego.

Jackie zajrzała do notesu. - Twoja matka powiedziała mi, że przed laty zostałam porwana dla okupu.

Możesz powiedzieć mi coś na ten temat?

Adrienne zaklęła siarczyście pod nosem, podniosła się z leżaka i odeszła. - Chodź do środka - zawołała przez ramię. - W ogrodzie jest za gorąco, muszę się czegoś napić.

Jackie zamknęła notes i wstała zaintrygowana. Najwyraźniej dotknęła czułego miejsca.

Odczekała aż Adrienne przy wejściu do domu założy frotową tunikę i sandały, po czym poszła za nią na górę.

Wnętrze domu Calderów zaskoczyło Jackie. Oczekiwała zimnej elegancji: chrom, szkło, pastelowe kolory, ale Adrienne najwyraźniej wolała antyki i ciepłe wnętrza, kosztowne - to było widać - ale też wręcz zagracone.

i wszędzie mnóstwo zieleni.

- Musisz mieć rękę do kwiatów - zauważyła Jackie.

- Lubię rośliny. Pozwalają mi robić, co chcę, i nie odszczekują się.

Jackie zajrzała do pokoju, który wyglądał na prywatne schronienie pana domu. Gabinet wyłożony był boazerią, na podłodze leżały chodniki w ciepłych kolorach. Na oparciu jednego z krzeseł wisiała czerwona kurtka, przy

biurku stała skórzana torba na kije golfowe, a z sufitu zwieszały się modele samolotów.

- Popatrz na to. - Adrienne zatrzymała się przy kredensie w holu pierwszego piętra, masywnym meblu wykończonym na złoty dąb, z szerokimi szufladami i bogatą dekoracją.

- Śliczny - Jackie przesunęła dłonią po gładkiej, błyszczącej powierzchni.

- Kupiłam go w ubiegłym roku na wyprzedaży, na farmie w Idaho. Był w okropnym stanie, przez całe lata niszczał w spichlerzu. Odrestaurowałam go sama, tymi delikatnymi rączkami.

- Naprawdę?

Adrienne zachichotała. - Nie rób takiej zdumionej miny. Nie jestem zupełnie do niczego, tylko jestem leniem. Chodź do kuchni.

^{1A} Kuchnia, jak reszta domu, okazała się wygodna i ciepła. Ciepło to tworzyły dębowe szafki z przeszklonymi drzwiczkami, kremowe kafelki, masywne blaty ław. Na lodówce przyczepione były dwa ceramiczne magnesy w kształcie kurczaków.

Jackie usiadła przy stole, przyglądając się barwnemu upierzeniu ptaków.

- Moja matka je zrobiła - powiedziała Adrienne. -- Według tego dużego obrazu w holu.

- Wydaje mi się, że gdzieś przedtem już je widziałam. Adrienne otworzyła drzwi lodówki. - Mam dzbanek

schłodzonego likieru w lodówce, ale przyrzekłam -

Harlanowi, że nie będę piła przed czwartą. Która jest teraz?

- Za kwadrans czwartą.

- No to prawie. - Adrienne wyjęła dzbanek. - Masz ochotę na zimny likier bananowy, oficerze? Jest naprawdę pyszny.

- Nie, dziękuję. Jestem na służbie.

- Jezu, ale służbistka. To może lemoniady?

- Chętnie. - Jackie obserwowała, jak Adrienne krząta się po kuchni, wyjmując szklanki i wlewa napoje.

- Sama zajmujesz się domem?

- Jason, którego widziałas, w weekendy, a czasami też w dni powszednie po szkole, pomaga w utrzymaniu ogrodu. Trzy razy w tygodniu przychodzi sprzątaczką.

- Ale gotujesz sama?

- Lubię gotować. - Adrienne usiadła naprzeciwko Jackie i podała jej szklankę. - Niewiele wysiłku mnie to kosztuje. Harlan często jada na mieście, a ja muszę zadbać o samą siebie. Nietrudno jest przygotować kanapkę z masłem orzechowym.

Przez chwilę powiało smutkiem i samotnością. Jackie przypomniała sobie uwagę Barbary Mellon, że Adrienne i jej mąż przez lata usiłowali spłodzić dziecko i że córka dotąd nie może się pogodzić z jego brakiem.

- Adrienne, pytałam cię o porwanie.

Adrienne milczała przez chwilę, wzrok wbiła w szklankę. - Nie do wiary, że matka pamięta histo-

rie z tak zamierzchłych czasów. Wówczas robiła takie wrażenie, jakby nie zauważyła nawet mojego zniknięcia.

- Podobno nie chciałaś jej powiedzieć, co się wydarzyło.
- Jasne, że nie chciałam. Zabiłaby mnie, gdyby się dowiedziała.
- Dlaczego?

Adrienne wstała i podeszła, żeby usunąć kilka uschniętych gałązek ze stojącego na parapecie geranium.

- To był numer. Miałam wtedy takiego chłopaka, -który właściwie powinien siedzieć. On wpadł na pomysł, żeby sfingować porwanie i wyciągnąć od moich staruszków parę groszy. Byliśmy zachwyceni własną - przebiegłością. Mieliśmy uciec do Meksyku i żyć z odsetek.
 - Nikt cię nie porwał?
 - Cholera, nie. Cały ten czas przesiedzieliśmy w jakimś obskurnym motelu, pieprząc się jak króliki.
 - Ty... ile właściwie miałaś wtedy lat?
 - Czternaście. - Adrienne zmierzyła Jackie chłodnym spojrzeniem. - Burzliwe dzieciństwo, prawda? Jako nastolatka miałam kilka bardzo niemiłych spotkań z policją, od tej pory nie darzę szczególną sympatią niebieskich chłopców.
- Jackie przypomniała sobie zaczepne nastawienie Adrienne podczas ich pierwszego spotkania i w zamyśleniu pokiwała głową.
- Dlaczego więc chciałaś zostać policjantką?

- Nie mam pojęcia. Może w odwecie. Szokuję cię, detektywie?
 - Ani trochę. Ja też byłam zbuntowana. Dlaczego wtedy po ucieczce wróciłaś do szkoły?
- Adrienne machnęła niecierpliwie ręką, wrzuciła suchą gałązkę do kosza i na powrót usiadła za stołem.
- Ojciec tak długo się guzdrał z pieniędzmi, że zaczęliśmy się denerwować. Pamiętam, że zastanawiałam się całkiem poważnie, czy staruszkowie kochają mnie na tyle, że będą gotowi zapłacić okup.
- Jackie zapisała w swoim notesie coś-aa temat porwań dla okupu.
- Mówisz, że też się buntowałaś. Jakie miałaś dzieciństwo?
 - Wychowałam się w slumsach Los Angeles. Ojciec zniknął, zanim się urodziłam. Miałam może rok, kiedy matka podrzuciła mnie babci, od tego czasu ona się mną zajmowała, mną i bandą moich kuzynów. Matka umarła po przedawkowaniu narkotyków, kiedy miałam cztery lata. Jako nastolatka należałam już do gangu ulicznego.
 - Żartujesz - w oczach Adrienne zabłysło niekłamane zainteresowanie. - Co to był za gang?
- Jackie wzruszyła ramionami. - Dziecinada. Nosiliśmy towar dla dealerów, noże za pasem, dokuczaliśmy glinom i uważaliśmy się za strasznych twardzieli. Kiedy miałam szesnaście lat, brałam udział w napadzie z bronią w ręku i na dwa lata trafiłam do poprawczaka.
- Niesamowite. Byłaś okropna, tak samo jak ja.

Jackie potoczyła wzrokiem po luksusowym wnętrzu. - Wątpię żebyśmy miały ze sobą wiele wspólnego, Adrienne, ale kiedy twoja matka opowiedziała mi o porwaniu, pomyślałam, że obydwie miałyśmy równie samotne dzieciństwo.

- Na to wygląda - mruknęła Adrienne ponurym głosem. - Powiedz, jak z małego gangstera przeistoczyłaś się w glinę?

- Kiedy wyszłam z poprawczaka, musiałam coś ze sobą zrobić. Wiedziałam, że inaczej bardzo szybko pójdę na dno. Poza tym chciałam chronić innych smarkaczy przed takimi wpadkami.

Adrienne patrzyła na nią w zadumie. Jackie poprawiła się na krześle, trochę zła, że pozwoliła, by konwersacja przybrała taki obrót. Odchrząknęła i wróciła do swoich notatek.

- Chciałabym zadać ci jeszcze kilka pytań na temat twojej rodziny.

Adrienne podniosła oczy do nieba. - Blaszką znowu na służbie.

Ale jej uśmiech był teraz znacznie cieplejszy. Siadła wygodniej na krześle, wzięła szklanekę w dłoń i była już gotowa odpowiadać na dalsze pytania.

ROZDZIAŁ 14

Po powrocie na posterunek Jackie otworzyła teczkę z raportami, wyjęła notes i włączyła komputer. Wprowadziła kilka informacji do bazy danych i zmęczona zaczęła masować skronie. Kiedy trochę odpoczęła, odszukała tkwiącą w adresowniku wizytówkę.

- Cześć, Lorna. Tu Spokane, mówi Jackie. Widzę, że dla opieki społecznej nie ma świąt, podobnie jak dla gliniarzy.

- Święto? Co to takiego?

Głos był ciepły i melodyjny. Jackie uśmiechnęła się. Oczami wyobraźni widziała Lornę za jej biurkiem. Lorna, potężna, o czekoladowej skórze i roześmianych ciemnych oczach, niezwykle skuteczna w swojej pracy, wspaniała kobieta o wyrazistej osobowości.

- Jaka pogoda w L.A.? - zagadnęła Jackie.

- Gorąco i wilgotno - jak zawsze. W czym problem, kochanie?

- W piątek wieczorem dzwoniła do mnie babcia. Znowu pije.

- Och, nie - jęknęła Lorna. - Wygadywała straszne głupstwa?

- Niezgodnie. Zwiadywały się jej wielkie pająki z wampirzými kłami i błyszczącými oczami.
- Gdzie chłopcy?
- Joey jest z nią. Rozmawiałam z nim następnego dnia rano. Carmelo siedzi.
- Jezu. Coś poważnego?
- Joey twierdzi, że chodziło o jakieś wykroczenie drogowe i że Carmelo się stawiał. Taki zasadniczy. Lorna wybuchnęła śmiechem. - Zjrę do nich, okay? Jeśli zobaczę, że to coś poważnego, zadzwonię do ciebie. Jeśli się nie odezwę, to znaczy, że wszystko w porządku.
- Dzięki, Lorna. Będę ci naprawdę wdzięczna. Jackie odłożyła słuchawkę i spojrzała na Wardlowa, który wszedł przed chwilą i słyszał końcówkę rozmowy.
- Nie wiem, co robić - poskarżyła się.
- Z czym?
- Chodzi o moją babcię. Nie wiem, na czym ma polegać moja odpowiedzialność. Czasami myślę, że powinnam wrócić do Los Angeles i zaopiekować się nią.
- Jesteś wariatka. Staruszka nawet cię lubi, Kaminsky. Tylko po prostu bardzo cię wykorzystuje. Miałabyś rzucać wszystko w diabły i zaczynać znowu w patrolu w L.A., żeby babcia skłęła cię za każdym razem, kiedy się napije?
- Co za ostre słowa.
- Więzi rodzinne to wielka bzdura. - Wardlow ze -złością otworzył teczkę. - Ludzie dają sobie wmawiać głupoty, gonią za czymś, czego nie ma. A potem rozpaczają.

- Daj spokój, Brian. Naprawdę uważasz, że coś takiego jak szczęśliwa, kochająca się rodzina nie istnieje?

- Widziałas kiedyś taką?

Jackie uśmiechnęła się, żeby wprowadzić Briana w trochę lepszy nastrój. - Być może obojgu nam czegoś w życiu zabrakło, ale muszą przecież być na świecie ludzie, którzy się kochają i nie czują się samotni. Brian włączył komputer i zaczął przeglądać papiery na biurku, kończąc w ten sposób rozmowę.

- Masz coś? - zagadnęła Jackie po chwili.

- Jeden z naszych zboczeńców był w „piątek wieczorem w centrum handlowym” - powiedział Wardlow, zaglądając do fiszek. - Waldemar Koziak, pięćdziesiąt siedem lat, siedem wyroków za obnażanie się w miejscach publicznych, akty lubieżne i inne przestępstwa na tle seksualnym.

Wszystkie dokonywane wobec dzieci. Mieszka w tanim pensjonacie w śródmieściu i żyje z zasiłku. Nie ma alibi na piątkowy wieczór, ale kelnerka widziała go w restauracji szybkich dań około szóstej.

- Ktoś z nim rozmawiał?

- Byłem u niego godzinę temu. Spał jeszcze. Jezu - Wardlow otrząsnął się. - Co za wstrętny menel.

- Co powiedział?

- Zaczął coś bełkotać, kiedy zobaczył moją blachę, wszystkiemu zaprzeczał, a potem w ogóle się zamknął i powiedział, że bez adwokata nie będzie odpowiadał na żadne pytania. Wątpię, żeby miał coś wspólnego ze sprawą. Nigdy dotąd nie dopuścił się przemocy, nikogo nie

porwał, poza tym jest odrobinę niedorozwinięty. W każdym razie nie dość bystry, żeby coś ukryć przed glinami. Jackie westchnęła. - Jakie masz plany wobec niego?

- Strata czasu, ale pochodzimy za nim przez kilka dni, postraszymy faceta, a potem spróbujemy go przepytąć. Chcesz być przy przesłuchaniu?

- Jasne. Coś jeszcze?

- Jak cię nie było, dzwonił nasz rzecznik ze śródmieścia, media domagają się oświadczenia o postępach w dochodzeniu. Musimy przygotować krótką informację. Michelson chce wiedzieć, co im powiesz.

- Tyle tylko, że dochodzenie jest w toku, że przesłuchujemy ludzi i czekamy na wszelkie informacje dotyczące chłopca. Ze będziemy do odwołania pokazywać w telewizji zdjęcie Michaela i że numer telefonu, pod który można dzwonić w jego sprawie, nadal jest czynny. ^A - Dobra. Co z Arnussenem?

- Jak na razie to nasz najlepszy strzał - stwierdziła Jackie. - Nie sądzisz?

- Taaa... Okazuje się, że w kartotekach FBI mają akta dotyczące niewyjaśnionych zabójstw dwojga dzieci w miejscach, gdzie mieszkał.

Jackie gwałtownie poderwała głowę. - W czasie kiedy tam mieszkał?

- Daty są niepewne.

- Mów dalej - zażądała Jackie z niecierpliwością w głosie.

- Chodzi o małą dziewczynkę w Billings, która znik-

nęła z kempingu i którą znaleziono pół roku później w jakieś stodole w pobliżu miasta.

- Zgwałcona?

- Ciało było w stanie takiego rozkładu, że nikt nie potrafił ustalić ani daty, ani przyczyny śmierci.

- A druga sprawa?

- Arnussen mieszkał w Boise, kiedy zaginął tam czteroletni chłopiec. Znalaziono go po dwóch dniach w jakimś rowie. Został zgwałcony, a potem uduszony własnym sznurowadłem. Sprawa do dziś pozostała nierozwiązana.

Jackie zamyśliła się. - Arnussen mieszkał w obydwu tych miastach w czasie, kiedy dokonano zbrodni?

- Na to wygląda. Ale to duże miasta. I żaden dowód. Poza tym nie wiemy, czy ktoś zamordował dziewczynkę, mogła umrzeć w sposób naturalny, choćby z głodu, jeśli zabłądziła. Ciało znaleziono w opuszczonej stodole, w odludnym miejscu.

- Czy Arnussen w tamtych przypadkach zgłaszał się na policję? Znalazłeś może jakiś ślad w aktach?

- Jeśli tak, to mógł co najwyżej dzwonić. Anonimowo albo pod zmienionym nazwiskiem.

- Pojadę z nim porozmawiać. - Jackie spojrzała na zegarek. - Niech to diabli. Nie wiedziałam, że już tak późno. Nie dotrę tam przed kolacją.

- Co zamierzasz?

- Chcę zobaczyć, czy będzie rozmawiał i jak zareaguje na informacje o tamtych dzieciach. Dziwny facet - powiedziała z niechęcią. - Nie mogę go rozgryźć.

- Myślę, że powinniśmy trochę z nim pograć.

Wardlow zaczął stukać w klawiaturę.

Ostatnia uwaga partnera najwyraźniej zaskoczyła Jackie. - Mamy dalej udawać, że wierzymy w te jego widzenia?

- A co nam szkodzi? Dlaczego nie traktować go jak prawdziwego jasnowidza? Zabierz go w kilka miejsc związanych ze sprawą, powiedz, że jesteś ciekawa, czy coś rozpoznaje, czy odbiera jakieś wrażenia, czy czuje, co się dzieje z małym.

- Nie mam pojęcia, jak wygląda współpraca policji z jasnowidzem A ty brałeś kiedyś udział w podobnej sprawie?

- Raz. - Wardlow odchylił się na krześle. - Kilka lat temu. Zaginęła dziewiętnastoletnia dziewczyna, barmanka. Wyszła z pracy, miała iść prosto do domu. Był mroźny zimowy wieczór, a ona mieszkała jakieś siedem przecznic od baru. Rozpłynęła się w powietrzu. Nie było ani cienia śladów, żadnych podejrzanych. Po miesiącu sprowadzili jasnowidzącą z Illinois, która współpracuje z policją w całych Stanach.

- I?

- Na pierwszy rzut oka baba niczym się nie wyróżniała. Nie miała ze sobą żadnych sów, szklanych kul. Nawet oczu nie miała nawiedzonych. Przeciętna kobiecina - pulchna, w średnim wieku, w dżinsach - taki typ mamuśki. Zaprowadziliśmy ją do baru i stamtąd ruszyliśmy tą samą drogą, którą zwykle chodziła dziewczyna. Poprosiliśmy, żeby opowiadała nam swoje wrażenia.

- Wrażenia?

- Chaotyczne obrazy. Zobaczyła poćwiartowane ciało dziewczyny w jakiejś metalowej wannie, tak to określiła, a wokół skały albo kamienie. I dużo szarości.

- Wielkie mi mecyje. W zimie wszędzie jest szaro

- fuknęła Jackie lekceważąco. - Coś z tego wynikło?

- W dwa tygodnie po jej wizycie znaleźliśmy ciało. Dziewczyna została pocięta na kawałki piłą łańcuchową i wrzucona do betoniarki w opuszczonej żwirowni.

Jackie schowała do torby międzymiastową kartę telefoniczną i w milczeniu słuchała relacji partnera.

- To było upiorne - ciągnął Wardlow - ale od tamtego czasu nie jestem już takim sceptykiem, jak dawniej.

- Uważasz więc, że Arnussen mówi prawdę? Wardlow po chwili zastanowienia pokręcił głową. -

- Wątpię. Nie on. Nie wiem, o co mu chodzi, ale myślę, że najlepszy sposób wydobywania z niego tego, co wie, to traktowanie go poważnie.

- Chyba masz rację. Spróbujemy.

- Uważaj, Kaminsky. Jeśli będziesz chciała gdzieś go zabrać, powinienem jechać z wami. Nie wsiadaj z nim sama do wozu.

- W porządku - obiecała Jackie. - Umówię się z nim na jutro. O ile się zgodzi. - Rzuciła partnerowi pytające spojrzenie.

- Może być - mruknął Wardlow, wlepiając wzrok w klawiaturę. - Nie planowałem wyjazdu na świąteczny

piknik. - Zmienił szybko temat. - Co tam jeszcze mamy? Co z innymi członkami rodziny?

- Chryste, co to za ludzie, Brian. Wszyscy są absolutnie pewni, że chłopca przetrzymuje druga strona. Są między nimi jakieś trudne do określenia powiązania, jakieś dziwne relacje. Gdzieś w tle pojawia się również Ar-nussen. Przynajmniej dwie osoby - ojciec Michaela i jego opiekunka - mają wrażenie, że gdzieś go już widziały. Czuję się tak, jakbym coraz głębiej i głębiej zapadała się w ruchome piaski.

- Rozmawiałaś dzisiaj z siostrą Leigh, prawda? Jackie skinęła głową.

- Powiedziała coś ciekawego? Pamiętam, że w czasie waszego pierwszego spotkania była podobno bardzo zdziorna i uszczypliwa.

- Coraz bardziej nabieram przekonania, że Adrienne ani trochę nie jest taka, za jaką chciałaby uchodzić. Być może to po prostu bardzo samotny człowiek. Ciągle się zastanawiam. Coś sobie przypomniałam. Mógłbyś poprosić jednego z twoich chłopców, żeby coś dla mnie sprawdził? Wardlow teatralnym gestem otworzył swój notes.

- Jasne. Co tylko zechcesz.

- Interesuje mnie Harlan Calder. Jest prawnikiem, pracuje dla wielkich korporacji. Sprawdźcie, czy nie miał ostatnio jakichś problemów finansowych i czy nie potrzebuje gwałtownie większej gotówki. Wardlow uniósł lekko brwi, ale zapisał polecenie.

- Co z tymi wybawicielami dzieci? - zapytała Jackie.

- Zlokalizowaliśmy numery telefonów, które dała ci Leigh. Mamy się spotkać obydwójce z jednym z tych aniołów stróżów w środę, zaraz po Dniu Niepodległości. Michelson ma rację, nie powiedzą nam nic, czego już byśmy nie wiedzieli.

- Jesteś pewien, że nie mają Michaela?

- Prawie pewien. Ci ludzie są naprawdę zaangażowani w to, co robią. Metody mają może mało chwalebne, ale wedle wszelkich danych uczciwie troszczą się o dzieci. No i jaki miałiby mieć motyw poza pieniędzmi, a to Leigh wykluczyła.

- O ile możemy jej wierzyć - dodała Jackie ponuro.

- Myślałem, że jej wierzysz.

- Chyba tak. Jest kompletnie załamana. Myślę, że tym razem mówi jednak prawdę.

Zapadła cisza. Obydwójce zajęli się pracą, przez dobrą chwilę stukali w skupieniu w klawiatury swoich komputerów i przerzucali zebrane dane na twardy dysk. Raptem Brian jęknął i ukrył twarz w dłoniach, a jego ramionami wstrząsały drgawki.

Przerażona nie na żarty Jackie przyskoczyła do partnera i położyła mu dłoń na plecach.

- Brian?

Wardlow podniósł ku niej bladą, znękaną twarz.

- Nic, nic - mruknął. - Wracaj do roboty, Kaminsky. Sięgnął drżącą ręką po jakieś papiery i odwrócił się do niej plecami.

- Na litość boską, Brian.
- Wszystko w porządku. Zostaw mnie samego.
- Posłuchaj, ja mówię ci wszystko. - Jackie nie dała się zbyć. - Wiesz o mojej babci, o kuzynach. Zwierzałam ci się nawet z kłopotów z właścicielką domu, w którym mieszkam. Mógłbyś mi w końcu powiedzieć, co cię dręczy.
- Mruknął coś niezrozumiale, ciągle odwrócony plecami.
- Co? - zapytała Jackie. - Nie słyszę cię.
- Powiedziałem, że Sarah chyba mnie oszukuje. Jackie mocniej zacisnęła dłoń na jego ramieniu. Nie wiedziała, co powiedzieć.
- Zaglądałem ostatnio do jej torebki - przyznał z ociąganiem. - Dziś rano znalazłem tam... jakieś liściki. - Głos mu się załamał.
- Och, Brian. - Jackie objęła go niezdarnie i przytuliła. - Może to nie to, co myślisz.
- W ostatnich miesiącach nie układało się między nami, ale powtarzałem sobie, że w końcu wezmę ze dwa tygodnie urlopu, wyjedziemy gdzieś razem, zastanowimy się i spróbujemy jakoś rozwiązać nasze problemy. Myślałem, żeby namówić ją na dziecko. Teraz już chyba za późno.
- Weź trochę wolnego. Jeśli chcesz, porozmawiam z Mi-chelsonem. Może udałoby się nawet załatwić zwolnienie.
- W samym środku dochodzenia?
- Przynajmniej spróbujmy pogadać o...
- Będę ją śledził - przerwał Wardlow gwałtownie. -Przyłapię ich razem.

189

- I co zrobisz?

- Nie wiem. - Zacisnął pięści. - Nie mam pojęcia, co zrobię.

Jackie mimo woli zerknęła na pistolet Briana. Zauważył jej spojrzenie i wybuchnął śmiechem. - Co? Zamierzasz zabrać mi pistolet? Rozbroisz mnie dla mojego własnego dobra?

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała spokojnie, choć serce biło jej szybciej, niż powinno. - Jesteś za bystry, żeby zrobić coś tak głupiego.

Wardlow wlepił wzrok w ekran monitora.

- Nie?

- Tak - mruknął Wardlow z goryczą. - Jestem za -bystry, żeby zrobić coś tak głupiego.

Przysunął krzesło z powrotem do biurka i zaczął z ponurą determinacją walić w klawiaturę.

Jackie wróciła do domu z dwiema wielkimi torbami zakupów w ramionach; zonglując nimi, usiłowała odszukać klucze, kiedy otworzyły się drzwi naprzeciwko i wysunęła zza nich czarna główka.

- Cześć, Tiff. - Jackie odstawiła torby i zaczęła przewracać wszystko w torebce. Mała zrobiła krok na korytarz, trzymając się ciągle drzwi. Miała zabronione wychodzić samej z mieszkania, ale dopóki łapka trzymała się drzwi, Tiffany uważała, że wszystko jest w porządku.

- Tony przychodzi na kolację - oznajmiła.

Jackie znalazła wreszcie klucze. Podniosła głowę. -

- Lubisz Tony'ego, kochanie?

Tiffany energicznie pokiwała głową. - Jest fajny. Tak się śmieje. - Tiffany położyła dłoń na brzuszku i wydała z siebie głęboki, tubalny, pełen wesołości dźwięk.

- Lubię ludzi, którzy tak się śmieją, wtedy i ja zacznam się śmiać.

- Przynosi mi ciastka z piekarni. - Tiffany puściła się drzwi i rozłożyła szeroko ramiona. - Widzisz, Jackie, jak ładnie jestem ubrana. - Miała na sobie białą bawełnianą koszulkę w truskawki i różowe sztruksowe spodnie.

- Sama wyglądasz jak ciasteczko. - Jackie uśmiechnęła się szeroko. - Zobaczysz, zaraz cię schrupię. Mała pisnęła zachwycona i na powrót chwyciła się drzwi. - Mama powiedziała, żebyś przyszła na kolację. Przyjdiesz? - dopytywała się.

Jackie wzięła ją w ramiona i przytuliła ciemną główkę do policzka. - Nie dzisiaj, kochanie. Zjem coś i muszę wracać do pracy. Powiedz mamie, że zobaczymy się w najbliższych dniach.

- Pojedź z nami jutro na piknik.

- Piknik? - Powtórzyła Jackie, nadal trzymając Tiffany w ramionach.

- Nad rzeką. Jutro święto - oznajmiła Tiffany. - Tony zabiera nas na piknik i będziemy oglądać sztuczne ognie. Mama i Tony mówią, że powinnaś z nami pojechać.

Jackie uśmiechnęła się. - To bardzo miło z ich strony. Lubię święto czwartego lipca, pikniki i ognie sztuczne, ale jutro muszę pracować.

Tiffany odchyliła się i spojrzała Jackie w oczy,

a potem skrzywiła się. - Ciągle musisz pracować. To niedobrze.

- Pewnie, że niedobrze. No, wracaj już do środka, Tiff, zanim mama zacznie cię szukać. - Jackie postawiła ją na ziemi i patrzyła jak mała plamka bieli i różu znika w mieszkaniu.

Zanim mama zacznie cię szukać. Przed oczami pojawiła się jej buzia Michaela Panesivicia i nagle przestała się uśmiechać. Wniosła zakupy do mieszkania, wypakowała jedzenie i przeszła do sypialni. Z ulgą zrzuciła służbowe ubranie i przebrała się w-stary bawełniany dres.

Przypomniała sobie, jak Adrienne kpiła z jej stroju i jakie wrażenie wywarł na niej widok pistoletu. Sporo ludzi w ostatnich dniach było pod wrażeniem jej pistoletu, pomyślała mimochodem. Nawet wiekowa Grace Philips, matka Helen, zdawała się nim zafascynowana.

Wróciła do kuchni, przygotowała sobie omlet z pieczarkami i sałatkę. Jej dłonie poruszały się machinalnie; myśli miała zaprzątniętą sprawą Michaela, a w uszach dźwięczały jeszcze echa odbytych rozmów. Przed oczami przesuwwały się twarze rozmówców. Ciągle dręczyło ją uczucie, że przeoczyła coś istotnego, ale pamięć nie podsuwała żadnej podpowiedzi.

Usiadła z talerzem przy stole i zabrała się do jedzenia. W mieszkaniu było tak cicho i przeraźliwie pusto. Pożałowała, że nie przyjęła zaproszenia Tiffany na wspólną kolację. Ale Carmen i Tony spotykali się od niedawna

i powinni mieć czas tylko dla siebie. Nie chciała im przeszkadzać w stawaniu się rodziną. Rodzina. Wracała myślami do rozmowy telefonicznej z babcią, do Adrienne Calder, najwyraźniej samotnej w swoim pięknym domu, do swoich kuzynów lekkomyślnie marnujących sobie życie. I jeszcze Brian, biedny, przygnębiony Brian, któremu rozpada się małżeństwo. Wszyscy rozpaczliwie szukamy kogoś bliskiego, a potem wzajemnie się unieszczęśliwiamy, rozmyślała smutno.

Pokiwała głową nad tym, co powiedział Wardlow: nikt nie jest szczęśliwy, wszystkie związki są z gruntu nieudane. Ile gorczy zawierało się w jego słowach. A ona sama? Czy łączyła ją kiedyś z kimś naprawdę serdeczna więź, coś, co mogłoby przetrwać?

Był kiedyś Kirk Alveson, młody policjant, jej partner w burzliwych, czasach służby w Los Angeles. Zaprzyjaźnili się i zostali kochankami. Być może wyszłaby za niego za męża, ale Kirk zginął pewnej letniej upalnej nocy podczas starcia z gangiem ulicznym.

Od tamtego czasu minęło siedem lat. Dzisiaj nie była już w stanie przypomnieć sobie twarzy Kirka. Ich związek wynikał chyba z tego, że prowadzili taki sam tryb życia, razem pracowali i czuli do siebie pociąg fizyczny. Gdyby się pobrali, teraz byłiby skłóconą parą, może nawet po rozwodzie, z dwójką nieszczęśliwych dzieci rozdartych między rodziców.

Pomyślała o Michaelu Panesiviciu i jego rodzicach.

Leigh i Stefan, tacy inteligentni, kulturalni i wykształceni, pomimo to nie mogli się porozumieć co do podziału obowiązków rodzicielskich bez wypowiedzenia sobie otwartej wojny. A najbardziej cierpiało na tym, jak zawsze, dziecko.

Gdzie jesteś, Michaelu? Co się z tobą dzieje? Żyjesz jeszcze? Przed oczami stanął jej Paul Arnussen odrywający łomem deski z podłogi starej werandy, jego silne, napięte mięśnie. W zamyśleniu zaczęła wodzić widelcem po serwetce.

W innych okolicznościach ją pewno zainteresowałyby się przystojnym cieślą. Podobała się jej ta twarz, będąca, jak jej własna, równie dziwną krzyżówką etniczną; wynik nieprawdopodobnego spotkania ludzi odległych ras i narodowości, których ścieżki zetknęły się jakby tylko po to, by pojawił się na świecie Paul. Czyniło go to wyjątkowym i przydawało mu tajemniczości. Jackie zdążyła się jednak nauczyć przez lata służby w policji, jak bardzo człowiek może się mylić w swoich sądach, szczególnie kobieta, która próbuje ocenić mężczyznę.

Jak ma traktować rzekome zdolności parapsychologiczne Paula Arnussena? Nie wierzyła w takie rzeczy. Nawykła do ważenia każdego usłyszanego słowa po prostu nie wierzyła, że Paul Arnussen jest autentycznym jasnowidzem.

W najlepszym razie miała go za swego rodzaju podglądacza, który czerpie przyjemność z uczestniczenia w policyjnym dochodzeniu, w najgorszym był uwikłany

w zbrodni tak ohydne, że wzdrygała się o nich myśleć, bo co może być ohydniejszego od torturowania i mordowania niewinnych dzieci?

Przed chwilą trzymała w ramionach małą Tiffany, słodko pachnące i roześmiane, trochę zawstydzone dziecko. Jak strasznie przerażona musiałaby być Tiff, gdyby ktoś próbował...

- Boże - jęknęła. Szybko wstała i odniosła talerz do zlewu. Pozmywała naczynia i zerknęła na zegarek. Kilka minut po szóstej. Za wcześnie, żeby jechać do Paula Arnussena. Nawet jeśli wrócił już do domu, da mu czas na wzięcie prysznic i zjedzenie kolacji - na chwilę wytchnienia po całym dniu pracy.

Otworzyła drzwi balkonowe i usiadła po turecku na rozłożystej otomanie na wprost nich. Na skwerze przed domem grupka dzieciaków grała w dwa ognie.

Przyglądała się im przez chwilę, po czym otworzyła leżący obok otomany futerał, wyjęła flet i spróbowała zagrać z pamięci „Greensleeves”.

Po kilku nieudanych próbach zrezygnowała, wyciągnęła partyturę z dna futerału, położyła ją sobie na kolanach i zaczęła od początku. Tylko od czasu do czasu wydobywała czystą nutę. Nie miała czasu ćwiczyć i w tym tkwił problem. Musiała zrezygnować z lekcji, bo pojawiała się na co drugiej, co trzeciej, aż w końcu nauczycielka straciła cierpliwość.

Usiłowała uczyć się sama, tak układać sobie czas, by raz na kilka dni zarezerwować sobie godzinę na granie,

ale i to nie zawsze się udawało. Mimo wszystko muzyka sprawiała jej przyjemność. Gra na flecie była rodzajem oczyszczenia, tak jakby dźwięki instrumentu miały moc wchłaniania samotności i wszystkich trosk, a w zamian przynosiły spokój i pociechę.

Za kogo ty się masz? - W uszach zabrzmiał jej skrzeczący głos babki, ponownie podniosła flet do ust. - Wydaje ci się, że Jackie Kaminsky to dobrze urodzona panna, która może grać na flecie? Myślisz, że jak się nauczysz grać, będziesz taka sama jak te wytworne kobiety, z którymi rozmawiasz, że upodobnisz się do Leigh Mellon, Adrienne czy Barbary? Nie, choćbyś nie wiem jak się starała, zostaniesz tym, kim jesteś. Jesteś żałosna Jackie, naprawdę żałosna.

Położyła flet na kolanach i zapatrzyła się w błękitne niebo nad balkonem. Mogę być, kim chcę, odpowiedziała w myślach staruszce. Ciagle się ze mnie naśmiewałaś, babciu, ale teraz już mnie nie dosięgniesz. Znowu zaczęła grać, niepewnie, fałszywie. Grała tak długo aż obraz babki zniknął, a dźwięki zaczęły brzmieć znośnie.

Przed siódmą przebrała się w dżinsy i czerwoną koszulkę w kratę, założyła też lekki żakiet z denimu. Przytroczyła do paska pistolet i kajdanki. Tak przygotowana wyszła z domu.

ROZDZIAŁ 15

Drzwi otworzyła jej mała pulchna kobieta o pomarszczonej twarzy, czujnych niebieskich oczach i włosach ufarbowanych na niesamowity pomarańczowy kolor. Miała na sobie welurowy błękitny dres, a na nogach klapki ozdobione plastikowymi kwiatami.

- Pani Lederer? - Jackie pokazała swoją odznakę. - Jestem detektyw Kaminsky. Chciałabym rozmawiać z panem Arnussenem.

Kobieta patrzyła na nią z jawną wrogością. - Dlaczego czepiacie się tego biednego chłopca? On nie zrobił nic złego.

- Wiem - padła standardowa policyjna odpowiedź. - Pan Arnussen pomaga nam w dochodzeniu.

Pani Lederer przestąpiła z nogi na nogę, dłoń cały czas trzymała na framudze drzwi, jakby chciała dać do zrozumienia, że Jackie nie ma czego szukać w jej domu.

- Dobrze - powiedziała wreszcie, odsuwając się z wyraźnym ociąganiem. - Jest na dole. Dopiero co wrócił z pracy.

Jackie weszła do holu pachnącego gotowanymi potrawami i pastą.

- Tędy. - Pani Lederer wskazała dłonią na wiodące w dół schody. - Pierwsze drzwi na prawo.

- A pozostałe? - zagadnęła Jackie. - Ma pani jeszcze innych lokatorów?

Kobieta pokręciła głową. - Tylko Paula. Dalej jest łazienka i pralnia.

- Dziękuję. - Jackie uśmiechnęła się automatycznie i zeszła na dół. Zapukała do drzwi. Chwilę czekała, zanim na progu pojawił się Paul Arnussen. Był bosy, w dżinsach i podkoszulku. Przed chwilą musiał brać prysznic, bo na wilgotnych włosach były jeszcze wyraźne ślady grzebienia.

Szeroko otworzył oczy na widok Jackie. - Witam, detektywie. Czyżby była pani w okolicy i postanowiła wpaść z wizytą?

- Coś w tym rodzaju. Mogę wejść?

- A mogę pani nie przyjąć?

- Oczywiście, że tak. Dajmy spokój tym słownym potyczkom, dobrze? Przyjechałam, żeby prosić pana o przysługę.

Gestem zaprosił ją do środka. Kiedy zamknął drzwi, poczuła się trochę jak w potrzasku, sam na sam z silnym, zwinnym przeciwnikiem. Zbyt późno przypomniała sobie napomnienia Wardlowa, żeby mieć się na baczności.

Wardlow mówił o samochodzie, uspokajała samą siebie. Są przecież w domu, na górze czuwa pani Lederer.

- Zdenerwowana? - zapytał, mierząc ją przenikliwym spojrzeniem.

- Skądże - zaprzeczyła Jackie, siadając i rozglądając się po pokoju. W kuchni Arnussena panował idealny porządek. Podobny porządek miała u siebie. Na gazie bulgotał garnek z jedzeniem. Na stole stało jedno nakrycie, obok szklanka z wodą i starannie złożona papierowa serwetka. Stały tam też maselniczka i koszyk z pieczywem.

- Dba pan o estetykę jedzenia - stwierdziła zaskoczona pieczołowitością gospodarza.

- Człowiek musi, kiedy mieszka sam. Inaczej zaczyna żyć jak w chlewie. Przepraszam na chwilę. Jackie słyszała, jak krząta się po sąsiednim pokoju, otwiera i zamyka szuflady. Korzystając z okazji, rozejrzała się po wnętrzu. Na podłodze leżało żółte linoleum, miejscami przetarte do gołego cementu, na ścianach wisiały białe szafki. Surowe wnętrze pozbawione jakichkolwiek ozdób, jeśli nie liczyć ściennego kalendarza ze zdjęciem dzikich koni pędzących z rozwianymi grzywami w kierunku zachodzącego słońca.

- Wspaniałe zdjęcie - pochwaliła, kiedy Arnussen wrócił do kuchni w świeżej białej koszuli.

- Lubi pani konie? - Ustawił na stole drugie nakrycie.

- Ja dziękuję - zastrzegła się Jackie. - Jadłam już kolację.

- Może w takim razie kawy?

- Poproszę.

Paul nałożył sobie porcję gulaszu, po czym podsunął Jackie kubek świeżo parzonej kawy.

- Niewiele wiem o koniach - powiedziała. - Chyba

nigdy nie widziałam żadnego na oczy, jeśli nie liczyć zamieszek w Los Angeles, kiedy do akcji wkraczały konne patrole.

Arnussen spojrzał na nią przenikliwie. Nie wierzyła w zdolności parapsychologiczne chłopaka, miała jednak niemiłe wrażenie, że potrafi czytać w jej myślach.

Wielu morderców, z którymi się zetknęła, miało podobnie przenikliwe spojrzenie. Kryła się za nim żywa inteligencja połączona z kompletnym brakiem sumienia, stąd ta zdolność spoglądania na innych zimnym, oceniającym okiem. Jackie dotknęła nieznacznie pistoletu i złożyła dłonie na kolanach. Nie da się wytrącić z równowagi temu człowiekowi.

- Jak dochodzenie? - zagadnął siadając i zabierając się do jedzenia. Chociaż prosty robotnik, maniery przy stole miały nienagane.

- Kiepsko - przyznała Jackie, patrząc jak rozsmarowuje starannie masło na kromce chleba. -

Wszystkie tropy zdają się prowadzić donikąd.

Paul przesunął cukierniczkę w jej stronę. Delikatna błękitna glina, stanowiąca komplet z dzbanuszkami na śmietankę, kiedyś pękła, po czym została starannie sklejona.

- Cukru?

- Nie, dziękuję. Piękna porcelana.

- Należała do mojej matki. Z całej zastawy zostało tylko to, kilka talerzy i komplet do herbaty.

- Matka umarła, kiedy był pan jeszcze chłopcem, prawda?

Twarz mu stężała. - Dużo pani o mnie wie, detektywie.

- Sporo. Niepokoi to pana?

Arnussen wstał, wyjął z lodówki talerzyk pokrojonych w plasterki i przykrytych folią pomidorów.

- Owszem, niepokoi mnie to - odparł krótko.

- Dlaczego?

- Ponieważ cenię sobie prywatność. Nie podoba mi się, że obcy ludzie szperają w mojej przeszłości.

Dziwi to panią?

- Naprawdę intrygują mnie pana zdolności parapsy-chologiczne - Jackie starała się nadać swojemu głosowi możliwie naturalne brzmienie. - Chciałabym się dowiedzieć, na czym to polega.

Arnussen zacisnął szczęki. - Zostawmy tę historię, dobrze? - powiedział sztywno. - Żałuję, że w ogóle się do was zgłosiłem. Niech pani o wszystkim zapomni.

Dopiero teraz zauważyła, że plaster z policzka Paula zniknął, teraz w tym miejscu widniała czerwona, długa na cal krecha.

- O Boże, musiał się pan naprawdę solidnie zaciąć.

- Okropnie krwawiło, zapaprałem całą łazienkę. Wstał i nałożył sobie drugą porcję gulaszu, Jackie tymczasem sączyła swoją kawę.

- Wygląda bardzo smacznie, sam pan gotował? - zagadnęła, chcąc rozładować napięcie.

- Cora przygotowała cały gar i zamroziła kilka słoików dla mnie. Jest świetną kucharką.

- Mówi pan o pani Lederer?

201

- Tak.

- Wynajmuje pan pokój razem z wyżywieniem?

- Właściwie nie. Ja naprawiam w domu, co trzeba, dbam o jego stan, a Cora w zamian coś dla mnie czasami ugotuje. To wygodny układ.

- Pani Lederer musi bardzo pana lubić.

- Jesteśmy zaprzyjaźnieni. - Arnussen sięgnął po następną kromkę chleba.

Jackie odchrząknęła. - Wracając do jasnowidzenia... Proszę zrozumieć, że muszę o to spytać.

Musiałabym odejść ze służby, gdybym przestała zadawać pytania. Musimy brać pod uwagę wszystko, co mogłoby nam pomóc odnaleźć Michaela.

- Jak się czuje jego matka?

- Jak to, jak się czuje?

- Jak sobie radzi? Jest załamana?

Jackie poczuła, że za chwilę krew ją zaleje. Jeśli to Paul Arnussen był odpowiedzialny za zniknięcie Michaela, nie miała zamiaru dawać mu satysfakcji i opowiadać o tym, jaką Leigh przeżywa udrękę. Przede wszystkim musiała jednak myśleć o dobru Michaela, a nie kierować się emocjami.

- Owszem, nawet bardzo - odpowiedziała. - Podejrzewam, że w ogóle nie sypia, cały czas płacze.

Wygląda strasznie.

Twarz Arnussena pozostała bez wyrazu. - Nie wiem, na czym to polega - oznajmił nagle. - Mówię o jasnowidzeniu. Przychodzi i odchodzi.

- Widzi pan obrazy, przebłyski, tak chyba pan to określił?
 - Tak - potwierdził z ociąganiem.
 - Obrazy dotyczące obcych ludzi?
 - Czasami. Staram się o tym nie myśleć. Powiedziałem wam o chłopcu, bo... niepokoiłem się o niego. Był taki przerażony.
 - Chciałabym, żeby pan mi pomógł - powiedziała Jackie, przeciągając palcem po cukiernicy.
 - W czym?
 - Jadę jutro na farmę, na której mieszkają dziadkowie chłopca. Zgodzili się, żebym przeszukała posiadłość. Pojechałby pan ze mną?
- Zaskoczony, podniósł wzrok. - Po co?
- Pomyślałam, że mógłby pan... opowiedzieć nam o swoich... wrażeniach.
- Twarz Arnussena znowu stężała. - Robi sobie pani ze mnie żarty, detektywie?
- Policja często korzysta z pomocy jasnowidzów - odpowiedziała, siląc się na spokój. - Dzisiaj to już rutynowa procedura. Pomyślałam, że mógłby nam pan pomóc, bo... - Wpatrywała się w niego z natężeniem, ściskając w dłoni nóż do masła. - Mówił pan - brnęła Jackie, mimo że z każdą chwilą czuła się coraz większą idiotką - o jakimś... kurczaku, którego widział pan obok Michaela. Na farmie są kury.
 - Chce mnie pani zawieźć na wieś, żebym oglądał kury?

Jackie postanowiła zaryzykować. - Muszę rozwiązać tę sprawę, jeśli chcę coś osiągnąć w zawodzie. To moje pierwsze ważne dochodzenie od chwili, kiedy awansowałam na detektywa. Dotąd zajmowałam się dzieciakami, które uciekły z domu, albo szukałam skradzionych samochodów. Będę panu wdzięczna za pomoc. - Znalazła właściwy ton. Paulowi najwyraźniej spodobało się, że może być ważny i decydować o życiu innych ludzi. Skinął głową.

- Dobrze - dodał przełknąwszy to, co miał w ustach. - O której?

- Przyjedziemy po pana około dziewiątej, zgoda?

- My?

- Pojedzie z nami mój partner, detektyw Wardlow.

- Rozumiem - mruknął Arnussen z kamiennym wyrazem twarzy. - Nigdy nie odpoczywacie, pani i pani kolega Wardlow? Jutro jest czwarty lipca.

- Prowadzimy ważne dochodzenie, nie możemy świętować.

- Widać nie.

Kiedy Jackie wstała, Arnussen natychmiast poderwał się zza stołu, z tą samą nieco staroświecką rewerencją, która uderzyła ją już przy pierwszym spotkaniu.

- Muszę już iść, mam jeszcze mnóstwo pracy - powiedziała.

- Co takiego?

Spojrzała na niego pytająco.

- Chodzi o tę pracę - wyjaśnił. - Jakie zadania czekają na panią detektyw o ósmej wieczorem w letni wieczór?

- Wracam do biura. Muszę wpisać swoje notatki do komputera, napisać raport i wypełnić formularze. Patrzył na nią przez długą chwilę. I znowu ogarnęło ją to samo uczucie, że swoim przenikliwym wzrokiem zagląda w zakamarki jej duszy, czyta w myślach.

- Jest pani równie samotna jak ja, prawda, detektywie Kaminsky? - powiedział miękko. - Nie ma pani na tym świecie nikogo bliskiego.

- To nieprawda - zaproponowała Jackie. - Mam bliskich przyjaciół, rodzinę.

Przerwała, widząc rozbawienie w oczach Arnussena. Chwyciła torbę i ruszyła do drzwi, bąkając coś o spotkaniu następnego dnia. Na górę dotarła niemal biegiem.

To nie do zniesienia, pomyślała, zatrzasnąwszy drzwiczki samochodu. Nie sposób tolerować kogoś, kto przeświewa człowieka na wylot, W dodatku ta jego wzgardliwa ironia. A najgorsze ze wszystkiego było zaskoczenie i współczucie, które odmalowały się na jego twarzy, kiedy zrozumiał jak puste jest jej życie.

Po dotarciu na posterunek Jackie zaparzyła sobie kawę. Znalazła jakieś stare herbatniki w szafce kuchennej i tak zaopatrzona zasiadła do komputera, i zaczęła przepisywać przeprowadzone tego dnia rozmowy.

Nie mogła uwierzyć, że od zaginięcia Michaela Panesivicia upłynęły zaledwie trzy dni. Jeszcze bardziej zdumiewające było to, że Leigh Mellon opowiedziała jej o swoim planie sfingowanego porwania raptem dzisiaj

rano. Każdy dzień był tak wypełniony, że zdawał się zamieniać w tydzień, pomyślała smętnie. A każdy detal musiał być odnotowany. Dzięki temu gdyby oficerowi prowadzącemu sprawę coś się przydarzyło, dochodzenie mogło toczyć się dalej.

Nawet gdy stukała palcami w klawiaturę, wciąż zaprzętała jej myśli ta jedna informacja, która stanowiła klucz do sprawy i która ciągle jej umykała.

Niebo za oknami pociemniało, kobieta dopiła kawę. Pora kończyć. Jackie uprzątnęła papiery na biurku, odchyliła się na krzesło i przeciągnęła. Zabrała torbę, żakiet i wyszła z posterunku, zamykając za sobą starannie drzwi.

Wsiadła do własnego samochodu, a służbowy zostawiła na parkingu. Nie chciało się jej jeszcze wracać do domu. Przez dwie godziny krążyła po mieście. Podjechała pod centrum handlowe, gdzie po raz ostatni widziano Michaela, a później skierowała się ku północnym obrzeżom miasta, gdzie Paul Arnussen miał jakoby przejechać psa.

Zawróciła i przejechała przez pogrążone w ciszy tereny uniwersyteckie, stamtąd na South Hill, pod rezydencję Mellonów. Wreszcie dotarła na East Sprague, do krzyżówki, skąd prowadziła droga na farmę Panesiviciow.

Denerwowała się na myśl o porannej wyprawie. Świadomość, że za jej plecami będzie siedział Paul Arnussen, nie była przyjemna, mimo że Wardlow miał przecież jechać z nimi i że chłopak nie mógł stanowić dla nich dwojga zagrożenia. Poza tym nie wiedziała, jak Miroslav

Panesmć zareaguje na pojawienie się Arnussena. Co będzie, jeśli nabierze podejrzeń, że przywieziony przez Jackie mężczyzna jest zamieszany w porwanie jego wnuka? Coś jednak trzeba było przedsięwziąć, skoro rutynowe procedury zawodziły.

W końcu zawróciła w kierunku centrum miasta. Cały czas myślała o kolejnych działaniach, które ją czekały.

Musi raz jeszcze porozmawiać z Barbarą Mellon, postanowiła. Było w tej kobiecie coś, szczególnie w jej relacjach z gospodynią, co chciała zgłębić.

Może powinna porozmawiać z samą Moniką, sprawdzić, co ta ma do powiedzenia? Kto wie, czy Alden Mellon, biedak zamknięty w świecie własnych rojeń, nie wyjawilby mimo woli czegoś istotnego, gdyby Barbara zgodziła się zostawić go na parę minut sam na sam z Jackie?

Chciała też spotkać się jeszcze raz z Leigh i Stefanem i prosić ich o ponowne zeznania, żeby upewnić się, czy nie będą one w niczym odbiegać od wcześniejszych wersji.

W środę razem z Wardlowem miała przepytać ludzi z organizacji „wybawicieli”, chociaż nie spodziewała się wiele z nich wyciągnąć.

Pozostawała jeszcze Adrienne Calder i jej bogaty mąż. Tak, musi koniecznie przesłuchać Harlana Caldera.

Brat Stefana, Zan, jego rozpolitykowana żona ze swoją jawną nienawiścią do Leigh Mellon.

Jackie zatrzymała się na czerwonym świetle, zerknęła przez okno i nagle zupełnie obudziła się z zamyślenia.

Była w dzielnicy pełnej klubów striptizowych, sex

shopów i nędznych barów. Ciemne już ulice rozświetlały krzykliwe neony, które kładły się jaskrawymi kolorami na chodnikach. Jakaś kobieta zatrzymała się na moment przed światłami, tuż obok samochodu, po czym zniknęła we wnęce wejściowej opuszczonego sklepu.

Zaintrygowana Jackie zatrzymała się kilkadziesiąt metrów dalej. Udawała, że poprawia makijaż i jednocześnie zerknęła w lusterko wsteczne. Kobieta ponownie wychylnęła z mroku i stanęła przed światłami. Tak, utwierdziła się Jackie w swoim pierwszym przypuszczeniu. Była to ta sama kobieta, którą kilka dni wcześniej widziała na stacji benzynowej. W króciutkiej skórzanej mini, w skąpym staniku i na wysokich obcasach zdawała się dojrzalsza niż w rzeczywistości, ale nie mogła mieć więcej niż piętnaście, szesnaście lat. Miała mocno tapirowane włosy, stanik zsunęła nisko, by odsłaniał piersi; zrobiła wszystko, by wyglądać prowokująco. Jej wiek zdradzały tylko po dziecinnemu nadąsane usta.

Jackie obserwowała, jak dziewczyna stoi pod światłami - kiedy nadjeżdżał samochód, natychmiast dawała nura w cień. Jest wystraszona, pomyślała ze współczuciem. Usiłuje złapać klienta, ale kiedy jakiś wóz zwalnia, wtedy ucieka i chowa się.

Jackie kilka razy objechała kwartał domów, obserwując zachowanie dziewczyny. Za każdym razem powtarzało się to samo: wystawanie pod światłami i paniczna ucieczka. Wysiadła z samochodu i podeszła do mrocznej wnęki.

- Jak masz na imię?

W ciemnościach mogła dostrzec tylko szopę jasnych włosów i wystraszone oczy.

- Spierdalaj.

- Tak się nie mówi - odparła Jackie spokojnie.

- Chodź do samochodu.

- Coś ty za jedna? Lesba?

- Glina. - Jackie pokazała swoją odznakę. - Wsiadaj do samochodu.

- Cholera - mruknęła dziewczyna i wysunęła się z cienia. Zachwiała się i upadłaby, gdyby Jackie nie chwyciła jej za ramię.

- Jesteś naćpana?

- Nie. I nie zrobiłam nic złego. Nie możesz mnie aresztować. - Dziewczyna podciągnęła stanik i nerwowym ruchem usiłowała obciągnąć spódniczkę.

- Nie zamierzam cię aresztować. Chcę z tobą chwilę porozmawiać - uspokoiła ją Jackie. Otworzyła drzwiczki i wpuściła ją do środka; mała wsiadła i utkwiała nieruchomy wzrok w przedniej szybie. Kiedy Jackie usadowiła się na swoim miejscu, zapaliła światło, by uważnie przyjrzeć się swojej pasażerce.

- Chryste - szepnęła. - Ile masz lat?

- Dziewiętnaście.

Jackie ogarnęła fala wściekłości na mężczyzn i na cały system, który zmusza dzieci do sprzedawania swoich ciał na ulicy. Tak mocno zacisnęła palce na ramieniu dziewczyny, że ta pisnęła z bólu. -

Pytam, ile masz lat?

- syknęła przez zaciśnięte zęby.

209

Dziewczyna uwolniła się z uścisku, zakryła twarz i rozszlochała się jak małe, skrzywdzone dziecko. Jackie zgasła światło i siedziała w milczeniu, czekając, aż małolata się wypłacze. - Zaczniemy od początku - podjęła łagodniejszym już tonem. - Ile masz lat, kochanie?
- Cz... czternaście.

ROZDZIAŁ 16

- Jak masz na imię?

Znowu głucha cisza. Dziewczyna wpatrywała się w szybę samochodu. Jackie westchnęła.

- Nie musisz podawać mi swojego prawdziwego imienia. Wymyśl coś. Jakoś muszę się do ciebie zwracać.

- Sandy - mruknęła dziewczyna, nie odwracając głowy.

- No widzisz, to nie było wcale takie trudne. Ja mam na imię Jackie. Co robisz na ulicy? Nie możesz pracować na tym rogu.

- Nic nie robiłam.

- Zatem masz szczęście. Tutaj wszystkie miejsca są dawno porozdzielane i zajęte przez zawodowe prostytutki. Masz alfonsa? - zapytała Jackie.

Dziewczyna zerknęła na nią, była zaskoczona i przerażona.

- Nie przypuszczam, żebyś miała. Posłuchaj, Sandy, powtarzam, nie możesz tutaj wystawać, bo cię pobiją. Nie tolerują amatek.

- Amatek?

Jackie westchnęła. - Musisz mieć alfonsa, jeśli chcesz

pracować w tej okolicy, skarbie. Potrzebujesz faceta, który będzie zabierał zarobione przez ciebie pieniądze i odpałał ci stałą stawkę. Spróbujesz wejść dziewczynom w rewir, spuszcza ci lanie. Nawet jeśli nie zrobią ci krzywdy, ich alfonsi dokończą robotę.

Sandy przywarła do drzwi i jeszcze bardziej odwróciła głowę. Ramiona jej drżały. Jackie zdjęła żakiet i rzuciła go małej. - Załóż to, bo zamarzniesz. - Dziewczyna wahała się przez moment, w końcu narzuciła żakiet i otuliła się nim szczelnie.

- Ja... nie jestem..rogówką - bąknęła. - Wyszłam... tylko kilka razy, bo... Pierwszy raz w zeszłym tygodniu.

- Dlaczego?

- Byłam głodna. Nie wiedziałam, jak zdobyć pieniądze.

- Dokąd jedziesz? - zapytała przerażona Sandy, gdy Jackie zapaliła silnik i ruszyła.

- Do mojego mieszkania.

- Po co?

- Bóg jeden wie. Uciekłaś z domu?

Znowu żadnej odpowiedzi. Dziewczyna zacisnęła usta, mocniej owinęła się kurtką.

- Uspokój się. Nie będę cię już o nic pytała, dopóki sama nie będziesz chciała mówić.

- Co ze mną zrobisz? Nie odsyłaj mnie do domu, nie wrócę tam, prędzej umrę.

- Umrzesz, jeśli będziesz próbowała robić to, co robiłaś dzisiaj.

- Wszystko mi jedno.

- Wcale nie jest ci wszystko jedno. Chcesz żyć. Chcesz jeść. Jesteś taka głodna, że pozwoliłabyś przelecieć się jakiemuś dupkowi, byle dał ci trochę grosza.

Sandy znowu zaczęła płakać. Tusz rozmazał się jej pod oczami i czarnymi smugami znaczył policzki. Na brodę dziewczyny spływały ciemne łzy. Jackie wyjęła ze schowka chusteczki i podała je małej. - Wytrzymaj twarz, bo ubrudzisz mi żakiet.

Sandy chlipnęła, odkaszlnęła i zaczęła wycierać twarz. - Oni byli obrzydliwi - mruknęła. - Ci faceci... obrzydliwi.

- Pewnie, że tak. Kto może płacić, żeby przespać się z dzieckiem? Trzeba być ostatnim wieprzem.

Ale... nie wszyscy faceci są tacy. Zdarzają się uczciwi, porządni, tylko tutaj raczej ich nie spotkasz.

Skreśliła na północ, w kierunku Division, w stronę domu. Kilka razy zerknęła na małą; była tak zmęczona, że oczy same się jej zamykały. Oparła się o drzwi i ciężko oddychała.

- Gdzie spałaś?

- Gdzie bądź. Wczoraj w nocy w zaułku pod kartonami, ale tak się bałam, że nie mogłam usnąć.

Miałam trochę pieniędzy z... z ostatniego razu i...

- Co się z nimi stało?

- Przyszedł jakiś z nożem. Powiedział, że mnie zabije, jeśli nie dam mu pieniędzy, to musiałam. - Usta zaczęły jej drżeć.

- Dość mazania się. - Jackie zjechała na parking w podziemiach jej domu. - Tutaj mieszkam. Zjesz zaraz coś ciepłego, weźmiesz kąpiel i do łóżka. Potem postanowimy, co dalej.

Sandy była zbyt zmęczona, żeby protestować. Zdjęła szpilki i bosą poszła posłusznie za Jackie do wind.

- Coś ci zaraz ugotuję - oznajmiła Jackie, kiedy znalazły się w mieszkaniu. - Tymczasem weź kąpiel i załóż coś z moich rzeczy. Będą trochę za długie, ale poza tym powinny pasować.

Cały czas beztrąsko pogadując, byle rozładować napięcie Sandy, przeszła do łazienki, puściła ciepłą wodę i wlała do wanny hojną porcję płynu do kąpieli. Przygotowała świeży ręcznik, z sypialni przyniosła dres, majtki, skarpety i położyła to wszystko na koszu na brudną bieliznę.

Sandy stała obok wanny zapatrzona w pieniającą się wodę. - Ślicznie pachnie - szepnęła.

Jackie popatrzyła na sztywne, tapirowane włosy, na młodą buzię z wulgarnym makijażem, na żalosny, wyzywający strój dziewczyny. He to dziecko musiało przecierpieć, pomyślała. A jednak udało się jej jakoś uniknąć alfonsów i dealerów. Pomimo wszystko robiła dzielną minę. Przypomniła sobie, jaka sama była w tym wieku, i z trudem powstrzymała się przed przytuleniem smarkuli.

- Zmyj ten makijaż - rzuciła energicznie. - Wyglądasz jak szop. Tylko nie wycieraj oczu w moje ręczniki z łaski swojej.

Wyjęła szampon, krem do rąk, suszarkę do włosów

i wróciła do kuchni. W lodówce znalazła resztki jedzenia

- trochę ugotowanego makaronu, sałatkę. Kiedy ustawiała jedzenie na stole, pojawiła się Sandy, odmieniona nie do poznania.

Na ramiona dziewczyny spływały wilgotne, gładko uczesane włosy. Ładna buzia oczyszczona była z makijażu. W za dużym dresie mała wyglądała jak uczennica pierwszej klasy szkoły średniej.

Jackie znowu poczuła przyływ wściekłości na cały świat. - Siadaj i jedz - poleciła sucho. - Pościelę ci na kanapie w salonie.

Szybko wyszła z kuchni, żeby dać dziewczynie spokojnie zjeść. Rozłożyła kanapę, rozesała pościel i już nieco spokojniejsza wróciła do kuchni. Tam zabrała się do zmywania naczyń. Sandy zjadła wszystko do ostatniego kęsa. Jej talerz lśnił, tak go wyczyściła.

- Dziękuję bardzo - powiedziała tonem dobrze wychowanego dziecka, odstawiając szklanę po mleku.

- Bardzo mi smakowało.

- Wszystko smakuje, kiedy człowiek jest głodny. Mała spuściła głowę. - Naprawdę jesteś gliną?

- Naprawdę.

- Ale nie nosisz munduru.

- Jestem detektywem. Chodzę do pracy w cywilnych ciuchach - mówiła Jackie z wymuszoną beztrąską. - Jutro muszę być w pracy wcześniej rano. Będiesz pewnie jeszcze spała. Nie wiem, o której wrócę do domu. Zostawię ci klucz na stole, gdybyś chciała gdzieś wyjść.

Mimo oczywistego zmęczenia Sandy szeroko otworzyła oczy. Patrzyła na Jackie, jakby nie pojmowała znaczenia jej słów. - Wyjdiesz i zostawisz mnie tutaj samą? Nie boisz się?

- Czego miałabym się bać?

- Mogę... coś ukraść, wpuścić tutaj kogoś albo...

- Nie zrobisz tego - stwierdziła Jackie. - A teraz spać. Widzę, że padasz z nóg.

Sandy podreptała za nią do salonu, spojrzała na czystą pościel, miękkie poduszki. Łzy napłynęły jej do oczu. - Nie wiem, co powiedzieć - bąknęła bezradnie. - Tak tutaj... ładnie.

- Nic nie musisz mówić. - Jackie odgarnęła kołdrę i popchnęła delikatnie Sandy na łóżko. - Zwiń się i śpij. Pilot do telewizora leży na stoliku. W lodówce masz mnóstwo jedzenia. Na regale są książki, gdybyś chciała sobie poczytać. Rano, przed wyjściem, przygotuję ci jakieś ciuchy do przebrania. Postaram się wrócić do domu na kolację.

- Jak ucieknę, to będziesz mnie szukała? - Dziewczyna leżała już na kanapie. Kołdrę podciągnęła pod brodę, buzię miała bladą z wyczerpania.

- Nie. Jeśli uciekniesz, będziesz zdana na samą siebie, skarbie.

- Co ze mną zrobisz, jak zostanę?

- Nie mam pojęcia. Później o tym porozmawiamy. Znajdę ci jakieś miejsce, skoro nie chcesz wracać do domu.

- Nie mogę wrócić! - Buzia Sandy wykrzywiła się nagle. - Za nic nie mogę wrócić. Mój ojczym...
- Już dobrze. - Jackie odgarnęła włosy z czoła dziewczyny. - Nie musimy o tym rozmawiać. Przyrzekam ci, że nie podejmę żadnych decyzji bez porozumienia z tobą, zgoda?
- Sandy skinęła głową, powieki jej opadły. Jackie nadal głaskała ją po głowie. - Śpij dobrze, dziecko. - Po chwili podniosła się, zgasiła światło i na palcach przeszła do swojej sypialni.
- Mała jeszcze spała, kiedy wychodziłaś do pracy? - Wardlow patrzył na koleżankę wzrokiem pełnym niedowierzania.
- Jackie kiwnęła głową i skręciła w ulicę, przy której mieszkał Paul Arnussen. - Jak kamień. Chyba nie obróciła się w łóżku przez ostatnich osiem godzin.
- Wariatka - oznajmił z naganą i oparł się o zagłówek fotela. - Kompletna z ciebie wariatka, Kaminsky.
- Niby dlaczego?
- Zostawiłaś w swoim mieszkaniu smarkulę, o której nic nie wiesz. Nie znasz nawet jej imienia, prawda?
- Nie znam. Sprawdziłam rano wszystkie komunikaty o zaginionych dzieciach, ale nie było żadnej dziewczyny z takim imieniem.
- No widzisz! Nikt nie zgłosił jej zaginięcia. To na pewno zawodowa złodziejka.
- Jakoś się nie przejmuję - odparła Jackie pogodnie.

- W moim mieszkaniu niewiele jest rzeczy do ukradzenia.

Wardlow położył dłoń na klamce i zaczął w nią bębnić palcami. Był wyraźnie zirytowany. Po chwili zaparkowali przed domem Cory Lederer, Jackie zerknęła na zegarek.

- Obiecał, że będzie na nas czekał.

Ciągle naburmuszony Wardlow otworzył z ociąganiem drzwiczki. - Pójdę po niego.

- Może... - Jackie nie skończyła zdania, gdy przed domem pojawił się Paul Arnussen w niebieskich dżinsach i wysokich butach. Na oczy nasunął nisko czapkę baseballową.

- Cześć - mruknęła. - Poznajcie się, Paul Arnussen, detektyw Brian Wardlow.

Ruszyli w stronę szosy prowadzącej na farmę. Kiedy zerknęła w lusterko wsteczne, zobaczyła, że Arnussen nie spuszcza z niej wzroku. Wytrzymała przez długą chwilę jego neodgadnione spojrzenie.

Później jednak przestraszyła się nie wiedzieć czego i bez słowa odwróciła oczy.

Na farmie, tak jak podczas jej ostatniej wizyty, cała rodzina zajęta była w ogrodzie. Tym razem obecny był też Stefan. Mała Deborah kręciła się przy furtce z wózkiem dla lalek.

- Witaj - zagadnęła Jackie, - Co słyszeć?

- Widzisz? - Dziewczynka z dumą wskazała na leżącego w wózku zwierzaka.

Biedna kotka, cała w kokardach i koronkach, zerknę-

la na Jackie potępieńczym wzrokiem i spróbowała czmychnąć z wózka, ale Deborah miała szybszy refleks.

- Gwiazdeczka idzie na spacer - oznajmiła panienska, uśmiechając do rozłoszczonej kotki. - Ona to lubi
- dodała z przekonaniem.

Jackie parsknęła śmiechem. Nawet nie zauważyła, kiedy u jej boku pojawił się Stefan.

- Co się dzieje, pani detektyw? Ojciec powiedział mi, że chce nam pani złożyć wizytę.

- Zamierzamy przeszukać farmę.

- Dlaczego?

- Być może znajdziemy coś, co naprowadzi nas na właściwy trop.

- Ale co, na litość boską? Sądzi pani, że ukrywamy mojego syna w stodole?

- Gdybyśmy tak myśleli, dawno już przeprowadzilibyśmy rewizję. Po prostu szukamy czegoś, co popchnie dochodzenie. Pański ojciec zgodził się na przeszukanie.

- Wiem, ale nie rozumiem pani motywów. Nie nas powinna pani nękać, ale Mellonów.

- Sam pan twierdził, że niewiele by to dało. Pana zdaniem Mellonowie dawno już wywieźli Michaela z miasta.

- Nie powiedziałem, że nie warto przeszukać ich domu. Dałoby to na pewno więcej pożytku niż marnotrawienie czasu tutaj. A to co za człowiek?

Arnussen stał na uboczu oparty o płot i głaskał kucyka, mruczając coś do niego.

- To jasnowidz.

- Pani żartuje - Stefan szeroko otworzył oczy.

- Zapewniam pana, że nie trzymają się nas żarty. Prowadzimy poważne dochodzenie.

- Przecież to jakaś farsa - prychnął ze złością. - Mój syn zniknął cztery dni temu, a policja wozi się z jakimś kowbojem o jakoby nadprzyrodzonych zdolnościach.

Zanim Jackie zdążyła odpowiedzieć, podszedł Mirosław, z dala już kłaniając się kapeluszem.

- Dzień dobry, pani detektyw. Jak się pani miewa?

- Dziękuję. - Jackie uśmiechnęła się do starszego pana, ujęta jego serdecznością. - Możemy zaczynać, panie Panesivic?

- Oczywiście. Mówiła pani, że chce obejrzeć piwnice?

- Tak. Wszystko, co znajduje się poniżej gruntu.

Mirosław poprowadził całą ekipę do podziemi. Obejrzelik dom, stodołę i przybudówki. Arnussen trzymał się cały czas z boku i przyglądał wszystkiemu z ponurą miną. Kiedy wychynęli wreszcie z powrotem na światło dzienne, podszedł do Jackie, ujął ją za łokieć i odciągnął na stronę.

- To strata czasu. Tu nic nie ma - powiedział.

- Jest pan pewien?

- Absolutnie. Mały jest ciągle gdzieś pod ziemią, ale na pewno nie tutaj.

- Ciągle jest pod ziemią? - Jackie zeszywniała.

- Tak. - Arnussen patrzył na konie pędzące przez łąkę. - Żyje?

- Myślę, że tak. Gdyby nie żył, nie miałbym żadnych sygnałów.

- A... ma pan?

- Słabe, ale mam. Wiem, że tutaj go nie znajdziemy.

- W porządku, będziemy szukać gdzie indziej. Przywołała Wardlowa. Zamienili kilka słów między sobą, po czym wydali polecenia pozostałym policjantom. Ekipa wsiadła do wozu i odjechała.

- Dlaczego odesłała pani obstawę? - zainteresował się Arnussen.

- Ponieważ nie mamy pozwolenia na przeszukanie innych miejsc. Nakaz mogę dostać najwcześniej jutro. Na razie możemy objechać różne adresy i sprawdzić, czy coś pan zobaczy, zgoda?

Jackie pożegnała się z Miroslavem, podziękowała mu za współpracę i wsiadła do wozu. Arnussen siedział z tyłu, z założonymi na piersi rękami i nieprzenikniętym wyrazem twarzy. Nie sposób było powiedzieć, czy rzeczywiście ukrywa gdzieś Michaela Panesivicia, czy po prostu bawi go to, że jego osoba przyciąga uwagę.

Resztę poranka spędzili, krążąc po mieście. Przejechali obok domu Adrienne Calder, podjechali pod rezydencję Mellonów, zatrzymali się na chwilę pod oknami Helen Philips, okrążyli budynek, w którym mieszkał Stefan.

Arnussen nie rozpoznał żadnego z tych miejsc, ożywił się tylko na chwilę, kiedy mijali dom Leigh Mellon.

- Tutaj mieszka matka chłopca. W tym białym domu - powiedziała Jackie.

221

- Wiem, zobaczyłem adres. Co dzisiaj robi?

- Pojechała do siostry. Jest w bardzo złym stanie i rodzina nie chce, żeby była sama.

Pokiwał głową i oparł się o zagłówek.

- Coś się panu kojarzy z tymi miejscami? - zapytała Jackie.

- Niestety nie.

- Trudno. Odwieziemy pana do domu. - Skreśliła na południe, w kierunku Cannon Hill, gdzie znajdował się dom Cory Lederer.

Wardlow cały czas bębnił palcami o klamkę, zły i zniecierpliwiony. Jackie posłała mu ostre spojrzenie. Dalszą drogę odbyli w milczeniu.

ROZDZIAŁ 17

Odstawili Arnussena do domu, a potem kupili kanapki i sałatkę i pojechali na posterunek. Wardlow usiadł za swoim biurkiem ponury niczym chmura gradowa.

- Pieprzona sprawa - narzekał. - Do niczego nie doszliśmy, Kaminsky. Kręcimy się w kółko.

Jackie wydobyła z torby kupione jedzenie i spojrzała uważnie na Briana. - Chcesz o tym pogadać?

- O czym? - burknął.

- O tym, co cię gryzie. Może pomoże.

- Pewnie. Zafundujesz mi sesję psychoterapeutyczną. A może pogadalibyśmy o twoich problemach, Kaminsky? O tych wspaniałych facetach, których nie masz, o twojej babci, która odzywa się do ciebie, kiedy się napije, bo wtedy może cię obsobaczać do woli.

Jackie nie dała się sprowokować. Zdawała sobie sprawę, że Brian cierpi i że dąży do starcia. Musiał się wyładować za wszelką cenę, nawet kosztem najbardziej życzliwej mu osoby.

- Masz rację - przyznała. - Nigdy z nikim nie byłam naprawdę blisko i nie mam podstaw udzielać ci rad, ale jeśli będziesz chciał się wygadać, chętnie posłucham.

- Wiem. - Wardlow usiadł za biurkiem, głowę oparł na rękach. - Przepraszam, Kaminsky, zachowuję się jak ostatni dupek, ale... - Zmienił temat, najwyraźniej nie chcąc rozmawiać o swoich prywatnych kłopotach. - Ten biedny dzieciak. Nie wiemy nawet, czy jeszcze żyje. Może umiera gdzieś z głodu, może ktoś go torturuje, a my nic nie robimy. Zwariować można.

Jackie spojrzała na kolegę z niedowierzaniem. - Na litość boską, Brian. Jak możesz mówić, że nic nie robimy?

- Prawda, zapomniałem.- prychnął. - Zrezygnowaliśmy z wolnego dnia, żeby pokazać jakiemuś jasnowidzącemu cieśli stado kurczaczeków.

- Daj spokój. Robimy wszystko, co w naszej mocy. Siedemnastu ludzi sprawdza nasze informacje, w całym kraju rozklejono tysiące plakatów ze zdjęciem Michaela, w sprawę zaangażowało się FBI. Leigh poddała się testowi i zgodziła na kolejny. Stefan Panesivić też chce, żebyśmy zrobili mu wariograf.

- Tak? Nic o tym nie wiem.

- Chciałam powiedzieć o tym na jutrzejszej odprawie. Zadzwoił wczoraj i sam zaproponował, żebyśmy go przebadali. - Jackie zerknęła do notatek. - Tamtejsza policja odwiedziła rezydencje Mellonów w Palm Beach i Cabo San Lucas, przepytano sąsiadów, czy nie zauważyli niczego podejrzanego. Twój ludzie pokazywali zdjęcie chłopca wszystkim pracownikom centrum handlowego.

- I nic nie uzyskali - podsumował Wardlow ponuro.

- Coś jednak robimy. Jutro mamy rozmawiać z tymi „wybawicielami”, ja mam cały tydzień wypełniony spotkaniami. Nie siedzimy z założonymi rękoma.

- Wiem - mruknął. - Cały czas jesteśmy zajęci, ale nie posuwamy się ani o krok do przodu.

Powinniśmy przeszukać dom Mellonów.

- To niemożliwe, nie dostaniemy nakazu. Nawet jeśli mały tam jest, musielibyśmy dowieść, że grozi mu bezpośrednie niebezpieczeństwo. Leigh może zawsze powiedzieć, że oddała syna rodzicom, żeby go chronić przed ojcem. Naprawdę uważasz, że Mellonowie ukrywają Michaela?

- Sam już nie wiem. Gdyby tak było, Leigh zachowywałaby się spokojniej.

Jackie odwróciła się i wystukała numer swojego mieszkania. Odezwała się automatyczna sekretarka. ^

- Sandy? Jesteś tam? - W głosie Jackie zabrzmiała nuta niepokoju. - Podnieś słuchawkę, jeśli mnie słyszysz. Trudno, widocznie jeszcze śpisz albo wyszłaś na spacer. Zadzwoń do ciebie później.

Chciałam ci tylko powiedzieć, że wrócę do domu koło szóstej. Do zobaczenia.

- Nie odpowiada - stwierdził Wardlow błyskotliwie.

- Co cię tak cieszy?

- Podoba mi się, że popełniasz błędy. Zaczynam wierzyć, że jednak jesteś człowiekiem. Na wszelki wypadek radziłbym ci wpaść na chwilę do domu i sprawdzić czy panienka nic nie wyniosła.

- Mówisz o moich rodowych srebrach z monogra-

mem i herbem? Nigdy ich nie lubiłam. Poza tym widelczyki do ostryg są już tak zużyte, że praktycznie do niczego się nie nadają. Niech je sobie dziecko weźmie.

Wardlow parsknął śmiechem, ale zaraz spoważniał. - Naprawdę powinnaś zajrzeć do domu i sprawdzić, co się tam dzieje, Kaminsky.

- Nie mam czasu.

- Co robisz po południu?

- Jadę jeszcze raz na farmę Panesiviciów. Chcę porozmawiać z nimi, a potem wybiorę się do Mili i Zana. A ty co zamierzasz?

- Będę siedział tutaj. Zaraz po lunchu mają przyjść chłopcy ze śródmieścia i powiedzieć, co znaleźli. Nudna, upierdliwa robota, tymczasem... - Brian zawiesił głos.

- Co chciałaś powiedzieć? - zapytała Jackie, zbierając się do wyjścia.

- Nic.

- Mówże.

- Myślę, że Arnussen porwał małego.

- Naprawdę?

- Tak. Porwał go i gdzieś ukrył.

- Skąd ta pewność?

- Nie wiem, ale w tym facecie jest coś groźnego. Zwróciłaś uwagę na jego oczy, Kaminsky?

- Owszem, zwróciłam uwagę.

- I co, nie można się bać takiego spojrzenia?

- Można, nawet bardzo - przyznała Jackie z ociąganiem. - Ale to żaden dowód, nie bądź śmieszny. Nie wsa-

dzimy go za kratki z powodu jego spojrzenia. W każdym razie cały czas go śledzimy. Wszystkie patrole w całym mieście mają jego rysopis i numery jego ciężarówki.

- Wiem. Słuchaj, Kaminsky, jeśli nie masz czasu, to może ja pojedę do ciebie do domu i sprawdzę, co się tam dzieje?

Jackie wahała się przez moment, wreszcie pokręciła głową. - Dzięki Brian, ale nie trzeba. Jestem pewna, że wszystko jest w porządku.

Dochodziła szósta, kiedy Jackie skończyła przepytować Milę i Zana. Zajrzała jeszcze na posterunek, żeby sprawdzić, jakie informacje zebrał Wardlow, i ruszyła do domu, ciekawa, co tam zastanie.

Już z przedpokoju zobaczyła stół kuchenny starannie nakryty na dwie osoby. Pod jej nieobecność Sandy przygotowała talerze, sztuce, serwetki i szklanki, nawet koszyk z chlebem.

Odetchnęła z ulgą. Otwierała usta, żeby zawołać, że wróciła, gdy z pokoju doszła ją muzyka.

Rozpoznała swój ulubiony koncert fletowy Vivaldiego. Ledwie zamknęła drzwi wejściowe, dźwięki ucichły. Weszła do bawialni. Sandy siedziała nieruchomo na otomanie z miną dziecka, które coś przeskrobało.

- Cześć - odezwała się ze sztucznym ożywieniem. - Jak minął dzień?

- Nieźle, dzięki - odparła Jackie, ciągle myśląc o muzyce. - A ty, jak spędziłaś czas?

- Świetnie. - Sandy zeskoczyła z otomany. - Zrobiłam sałatkę - rzuciła przez ramię, idąc w kierunku kuchni. - Ugotowałam marchewkę i wyjęłam steki, które znalazłam w zamrażalniku.

- Miło. Odebrałaś moją wiadomość?

- Tak, akurat wyszłam z domu, kiedy dzwoniłaś. Poszłam na spacer. Fajnie było - dodała Sandy nieśmiało.

Jackie zrobiło się smutno. Odwróciła się szybko i przeszła do sypialni.

- Zrzucę te ciuchy. Wiesz, jak usmażyć steki?

- Jasne - zawołała Sandy.

Jackie uśmiechnęła się, gdy usłyszała ton przechwałki w jej głosie. Schowała pistolet do szafki nocnej, potem umyła twarz i ręce. Gdy przebrała się w szorty, odświeżona usiadła przy kuchennym stole.

- Rozmawiałam z taką miłą panią, która mieszka naprzeciwko. Ma małą córeczkę, Tiffany - oznajmiła Sandy, nakładając sałatę na talerze.

- To Carmen, przyjaźnimy się. Dziwiła się, co robisz w moim mieszkaniu?

Sandy spiekła raka. - Powiedziałam jej, że jestem twoją kuzynką. Może być?

- Carmen wie, że mam liczną rodzinę. Jedna krewna więcej nie czyni chyba wielkiej różnicy.

Jackie nie mogła się nadziwić przemianie, jaka zaszła w Sandy. Poprzedniego wieczoru zgarnęła z rogu wymalowaną prostytutkę, a teraz siedziała przy stole z miłą smarkulą.

- Carmen mówiła, że często potrzebuje opiekunki

- ciągnęła zaaferowana Sandy. - Pomyślałam, że mogłabym zająć się Tiffany, innym dzieciakami w kamienicy i z zarobionych pieniędzy płacić ci czynsz. Nie chcę mieszkać za darmo.

Jackie ujęła i jednocześnie zmartwiła propozycja małej. - Nie możesz ze mną mieszkać, skarbie - powiedziała łagodnie.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ prowadzę zwariowany tryb życia. Nigdy nie ma mnie w domu. Ty potrzebujesz stabilizacji, ludzi, z którymi mogłabyś rozmawiać.

- Wcale nie potrzebuję ludzi. Sama potrafię zadbać o siebie.

- Tak jak wczoraj?

Sandy wbiła wzrok w talerz.

- Opowiedz mi. o swoim domu - zaczęła Jackie.

- Dlaczego nie możesz tam wrócić?

Nic, żadnej odpowiedzi.

- Co robi twój ojciec? Rodzicom chyba nieźle się powodzi, skoro stać ich było na opłacanie lekcji gry na flecie.

Czerwona jak piwonia Sandy podniosła gwałtownie głowę. - Przepraszam - wykrztusiła. - Wiem, że nie powinnam go dotykać, ale jak zobaczyłam futerał, to nie mogłam.

- W porządku. - Jackie uśmiechnęła się. - Tyle tylko, że mój biedny flet pewnie ciągle jest w szoku.

Nikt jeszcze nie grał na nim tak ładnie.

Buzia Sandy pokraśniała na tę pochwałę. - Podobało ci się?

- Jasne, myślałam, że to kompakt Masz talent, dziewczyno. Ja ćwiczę od lat, z bardzo mizernym skutkiem.

Zapadło krępujące, niezręczne milczenie.

- Opowiedz mi o swoim ojcu - Jackie przerwała ciszę.

- To nie ojciec, tylko ojczym - bąknęła Sandy. - Jest lekarzem.

- A co się dzieje z twoim ojcem?

- Umarł pięć lat temu, w wypadku na swoim jachcie.

- Rozumiem. Nie możesz się dogadać z ojczymem? Milczenie.

- Sandy?

- Nienawidzę go! - wybuchła mała. - Zabiłabym go. Wzięłabym twój pistolet i strzeliła mu prosto w głowę.

- A mama? - zapytała Jackie ostrożnie. - Nie tęsknisz za nią? Nie chciałabyś...

Sandy poderwała się i wybiegła z kuchni. Jackie usłyszała trzaśnięcie drzwi frontowych. Wybiegła na korytarz, ale dziewczyna zdążyła już zniknąć. Wróciła więc do mieszkania i dokończyła kolację.

Minęła godzina, a Sandy nie wracała. Jackie sprzątnęła ze stołu, umyła naczynia, po czym przeszukała kosz na śmieci. Zeszła na dół i w kontenerze obok garażu znalazła wreszcie to, czego szukała - torbę ze spódniczką mini, stanikiem i szpilkami. W kieszeni spódniczki był portfelik z kartą identyfikacyjną.

Jackie wyrzuciła wszystko z powrotem do śmieci, za-

brała tylko kartę. Mała nazywała się Alexandra Gerard, miała czternaście lat i pięć miesięcy i mieszkała w Seattle. Po powrocie ze śmietnika Jackie umyła ręce, wzięła głęboki oddech i wystukała widniejący na karcie numer. Po drugiej stronie odezwał się kobiecy głos.

- Pani Gerard?

- Nie, Collins. O co chodzi? Zna pani Alexandrę Gerard?

- Tak - kobieta wreszcie przerwała milczenie. - Alex jest moją córką, ale w tej chwili nie ma jej w domu. Pojechała na lato do przyjaciół.

- Mówi detektyw Kaminsky z departamentu policji w Spokane. Pani córka nie spędza wakacji u żadnych przyjaciół. Mieszka u mnie. - Jackie tak długo czekała na odpowiedź, że wydawało jej się, iż matka Alex odłożyła słuchawkę.

- Czy... nic jej nie jest? - zapytała w końcu pani Collins z ociąganiem.

- Owszem, jest. Dziewczyna czuje się okropnie. Proszę mi powiedzieć, dlaczego uciekła z domu?

- To uparte, nieposłuszne dziecko - oznajmiła pani Collins chłodno. - Nie radzę sobie z nią.

- Nie sprawia wrażenia złego dziecka. Nie sądzi pani, że córka powinna wrócić do domu, może wtedy rozwiążecie swoje problemy?

- Nie może tu wrócić! - W głosie kobiety dało się słyszeć przerażenie. - Nie chcę jej widzieć!

- Dlaczego?

- Ona... chce rozbić moje małżeństwo. Uwiodła mojego męża.

Jackie przypomniała sobie, jak Alex wykrzyczała przy kolacji, że chciałyby zabić swojego ojczyma.

- Niech pani posłucha - ciągnęła Collins z błagalną nutą w głosie. - Od niedawna jesteśmy małżeństwem. David i ja potrzebujemy czasu dla siebie, a Alex... jej zachowanie... wygląd...

- Ona nie ponosi winy za to, jak wygląda - zauważyła Jackie spokojnie. - Ma raptem czternaście lat.

- Ale... on na nią patrzy., W zeszłym miesiącu wróciłam wieczorem z brydża i zastałam go w jej pokoju. Alex płakała i krzyczała, że David się na nią rzucił, ale ja wiem, że on nigdy, przenigdy nie zrobiłby czegoś takiego. To ona go prowokowała, a on uległ, jak każdy mężczyzna. Nie chcę jej tutaj widzieć! - Kobieta wpadła w histerię. - Niech nie wraca do mojego domu!

Jackie z trudem panowała nade sobą. - Co zatem mamy zrobić z pani córką?

- Nie wiem. Oddajcie ją do domu dziecka... gdziekolwiek. Ja zapłacę. Pieniądze nie stanowią problemu, ale, powtarzam, nie chcę jej widzieć w swoim domu.

- Myślę, że Alex też nie chciałyby wrócić do pani - syknęła Jackie przez zaciśnięte zęby.

- Zaopiekujecie się nią? Znajdziecie dla niej jakieś miejsce?

- A mam jakieś inne wyjście? - Jackie westchnęła.

- Proszę podać mi adres, wyślę pieniądze.

Jackie czuła, że jeszcze chwila, a powie coś, czego będzie później gorzko żałować. - Zapiszę pani adres, skontaktuje się z panią ktoś z wydziału do spraw nieletnich. Do widzenia, pani Collins. Odwiesiła słuchawkę i wyszła na długi spacer. Miała nadzieję, że wypatrzy gdzieś Alex, ale dziewczyna zniknęła. Wróciła do domu, wzięła kąpiel i położyła się do łóżka z książką. Zgasiła światło dopiero po północy.

Okolo drugiej usłyszała jakieś szmery w holu. Usiadła na łóżku i odruchowo sięgnęła do szuflady, gdzie trzymała pistolet. W drzwiach pojawił się smukły cień.

- Nie śpisz?

- Jeszcze nie. Wejdz, Alex. - Jackie zapaliła lampkę nocną.

- Skąd wiesz, jak mam na imię? - Mała szeroko otworzyła oczy.

- Znalazłam w śmieciach twoją kartę identyfikacyjną. Dzwoniłam do twojej matki.

Alexandra przysiadła na brzegu łóżka. - Co powiedziała?

- Że uwiodłaś ojczyma.

Alex ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

- Uwiodłaś?

Alex pokręciła głową.

- Mama zwariowała na jego punkcie, ale to dupek. On... wiesz, ciągle się na mnie gapił. Próbowałam powiedzieć mamie, że się go boję, ale wcale mnie nie słuchała. Zachowywała się tak, jakby to wszystko była moja

wina. Któregoś wieczoru, kiedy mamy nie było w domu, przyszedł do mojego pokoju i...

- Dobrze, co było potem? - pytała Jackie łagodnie.

- Mama wróciła i przyłapała go. Wściekła się i zaczęła mnie wyzywać.

- A ty?

- Wyjęłam pieniądze z mojego konta i wsiadłam do pierwszego autobusu. Myślałam, że znajdę gdzieś pracę... sama nie wiem... - Alex zaczęła płakać. - Nie mogę wrócić do domu. Po prostu nie mogę.

- Wiem, że nie możesz. - Musimy pomyśleć o czymś innym.

- O czym?

- Nie mam pojęcia. - Jackie potarła włosy małej. - Idź spać. Rano porozmawiamy.

- Ale nie odeślesz mnie do domu?

- Wykluczone. - Jackie ujęła buzię Alex w dłonie. - Na pewno tam nie wrócisz. Ci ludzie nie zasługują na ciebie, Alexandro Gerard. Zapamiętaj to sobie, nie są wari takiej dziewczyny jak ty.

Alex wpatrywała się przez chwilę w oczy Jackie, otarła łzy, wstała i podreptała do bawialni, gdzie czekała rozesłana sofa.

ROZDZIAŁ 18

Na giełdzie warzywnej panował ogromny ruch. Jackie i Wardlow siedzieli w służbowym wozie i obserwowali kobiety pakujące pomidory do kartonów.

- Przestań - warknęła Jackie.

- Co mam przestać? - zdziwił się Wardlow.

- Przestań bębnić palcami w kierownicę, zwariować można.

- Mam prawo, świat mi się wali.

- Co?

- To. Sarah nie wróciła wczoraj na noc do domu. Siedziałem jak głupi przed telewizorem do czwartej rano i czekałem na nią. Pojawiła się dopiero przed świtem.

- Rozmawiałeś z nią?

- Jasne. Powiedziała, że jej przyjaciółka Connie ma kłopoty i że była u niej, w domku nad jeziorem, gdzie nie ma telefonu.

- Uwierzyłeś?

Prychnął i utkwiał wzrok w oknie.

- To dobry znak, Brian.

- Jak to?

- Ano tak. Powinieneś się cieszyć, że chce cię okła-

mywać. To znaczy, że nie wszystko między wami skończone.

- Niezła jesteś, Kaminsky, we wszystkim dopatrzysz się optymistycznej strony, prawdziwa Pollyanna.

- Trudne życie za mną. Nietzsche miał chyba rację, mówiąc, że co nas nie zabije, to uczyni silniejszymi.

- Nietzsche? A psik!!!

Jackie uśmiechnęła się wyrozumiale. - Niemiecki filozof. Mogę ci pożyczyć jego książki. - Zmieniła temat. - Arnussen mówi, że mały siedzi gdzieś w podziemiu. A ci „wybawiciele”... - Machnęła ręką. - Szmuglują dzieci. Kto wie, czy nie mają Michaela.

Wardlow wznosił oczy do nieba. - Czy ta smarkula, która u ciebie zamieszkała, nie faszeruje cię przypadkiem towarem?

- Uspokój się, dobrze?

Jackie pokazała swoją odznakę w portierni, weszli do fabryki przetworów i po chwili znaleźli w biurze osobę, której szukali. Była to kobieta w średnim wieku, ubrana w fartuch z poliestru, w drucianych okularach. Włosy miała przyprószone siwizną.

- Możemy usiąść na moment, pani Albright?

- Nie mam nic do powiedzenia. - Kobieta wskazała krzesła pod ścianą i dalej pisała na komputerze.

- Sprawdzamy numery telefonów, które dała nam Leigh Mellon - zaczął Wardlow. - Dzwoniła do pani tutaj i do domu. Wiemy na pewno, że się z panią kontaktowała.

Geraldine Albright podniosła głowę. - Nigdy nie słyszałam o Leigh Mellon.

Jackie i Wardlow wymienili spojrzenia. - Jeśli zechce pani z nami współpracować, nie będziemy już później pani męczyć i sprawa zostanie zamknięta.

- Możecie mi zagwarantować nietykalność?

- W tej sprawie tak. Jeśli jednak dalej będzie pani przemyślała dzieci za granicę, spotkamy się jeszcze w przyszłości. Tymczasem chodzi nam o odnalezienie Michaela Panesivicia.

- Nic nie wiem na ten temat.

Jackie widząc, że Wardlow zaczyna tracić cierpliwość, kopnęła go ostrzegawczo w kostkę. -

Rozumiem pani motywy, pani Albright - powiedziała. - Leigh Mellon wyjaśniła nam, czym się kieruje wasza grupa. Chronicie dzieci, którym grozi porwanie przez rodziców pozbawionych praw do opieki.

- Wykradzenie dziecka matce, której przyznano opiekę nad nim, to ciężkie przestępstwo. Mój mąż tak kiedyś postąpił i pozbawił mnie na lata możliwości wychowywania córki. Obiecałam sobie, że będę robiła wszystko, by oszczędzić innym kobietom podobnych doświadczeń.

- Przewozicie dzieci do Kanady, prawda? Nie potrzebują paszportu, żeby przekroczyć granicę, wystarczy jakikolwiek dokument poświadczający tożsamość. Kiedy są już w Kanadzie, matka tam dojeżdża.

- Nic nie wiem. Pracuję tutaj, w biurze, jestem uczciwą, przestrzegającą prawa obywatelką.

- Podziwiam panią - oznajmiła Jackie łagodnym tonem. Wiem, że działa pani ze szlachetnych pobudek. Ale prowadzimy dochodzenie w sprawie zaginięcia małego chłopca i musimy się upewnić, czy wasza grupa go nie przetrzymuje u siebie.

- Nie zabrałabym dziecka bez wiedzy matki, pani detektyw. Właśnie takim sytuacjom staramy się zapobiegać. - W głosie kobiety brzmiała absolutna szczerłość.

- Było tak, jak powiedziała pani Leigh? Ktoś poszedł do centrum handlowego, miał przejąć Michaela, ale już go tam nie znalazł, tak?

- Nie mamy nic wspólnego z tą sprawą - powtórzyła kobieta z uporem.

- Załóżmy, że jednak znaleźliście małego w sklepie zabawkarskim i że wysłana przez was dziewczyna zabrała go stamtąd - ciągnęła Jackie.

Pani Albright przestała pisać, zdjęła okulary. - Niech pani spojrzy mi w oczy, detektywie Kaminsky. Gdybym wiedziała, gdzie jest Michael, natychmiast zawiadomiłabym jego matkę, nawet gdybym miała iść za to do więzienia. Wierzy mi pani?

- Tak - przytaknęła Jackie. - Wierzę, że nie wie pani, gdzie on jest, ale może ukrywa go ktoś z waszej grupy?

- Wiedziałabym o tym. Nie twierdzę, że taka grupa istnieje, gdyby jednak istniała, byłaby naprawdę niewielka.

- Zatem...

- Nie mam nic więcej do powiedzenia. - Kobieta założyła ponownie okulary. - Nic nie wiem na temat chłopca. - Podjechała na krzesło do regału ze skoroszytami, ignorując obydwójce policjantów. Wstali, mruknęli słowa pożegnania i wyszli.

- Wierzysz jej? - zapytał Wardlow, kiedy szli przez halę.

- Chyba tak. A ty?

Wardlow skinął głową. - Mówi prawdę. Nie mają Michaela. Zastanawiam się jednak, czy...

¹ - Tak? - Jackie usiadła na miejscu pasażera, a Wardlow usadowił się za kierownicą.

- Zastanawiam się, skąd ta ich pewność, że Stefan chciał porwać syna. Czy opierali się tylko na słowach Leigh, czy przeprowadzili jakiś wywiad na własną rękę?

- To interesujące. - Jakie zapisała tę uwagę w swoim notesie. - Obawiam się, że z pani Albright nic więcej nie wyciągniemy. Będę musiała złożyć kolejną wizytę Leigh i panu profesorowi.

- Mówiłaś, że Panesivić zgodził się na test wariograficzny?

- Tak. Bez najmniejszych zastrzeżeń. Robi wrażenie absolutnie czystego.

- Cholera - mruknął Wardlow zmęczonym głosem. - Cokolwiek byśmy robili, ciągle wracamy do tego przekłętą jasnowidza. Najchętniej wsadziłbym go i trochę pomęczył, może w końcu puściłby farbę.

- Niestety, nie możesz tego zrobić - dodała Jackie.

- Widział pan chłopca w centrum handlowym?

- Tak, w sklepie.

- W jakim sklepie?

- Zapomniałem. Śliczny dzieciak. - Waldemar Ko-ziak przetarł oczy dłonią. Wyglądał znacznie starzej niż na swoje pięćdziesiąt siedem lat. Miał pomarszczoną twarz, zapadnięte usta i wodniste błękitne oczy. Jackie i Wardlow rozmawiali z nim w pokoju przesłuchań. Było to puste pomieszczenie, w którym znajdowały się tylko stół i krzesła. Na posterunek doprowadzili go policjanci z patrolu, kiedy podczas pierwszego przesłuchania przyznał się do porwania Michaela.

- Napije się pan jeszcze kawy, panie Koziak? - Jackie przysunęła się bliżej podejrzanego. - Może papierosa?

- Zapaliłbym.

Wardlow otworzył paczkę papierosów i podsunął mu popielniczkę.

- W jakim sklepie go pan widział? - zapytała Jackie.

- Nie pamiętam. Gdzieś w centrum.

- Zabrał go pan ze sobą?

- Tak, wyprowadziłem go stamtąd. Poszedł ze mną chętnie, chyba mnie polubił.

- Gdzie go pan zabrał?

- Do swojego mieszkania. Pojechaliśmy autobusem. Słodki dzieciak.

- Co było potem? - zapytał Wardlow.

- Nie pamiętam. - Koziak wydmuchnął kłęb dymu i zapatrzył się w sufit.

- Byliście gdzieś jeszcze?
- Chyba sobie poszedł, nie pamiętam. Było mi smutno, kiedy odszedł.
- Jackie dała znak Wardlowowi, który otworzył teczkę na papiery. - Mamy tu kilka zdjęć, chciałbym, żeby wskazał pan chłopca, z którym pan wtedy wyszedł.
- Kóziak po chwili wskazał ośmioletniego blondynka z kręconymi włosami. - To ten, wszędzie bym go poznał.
- Jest pan pewien? - Jackie i Wardlow wymienili spojrzenia.
- Najzupełniej. To ten sam, miał niebieskie oczy i włosy jak złoto, takie mięciutkie.
- Wardlow schował zdjęcia. - To wszystko, panie Ko-ziak. Patrol odwiezie pana do domu.
- Nie wsadzicie mnie do więzienia?
- Nie wsadzimy, ale na przyszłość niech się pan trzyma z dala od małych chłopców - poradził Wardlow chłodno.
- Myślisz, że kłamie? - Jackie zwróciła się do Ward-lowa na korytarzu.
- Nie kłamie, tylko fantazjuje. Naprawdę wierzy w to, co mówi. Straciliśmy tylko niepotrzebnie czas.
- Masz rację, ale ten facet jest niebezpieczny. Szkoda, że nie możemy go przymknąć.
- Nic mu nie możemy zrobić, dopóki nie złapiemy go na gorącym uczynku, Kaminsky.
- Co teraz zamierzasz, Brian?
- Chyba zajmę się telefonami. Muszę jeszcze spraw-

dzień trzech pedofilów, którzy nie mają alibi. Poza tym w ciągu weekendu napłynęło trochę informacji, powinienem je przejrzeć. A ty, jakie masz plany?

- Wpadnę bez uprzedzenia do Barbary Mellon. Spytam się, czy nie ma nic więcej do powiedzenia, a później chcę się zobaczyć z Arnussenem. Podrzucić cię?

- Nie, dzięki, zabiorę się z patrolem. Ej, Kaminsky... Jackie obejrzała się przez ramię.

- Tak?

- Uważaj na siebie.

Uśmiechnęła się, wsiadła do samochodu i pojechała na South Hill. W rezydencji Mellonów nie zastała nikogo. Nikt nie odebrał domofonu ani nie pojawił się w oknie. Pojechała więc do domu, w którym Paul Arnussen kończył nową werandę. Był tak zajęty pracą, że nie zauważył Jackie.

- Dobra robota - pochwaliła, podchodząc.

- Dziękuję, pani detektyw. - Włożył młotek za pas. - Popołudniowa przejażdżka?

- Byłam u pani Mellon, ale nie zastałam jej w domu.

- Jak się posuwa dochodzenie?

- Niestety, żadnych rezultatów. Mamy trochę nowych informacji, ale te dostajemy codziennie. A pan co będzie teraz robił? Weranda prawie skończona. Ma pan jakieś następne zlecenie?

- Zastanawiam się. Może zrobię sobie kilka dni przerwy.

- Brzmi zachęcająco.

242

- Tak?

- Tak, przyjemnie jest odpocząć.

- Pani to chyba nie dotyczy. Pracuje pani na okrągło, świątek piątek. Co pani wie o odpoczynku?

- Znam ze słyszenia.

- Nie jest już pani sama, ale nadal samotna - stwierdził sentencjonalnie.

Jackie zerknęła na niego zaniepokojona nie na żarty.

- A pan skąd wie?

- Ktoś u pani mieszka. Jest teraz w domu. Ktoś się pojawił w pani życiu i teraz nie wie pani, co począć z tą osobą. Ma pani problem.

- Śledzi mnie pan? Obserwuje moje mieszkanie?

- zapytała z gniewem w głosie.

- Nie śledzę cię, Jackie - odparł spokojnie, wracając do pracy. Po prostu wystarczy spojrzeć na twoją twarz.

- Nie wierzę w te bzdury! - prychnęła wściekle.

- Taki z ciebie jasnowidz jak z tego słupka. - Wskazała na balustradę werandy. Ostrzegam cię, Arnussen...

- Nie ostrzegaj mnie, dobrze? Nie strasz mnie i zostaw w spokoju.

- Zostawię cię w spokoju, jak znajdziemy Michaela Panesivicia, nie wcześniej.

Pożegnała się zupełnie wytrącona z równowagi. **Arnussen** wrócił do pracy.

ROZDZIAŁ 19

Refleksy słońca skrzyły się na powierzchni wody jak tysiące maleńkich diamentów. Leigh w zadumie wpattowała się w turkusową głębię basenu. Wystarczyłoby skoczyć w dół... w dół. Gładź--wody zamknęłaby się nad jej głową. Kilka sekund paniki. Przestałaby myśleć i odczuwać cokolwiek, uwolniłaby się od bólu. Ból opuściłby ją.

Skuliła się w fotelu i jęknęła. W ramionach ścisnęła pluszowego misia. Miś i kaczor - ulubione zabawki Michaela. Tak często się bawił misiem, tak go przytulał, że dwa guziki odpadły od kamizelki, a plusz przetarł się w kilku miejscach.

Od strony domu nadeszła Adrienne. Niosła szklanki z lemoniadą i talerz ciastek. Postawiła tacę na stoliku pod parasolem. - Dlaczego nie popływasz? - zapytała, zdejmując spódnicę i sandały. - Woda jest cudowna.

- Jaki dziś mamy dzień, Rennie?

- Czwartek. Proszę lemoniadę.

- Jak długo tutaj jestem? - Leigh potrząsnęła głową, mrużąc oczy w słońcu.

- Kilka dni. Dobrze się czujesz, kochanie?

- Nic nie pamiętam. Czuję się tak, jakbym miała watę w głowie.

Adrienne przysunęła się i dotknęła jej czoła. - Coś mi się zdaje, że tabletki, które bierzesz, zupełnie cię otępiły - rzuciła. - Powinnaś zmniejszyć dawkę, mała.

- On nie żyje, prawda? Moje dziecko nie żyje.

- Oczywiście, że żyje. Jest gdzieś ukryty. Znajdą go.

- Jeśli Michael nie żyje, to ja też nie chce dłużej żyć. Nie wiem, jak można latami trwać w takim cierpieniu.

- Nie mów tak. - Adrienne uklękła przy fotelu. - Musisz być silna, Leigh. Musisz być silna dla Michaela. Kiedy policja znajdzie go, będzie przestraszony, zatrwożony. Będzie cię potrzebował.

- Próbuję wyobrazić sobie, jak to będzie mieć go znowu w domu. - Leigh utkwiała wzrok w połyskliwej wodzie - Próbuję wyobrazić sobie, jak to będzie, ale nie potrafię. Widzę tylko pustkę.

- Och, Leigh. - Adrienne objęła siostrę ramieniem, a ta wtuliła się w jej objęcia i zaczęła płakać. Żalodne, dławiące boleśnie łkanie wstrząsało jej ciałem.

Zza węgła domu wyszła Jackie. Gdy Adrienne spostrzegła ją, natychmiast się podniosła.

- Pani nie ma zwyczaju się zapowiadać? - zapytała wściekłym tonem.

- Nie zawsze - Jackie spojrzała na zapłakaną Leigh i z przerażeniem pomyślała, jak strasznie w ciągu nie-

wielu dni zmieniała się ta piękna, delikatna kobieta. Teraz była znękana, przybita nieszczęściem.

- Czy coś wiesz? - zapytała Leigh, chwytając Jackie za ramię. - Czy coś się stało?

- Jeszcze nie - Jackie usiadła na krześle naprzeciw niej. Ciepłe promienie słońca padały teraz na twarz policjantki i notes leżący na jej kolanach.

Adrienne wskoczyła do wody. Pływała z furją tam i z powrotem przez całą długość basenu. Jackie i Leigh patrzyły na połyskujące ciemne włosy kobiety i jej wysmukłe ciało.

- Wiesz gdzie są twoi rodzice, Leigh? - odezwała się Jackie po długiej chwili milczenia. Leigh pokręciła apatycznie głową.

- Moi rodzice?

Adrienne wyszła z basenu, wzięła ręcznik i podeszła do rozmawiających. - O co chodzi? - zapytała - O co pani pyta moją siostrę?

- O waszych rodziców. Zastanawiam się, dokąd wyjechali.

- Dlaczego?

- Ponieważ byłam u nich w domu wczoraj po południu i nikogo nie zastałam. Dzwoniłam do waszej matki rano i zostawiłam wiadomość. Gdy później pojechałam na South Hill, nadal nikogo nie było.

- Wyjechali kilka dni temu - Adrienne wytarła się ręcznikiem i usiadła na krześle. - Wyjechali we wtorek po południu.

- Trochę nietypowy czas na wakacje, nieprawda?

- Jackie uniosła brwi.

- Leigh, kochanie - rzuciła Adrienne z wyraźną nonszalancją - mogłabyś pójść do domu i przynieść mi okulary słoneczne? Leżą chyba na szafce w holu.

Gdy Leigh wstała apatycznie i ciężkim krokiem ruszyła w stronę domu, Adrienne odpowiedziała szybko.

- Niekoniecznie. Matka jest nadopiekuńcza wobec ojca. Przyzwyczał się do tego, że Michael ciągle kręci się po domu, a teraz cierpi i tęskni za wnukiem. Matka myślała, że zmiana miejsca pomoże mu oderwać się nieco od złych myśli.

- Dokąd pojechali?

- Do Kalispell. Zatrzymali się nad jeziorem Flathead. Jackie przypomniała sobie nagłą wyprawę Paula Ar-

nussena do Kalispell tuż po zniknięciu Michaela. - Pani rodzice mają posiadłość nad jeziorem?

- Już nie. Jej utrzymanie okazało się zbyt uciążliwe, gdy ojciec... zachorował. Teraz wynajmują tam dom.

- Rozumiem. - Kiedy spodziewa się pani ich powrotu?

- Dziś wieczorem. Matka dzwoniła dwa razy, już dłużej nie może wytrzymać. Martwi się o Michaela, jest cały czas niespokojna, nigdzie nie może sobie znaleźć miejsca.

- Czy Monika jest z nimi?

- Oczywiście - przytaknęła Adrienne. - Matka nie pojechałaby nigdzie bez Moniki.

Jackie zapisała coś w notesie, tymczasem wróciła Leigh z okularami, wciąż trzymając misia pod pachą. Po-

dała okulary Adrienne i znów skuliła się w fotelu. Zapatrzyła się w wodę.

- Mogę zapytać cię o coś, Leigh? - zagadnęła Jackie. Leigh nie odpowiedziała, potarła tylko policzkiem głowę misia.

- Chodzi mi o ludzi, z którymi kontaktowałeś się w sprawie wywiezienia Michaela z kraju - ciągnęła Jackie. - Zastanawiam się, co powiedziałaś im o Stefanie.

Mimo że Leigh nadal milczała, a Adrienne rzuciła Jackie zaskoczone spojrzenie, Jackie ciągnęła dalej.

- W jaki sposób przekonałaś ich, że Stefan mógł uprowadzić Michaela? Czy powiedziałaś im coś, czego nie powiedziałaś mnie? Czy w jakikolwiek sposób groził ci lub coś w tym rodzaju?

Przerwała. Leigh nie odpowiadała. Trzymała zabawkę w ramionach i wciąż patrzyła nieobecny wzrokiem w wodę. Adrienne głową dała Jackie znak, by ta odeszła z nią za róg domu.

- Przepraszam za zachowanie siostry - powiedziała ściszym tonem, przystając przy olbrzymim srebrzystym jałowcu. - Musi pani jednak zrozumieć, co to dla niej znaczy. Obawiam się, że ona traci rozum.

- Wiem. Trzeba z nią rozmawiać, Adrienne. To lepsze, niż pozwolić jej pograżać się w rozpacz. Jeśli powie coś, co mogłoby okazać się wskazówką, proszę dać mi znać, dobrze?

- Mam pomagać policji w śledztwie? - Adrienne uśmiechnęła się słabo.

— Owszem - Jackie nie odwzajemniła uśmiechu. - Potrzebna nam każda pomoc.

Wyszła z ogrodu i ruszyła alejką w dół, świadoma, że Adrienne obserwuje ją i patrzy, jak wsiada do samochodu i odjeżdża.

Kilka godzin później Jackie złożyła wizytę w kancelariach Blake & Calder, gdzie mąż Adrienne pracował jako specjalista od prawa administracyjnego.

Po drodze zastanawiała się, jakim człowiekiem jest Calder. Często tak robiła. Starła się stworzyć obraz jakiejś osoby na podstawie tego, co o niej usłyszała. Wyobrażała go sobie jako dość nudnego staroświeckiego mężczyznę w sile wieku, z pierwszymi oznakami nadużywania jedzenia i alkoholu.

Gdy po chwili czekania została wprowadzona do gabinetu, zrozumiała, że całkowicie się myliła.

Harian Calder był wysoki i szczupły; łysy, z siwą, schludnie przystrzyżoną brodą. Oczy o dobrodusznym wyrazie spoglądały łagodnie, ale bystro. Nosił spodnie khaki i białą sportową koszulę. Bardziej przypominał profesora college'u niż Stefan Panesivić.

Mógł być około piętnastu lat starszy od swojej żony i zdawał się na pierwszy rzut oka tak bardzo nie pasować do Adrienne, że Jackie prawie zaniemówiła.

- Przepraszam, pani detektyw - wstał kurtuazyjnie, by podać jej dłoń i wskazał na jeden ze skórzanych foteli na wprost biurka. - Nie chciałem, aby pani czekała, ale

ludzie dalej świętują i jestem dzisiaj ze wszystkim spóźniony.

- Nic nie szkodzi. Czekałam tylko kilka minut. Splótł palce i słuchał z uprzejmym wyrazem twarzy.
- Dzisiaj rano byłam w pana domu - zaczęła, szukając sposobu, jak wysondować i ocenić mężczyznę za biurkiem. - Leigh wydaje się załamana.
- Biedna Leigh. Zaginięcie małego musi być dla niej koszmarem. A ona raczej nie należy do silnych.
- Przypuszczam, że Adrienne jest tą silniejszą siostrą.
- Dlaczego pani tak myśli?- Na twarzy Caldera odmalowało się lekkie zaskoczenie.
- Nie wiem. Wygląda na pewną siebie.
- Pozory często mylą.

Jackie przyjrzała mu się z badawczym zainteresowaniem. - Chce pan powiedzieć, że Adrienne nie jest tak silna i pewna siebie, na jaką wygląda?

- Moja żona nadrabia miną, lecz rzeczywistość jest nieco inna. To bardzo skomplikowana osobowość.

Jackie zaczęła się zastanawiać, jak daleko może się posunąć w swoich pytaniach. - Czy Adrienne zawsze była w konflikcie z matką? - zapytała w końcu.

Calder odchylił głowę do tyłu i uśmiechnął się. - Jest pani bardzo spostrzegawcza.

- Niezupełnie. Moja praca w znacznym stopniu polega na rozmowach z ludźmi.
- I oddzielaniu prawdy od fałszu.
- Tak. To również moja praca.

Spojrzał przez okno na miasto. - Od kiedy je znam, Barbara ma urazę do Adrienne. Zazwyczaj stara się ukrywać uczucia i stwarzać wrażenie harmonii rodzinnej, lecz nie zawsze jej się to udaje.

- Skąd uraza matki do córki?

- Barbara jest władcza i lubi mieć nad wszystkim kontrolę, a Adrienne nie chce być kontrolowana.

Leigh była zawsze bardziej spolegliwa.

- Co spowodowało taką buntowniczość Adrienne?

- Myślę, że po prostu taką ma osobowość. - Adwokat wciąż patrzył w dal. - To zaczęło się wcześniej, jeszcze w dzieciństwie i wkrótce przybrało postać jakiegoś błędnego koła. Adrienne była pierwszym dzieckiem. Barbara chciała kontrolować ją i sprawdzać na każdym kroku: Wycofała się, gdy okazało się to niemożliwe. Wówczas Adrienne zaczęła robić wszystko, by skupić na sobie uwagę matki. Od tej chwili zaczęło, się napięcie, które wciąż trwa.

- Czy Adrienne dalej próbuje coś z tym zrobić?

- Nie sądzę. Mam nadzieję, że ból z powodu odrzucenia przez matkę należy już do przeszłości. -

Spojrzał na Jackie i nagle jego głos nabrał chłodnego tonu. - Pani detektyw, czy to ma jakiś związek z Michaelem?

- To zależy od tego, czy ktoś z członków rodziny ma coś wspólnego z jego zniknięciem.

- Myśli pani, że to możliwe?

- Oczywiście. Według danych statystycznych rzadko kiedy małe dzieci są porywane przez obcych, panie Calder.

- Wiem. Przez ostatnie dni spędziłem trochę czasu, sprawdzając dane na ten temat - powiedział nieoczekiwanie. - Dlaczego podejrzewa pani rodzinę Leigh? Czy rodzina ze strony ojca dziecka nie jest bardziej podejrzana, skoro ojciec jest pozbawiony praw opieki nad dzieckiem?

Jackie pomyślała o podjętej przez Leigh bezowocnej próbie wywiezienia chłopca z kraju. - Na tym etapie śledztwa musimy sprawdzać wszystkie możliwości, każdą ewentualność.

Calder milczał przez chwilę, po czym kiwnął głową i powiedział. - Mogę tylko mówić za Adrienne. Nic nie wiem o innych, ale z obiecuję pani, że moja żona na pewno nie zrobiła nic złego.

Jackie rzuciła okiem na notatki i zdecydowała się na strzał, ciekawa, co się stanie. - Pani Mellon sugerowała, że Adrienne zna Stefana Panesivicia lepiej niż ktokolwiek z pozostałych członków rodziny.

Harlan Calder wziął do ręki leżący na biurku długopis i ścisnął go tak mocno, że krew odpłynęła mu z palców.

- Kiedy to powiedziała?

- Tuż po zniknięciu Michaela, gdy poszłam z nią porozmawiać.

- Cholerna baba.

Jego wybuch był tak zaskakujący, że Jackie spojrzała na niego z zainteresowaniem. Bawił się długopisem w narastającej ciszy, w pewnej chwili podniósł wreszcie głowę.

- Kilka lat temu moja żona miała krótki romans ze Stefanem - powiedział ze spokojem. - Ale nie sądzę, żeby Barbara była tego świadoma.

- Adriannę miała romans z mężem siostry? - powtórzyła Jackie zdumiona tym, co usłyszała.

- Niech pani nie będzie tak zszokowana, detektywie. Chyba pani wie, że takie rzeczy się zdarzają, nawet w obrębie rodziny.

- Raczej nie. Pańska tolerancja jest czymś niezwykłym. Wybaczył pan żonie?

- Kocham ją.

To proste stwierdzenie mówiło bardzo, bardzo wiele o Calderze, o wielkim cierpieniu, o umiejętności wybaczenia, o miłości, która przetrwała.

- Jak do tego doszło?

- To było mniej więcej w tym czasie, gdy urodził się Michael. Myślę, że Stefan był sfrustrowany, bo w czasie ciąży Leigh nie chciała zbliżeń. A Adrienne cierpiała z powodu ciąży Leigh.

- Ponieważ chciała mieć własne dziecko.

- Zawsze chciała mieć dziecko. Gdy o pięć lat młodsza Leigh tak szybko zaszła w ciążę i rozkwitła, Adrienne zachowywała się wobec niej bardzo dwuznacznie. Była oczywiście szczęśliwa z powodu ciąży siostry, lecz także bardziej niż kiedykolwiek przygnębiona, że nie może mieć własnych dzieci.

- Myślę - ciągnął Harlan, spoglądając ponownie w okno - że w ciągu tych miesięcy Adrienne ogarnęła

obsesja na tle Stefana. Zobaczyła w nim samca, dawcę życia. Splot rozmaitych nakładających się okoliczności i emocji był dla nich dwojga nie do udźwignięcia.

- Jak się pan o tym dowiedział?

- Adrienne mi powiedziała. Cierpiała, dręczyło ją poczucie winy. Powiedziała, że jeśli będę chciał rozwodu, ona da mi go bez żadnych sprzeciwów.

- Ale pan nie chciał rozwodu?

- Chciałem tylko, by romans się skończył, i żona rzeczywiście natychmiast zerwała z Panesiviciem. Obiecywała, że jeśli jej wybaczę i uratujemy nasze małżeństwo, już nigdy nie spotka z nim sam na sam.

- I dotrzymała słowa?

- Tak. Postanowiliśmy zapomnieć o tym epizodzie i żyć dalej. Od tamtego czasu nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Nie miałem pojęcia, że Barbara wie... - powtórzył.

- Czy możliwe, że Adrienne zwierzyła się matce?

- Bardzo wątpię. - Calder pokręcił przecząco głową. - Adrienne nie zwierzała się jej chyba od czasu, gdy skończyła pięć lat. Nie wiem, skąd Barbara się dowiedziała, ale nie od mojej żony. Chyba po prostu się domyśliła. Jest bystrym obserwatorem.

- Czy Leigh wiedziała?

- Absolutnie nie. Rodzina od dawna ma zwyczaj chronić Leigh przed wszystkim, co mogłoby ją zdenerwować. Ona była całkowicie zaślepiona Stefanem. Gdyby dowiedziała się, że ją zdradza, w dodatku z jej rodzoną siostrą, pewnie by tego nie zniosła.

- Czy Stefan zdradzał ją z innymi kobietami?

- Nie mam pojęcia - rzucił Calder zimno. - Tego rodzaju plotki mnie nie interesują.

- Miałam nadzieje, że dowiem się czegoś więcej na temat małżeństwa Leigh i Stefana - wyjaśniła Jackie nieco dotknięta. - Nie jestem w stanie zbudować żadnego wiarygodnego obrazu podczas tego dochodzenia. Wszystko zmienia się w zależności od tego, z kim rozmawiam.

- W jakimś stopniu wszystkie małżeństwa są takie. - powiedział adwokat. - Małżeństwo to bardzo prywatny, intymny teren, jak pani wie. Tylko partnerzy wiedzą, jak on wygląda naprawdę.

Jackie pomyślała o małżeństwie samego Harlana Caldera, o jego pięknej, zuchwałej żonie i o miłości, która przetrwała zdradę. Nagle posmutniała. Ogarnęło ją poczucie ogromnego osamotnienia.

- Mam nadzieję - zaczął ostrożnie Calder - że wszystko, o czym dzisiaj mówiliśmy, pozostanie między nami. Zaufałem pani w przekonaniu, że lepsza znajomość sytuacji w rodzinie pomoże odnaleźć Michaela.

- Oczywiście - Jackie wyjęła fotografię Paula Arnus-sena z notesu i podała ją przez biurko swojemu rozmówcy. - Czy kiedykolwiek widział pan tego człowieka?

Calder przyjrzał się uważnie twarzy ze zdjęcia, po czym potrząsnął głową. - Chyba nie.

Jackie włożyła zdjęcie z powrotem do notesu, wstała i wyciągnęła dłoń na pożegnanie. - Dziękuję - powiedziała. - Bardzo mi pan pomógł.

- Jeżeli będzie jeszcze coś, co mógłbym dla pani zrobić, proszę bez wahania dać mi znać. - Calder odprowadził ją do drzwi.

- Dziękuję - Jackie otworzyła drzwi i zatrzymała się w progu. - Jak już powiedziałam dzisiaj rano pańskiej żonie, ważna jest dla nas każda wskazówka.

Postanowiła, że wpadnie na chwilę do Panesivicia. Okazało się, że przypadkiem wybrała właściwy moment. Stefan Panesivić się pakował. Jackie stała w holu jego mieszkania pośród stosów kartonów, książek, posegregowanych rzeczy i patrzyła, jak gospodarz mieszkania wraca na środek pokoju i zaczyna wrzucać kolejne tomy do przygotowanego pudła. Najwyraźniej właśnie tym był zajęty, gdy zadzwoniła do niego z dołu.

- Dokonuję pewnych zmian w moim życiu - oznajmił oschłym tonem - Muszę coś zrobić. Tracę głowę z niepokoju.

Jackie przyjrzała mu się z uwagą. Źle wyglądał. Jego twarz nosiła ślady zmęczenia. Wydawał się też szczuplejszy, jak gdyby stracił na wadze od czasu ich pierwszej rozmowy. - Gdzie się pan wyprowadza?

- Szukam domu. Swoje rzeczy przenoszę do maga- -zynu, dopóki nie znajdę odpowiedniego miejsca.

- To trochę nielogiczne.

Rzucił wzrokiem na książkę, przekartkował ją bezmyślnie, skrzywił się i rzucił opasy wolumin do pudła - Co pani ma na myśli?

- Czy nie jest tak, że najpierw szuka się nowego mieszkania, a potem wyprowadza?

- Na to mieszkanie mają już nowego chętnego. Kiedy powiedziałem administratorowi budynku, że nie jestem w stanie przedłużyć umowy najmu, poprosił, bym wyniósł się do połowy miesiąca.

- I dlatego szuka pan domu?

- Michael potrzebuje więcej przestrzeni. Potrzebuje podwórka do gry w piłkę i własnego pokoju.

- Michael? - zapytała zaskoczona.

Stefan rzucił następną książkę do pudła i podniósł głowę - On wróci, pani detektyw, chociaż coraz bardziej jest dla mnie oczywiste, że pani nie potrafi go odnaleźć. Zamierzam rozpocząć własne poszukiwania. Odnajdę syna i zatrzymam go przy sobie. Leigh dowiodła, że nie jest w stanie sprawować nad nim opieki.

- Powiedział mi pan, że w waszym małżeństwie na początku wszystko układało się idealnie, a potem zaczęło się psuć. Czy to dlatego, że stracił pan zainteresowanie żoną?

- Nie posuwa się pani za daleko?

- Każda sprawa w znacznym stopniu sprowadza się do relacji zachodzących między zaangażowanymi w nią osobami. Wasze małżeństwo jest kluczem do wszystkiego.

- Jakim to sposobem? Moje małżeństwo nie istnieje. Może nigdy go nie było.

- Co pan ma na myśli?

- Może to była tylko romantyczna fikcja w głowie Leigh - rojenie młodej, niedoświadczonej dziewczyny, która nie zna życia i której się wydaje, że miłość polega

na wspólnym oglądaniu zachodów słońca, trzymaniu się za ręce, a małżeństwo to kolacje przy świecach.

- Naiwność żony zaczęła pana męczyć?

Stefan zacisnął zęby i odwrócił się. Jackie zrozumiała, że nie uzyska odpowiedzi na swoje pytanie.

- Dlaczego Leigh bała się pana?

- Nie wierzę, że się mnie bała. Nigdy nie podniosłem na nią ręki.

- Może nie chodziło o poczucie fizycznego zagrożenia. Nie pozwoliła panu zbliżyć się do Michaela, więc musiał pan wnieść sprawę dąsądu o wyznaczenie spotkań z dzieckiem. Co spowodowało jej lęk, że może pan go uprowadzić?

- Być może matka wbiła Leigh do głowy taką myśl. Barbara Mellon zawsze mnie nienawidziła.

- Sądzi pan, że Barbara wymyśliła to, by zabronić panu kontaktów z małym, że ona posądziła pana o możliwość porwania syna?

- Nie wątpię w to. Cała sprawa jest w stylu Barbary. Leigh nigdy nie była mściwa, lecz reszta rodziny Mel-lonów lubi ostrą grę.

Wyszedł z pokoju i wrócił po chwili z paczką chusteczek higienicznych. Zaczął zawijać w nie kolekcję japońskich figurek, stojącą na jednej z półek. Jackie patrzyła przez chwilę, jak układa w kartonie delikatną porcelanę. W końcu wyjęła zdjęcie Paula Arnussena z notatnika i podała je Stefanowi. - Czy przypadkiem nie przypomina pan sobie, gdzie widział tego mężczyznę?

258

Spojrzał na zdjęcie, a potem na Jackie. - Dlaczego wciąż pani o to pyta?

- Bo to może być ważne.

Westchnął, przeczesał włosy ręką i wrócił do oglądania fotografii. - Czy nie tego mężczyznę któregoś dnia przywiozła pani na farmę moich rodziców? Czy to ten jasnowidz?

- Tak. Lecz przedtem wydawało się panu, że już gdzieś wcześniej pan go widział. Gdy pokazałam panu to zdjęcie, pan powiedział, że twarz wygląda znajomo.

Spojrzał na nią badawczo.

- O co chodzi, pani detektyw?

- Czy pamięta pan, gdzie go widział?

- Nie, nie pamiętam. Musiałem się mylić.

- W porządku - włożyła zdjęcie i notes z powrotem do torebki. - Jeżeli cokolwiek pan sobie przypomni, proszę do mnie zadzwonić.

- Niech pani przestanie węszyć i znajdzie wreszcie mojego syna - Stefan chwycił ją za ramię i spojrzał ze złością. - Tracę już cierpliwość. Jeszcze trochę, a nie będę odpowiadał za siebie - wycedził.

ROZDZIAŁ 20

Jackie przebudziła się z niespokojnego snu. Leżała bez ruchu, próbując przypomnieć sobie, co jej się śniło. Nic nie pamiętała oprócz tego, że w jej śnie pojawił się Paul Arnussen.

Stopniowo zaczęły docierać do niej jakieś niewyraźne, ciche odgłosy. To Alex szlochała, bezskutecznie próbując stłumić płacz w poduszkę.

Zaniepokojona Jackie spojrzała na otwarte drzwi. Właściwie poczuła ulgę, kiedy usłyszała płacz dziewczyny. Alex zawsze panowała nad sobą. A to nie było naturalne, biorąc pod uwagę, przez co przeszła. Jackie spodziewała się, że w którymś momencie dziewczyna się załamie, chociaż nie miała pojęcia, co powinna wówczas zrobić, jak zareagować.

Instynkt podpowiadał jej, by pójść do pokoju gościnnego i przytulić dziewczynę. Wiedziała jednak, że Alex nie chce pocieszenia. Chciała w samotności znosić swoje cierpienie i pokazać, jaka jest silna.

Jackie odczekała, aż Alex przestanie płakać i wstanie z łóżka. Usłyszała, że dziewczyna wychodzi do łazienki, a potem do kuchni. Dopiero wówczas pośpiesznie wzięła

prysznic i ubrała się. Wciąż w pończochach, wpadła do kuchni wypełnionej przyjemnym zapachem świeżo zaparzonej kawy.

Alex spojrzała na nią i uśmiechnęła się blado, po czym ustawiła na stole miseczki z dżemem i miodem. Miała na sobie niebieskie krótkie spodnie Jackie, szeroką bawełnianą koszulkę i skarpety. Włosy związała z tyłu w koński ogon. Na jej bladej, ale spokojnej twarzy nie było już śladu po łzach. Jackie wzięła z talerza posmarowaną masłem grzanekę i sięgnęła po dżem truskawkowy. - Co dzisiaj robisz?

- zapytała.

- Posprzątam szafki. Mam zamiar wyjąć z nich wszystko, umyć półki i od nowa poustawiać.

Jackie zrobiła grymas i wypła łyk kawy. - Nie podoba mi się to, że marnujesz lato na tego typu pracę. Idź do parku, posiedź, tam, zapal. Bądź nieznośna jak wszystkie inne dzieciaki.

- Lubię pracę w domu. Jeśli zdążę, umyję też okna. A w przyszłym tygodniu posprzątam schowek. Jackie pomyślała o jej wcześniejszym płaczu i ogarnęła ją fala smutku. - Kochanie - powiedziała delikatnie

- wiesz, że uwielbiam, gdy tu jesteś. Lecz bez względu na to, jak będziesz grzeczna i jak ciężko będziesz pracować, nie mogę trzymać cię tutaj w nieskończoność. Musimy znaleźć ci odpowiedni dom.

- Dlaczego? Nie sprawię ci żadnego kłopotu, Jackie. Obiecuję.

- Ale nie tak powinnaś żyć. Tobie potrzeba normalnego domu. Potrzebujesz towarzystwa dłużej niż pół godziny dziennie, ludzi, z którymi mogłabyś porozmawiać, i jakiejś stabilizacji.

- Ale tak jest dobrze - powiedziała Alex poważnie. - Szczerze. Już niedługo lato się skończy i wrócę do szkoły. Też będę przez cały dzień zajęta.

Jackie zrezygnowała z dalszej dyskusji. Zjadła śniadanie. Wyszła z mieszkania, kątem oka jeszcze widziała, że Alex już kuca na podłodze kuchni i opróżnia szafkę pod zlewozmywakiem.

Stojąc w porannym korku, zastanawiała się, co zrobić ze swoim gościem. Żadne z typowych policyjnych rozwiązań dla młodych uciekinierów nie było skuteczne w przypadku Alex - ślicznej, bystrej i słodkiej smarkuli, która nie mogła wrócić do domu.

Zaparkowała przy posterunku. Weszła do środka w trakcie krótkiej, codziennej odprawy i od razu wyczuła namacalne niemal napięcie między Michelsonem a Ward-lowem. Najwyraźniej musieli się przed chwilą pokłócić. Obydwaj byli wściekli i zachowywali się obcesowo.

A potem już wszyscy chodzili źli jak osy. Brak postępów w śledztwie Panesivicia nie poprawiał nikomu samopoczucia. Żeby jeszcze bardziej zepsuć im humor, Michelson rozdał wszystkim kopie artykułu z jednej z lokalnych gazet, atakującego policję za „nieudolność i partaczenie” śledztwa oraz „beztroski brak zainteresowania”, gdy w grę wchodzi życie dziecka.

Czytając tekst w ponurym milczeniu, Jackie zastanawiała się, czy nie został napisany z poduszczenia Mellonów. Po odprawie zebrała torebkę, kartoteki, ustaliła jeszcze z Wardlowem plan dnia, a potem wyszła z biura i pojechała przez miasto w stronę South Hill.

Okazało się, że było tak jak powiedziała Adrienne. Mellonowie faktycznie wrócili w nocy do domu. Domofon odpowiedział od razu i brama się otworzyła. Jackie zaparkowała na podjeździe i energicznym krokiem ruszyła w stronę drzwi frontowych, gdzie Monika już czekała, by wprowadzić ją do środka.

- Jak było w Kalispell? - zapytała pokojówkę. - Nad jeziorem musi być pięknie o tej porze roku.

Monika spojrzała na nią nieodgadnionym wzrokiem. - Wszyscy jesteśmy zbyt przybici, by cieszyć się widokami - powiedziała z lekkim, miękkim akcentem. - Pani Mellon umiera ze zdenerwowania.

Odwróciła się, kiwając na Jackie, by podążyła za nią przez luksusowe wnętrza. Dotarły do pokoju z francuskim oknem, lecz Barbara Mellon nie pracowała przy swoim warsztacie tkackim. Ubrana w beżową suknię z jedwabiu kobieta siedziała w fotelu i patrzyła nieruchomym wzrokiem na ogród.

Kubek z kawą niebezpiecznie przechylał się jej w ręce.

Monika zostawiła Jackie przy drzwiach, rzucając znacząco ostrzegawcze spojrzenie i bezszelestnie zniknęła w holu. Jackie weszła do pokoju.

- Dzień dobry, pani Mellon - powiedziała - Jak się pani dzisiaj miewa?

Barbara spojrzała ostro. Niemal zakrztusiła się kawą. Jackie była zaskoczona zmianami, jakie w niej zaszły. W ciągu kilku dni, od czasu gdy rozmawiały po raz ostatni, Barbara Mellon jakby się postarzała o jakieś dwadzieścia lat. Wymizierowana blada twarz, podkrążone oczy, smutek - wszystko to świadczyło o ogromie cierpienia. Jackie z miejsca poczuła przyływ sympatii do tej ciężko doświadczonej ostatnimi wypadkami kobiety.

- Przykro mi - szepnęła. - Żałuję, że nie możemy go znaleźć. To musi być nie do zniesienia.

- Jest nie do zniesienia - potwierdziła Barbara.

- Wiem, że robicie, co możecie, pani detektyw. To wszystko jest takie... takie trudne.

Głos się jej załamał. Wyglądało na to, że za chwilę wybuchnie płaczem, ale opanowała się. Postawiła kubek z kawą na stoliku i splotła mocno ręce.

- Prawdopodobnie Alden cierpi bardziej ode mnie

- powiedziała, znów wyglądając przez okno. Ktoś kręcił się w oranżerii, zapewne ogrodnik pielęgnujący rośliny.

- On nie rozumie, dlaczego Michaela tutaj nie ma, a ja nie wiem, co mu powiedzieć.

Wszystkie pytania, które Jackie chciała zadać, nagle gdzieś uleciały. Nie wierzyła, że ta kobieta mogłaby tak udawać. W tej sytuacji wydawało się nietaktem pytać o niespodziewaną wyprawę do Kalispell, o Paula Arnus-sena i o jej związek z poprzednim zięciem.

- Wydaje się pani bardzo przybita - Jackie w końcu zaryzykowała, siadając na krześle obok. -

Wcześniej le-

piej zносиła pani sytuację. Była pani przekonana, że to Stefan uprowadził Michaela i wnuk jest prawdopodobnie bezpieczny.

- Tak. Tylko że Stefan jest wciąż tutaj, a wy nie znaleźliście Michaela. Zaczynam wierzyć, że myliłam się, gdy podejrzewałam Stefana o uprowadzenie małego. - Barbara zwróciła się do Jackie z tragicznym wyrazem twarzy. - A alternatywa jest... po prostu niewyobrażalna.

Jackie zerknęła do notesu, zastanawiając się, czy Barbara Mellon kiedykolwiek wcześniej tak bardzo cierpiała. Najwyraźniej miłość do wnuka była silniejsza niż uczucia wobec córek. A może stres i choroba męża zmieniły tę kobietę i sprawiły, że tak jak wszyscy stała się wrażliwa na ból. Jackie wyjęła z notesu zdjęcie Paula Arnussena i podała je Barbarze:

- Czy kiedykolwiek widziała pani tego człowieka? Barbara wzięła fotografię, najwyraźniej wdzięczna za

zmianę tematu i przyjrzała się jej z uwagą. - Nie - powiedziała w końcu. - Nigdy go nie widziałam. Odwróciła się z powrotem do okna. Plecy zaczęły jej drżeć. Jackie przysunęła fotel bliżej i otoczyła starszą panią ramieniem. Siedziały razem w ciszy, patrząc, jak rozpylacz wody tworzy jasną tęczę w letnim powietrzu.

Już w samochodzie Jackie spróbowała zdecydować, co dalej. Minęła kutą w metalu bramę wjazdową do rezydencji. W tylnym lusterku widziała, jak jej ozdobne skrzydła zamykają się na powrót.

Nacisnęła na hamulec

i marszcząc brwi, otworzyła notes. W głowie dźwięczały jej słowa artykułu: „Bezinteresowny brak zainteresowania”.

Czy rzeczywiście społeczeństwo tak postrzega policję? Czy nikt nie pomyśli o straconych godzinach, dziesiątkach osób poświęcających wakacje i życie rodzinne, żeby znaleźć zaginione dziecko?

Najwyraźniej nie. Westchnęła z goryczą. Zamknęła notes. Zaczęła stukać palcami po kierownicy. Zastanawiała się.

Od samego początku instynkt podpowiadał jej, że klucz leży gdzieś pomiędzy tymi dwiema rodzinami i że Paul Arnussen był w to również wplątany. Lecz im dłużej prowadziła śledztwo, tym mniej była pewna czegokolwiek.

Oprócz tego do szalu doprowadzała ją myśl, że pominęła coś bardzo ważnego. Im więcej upływało czasu i wciąż nic nie było wiadomo o Michaelu, tym bardziej wrażenie to się potęgowało. Czasami ogarniało ją tak ogromne zniechęcenie, że miała ochotę wyć.

Potrząsnęła głową, włączyła silnik i ruszyła wolno cienistą aleją. Chciała skrócić w ulicę prowadzącą obok domu Helen Philips. Była to najkrótsza droga prowadząca na północ miasta. Skręciła i ręce jej zamarły na kierownicy. Serce zaczęło bić z potworną prędkością.

Przed samym domem Philipsów stała zaparkowana ciemnoniebieska ciężarówka Paula Arnussena.

Jackie przyspieszyła, a potem zahamowała około stu metrów od samochodu Arnussena. Wzięła notes i sprawdziła numery rejestracyjne. Nie, nie myliła się, to był

ten sam wóz. Nałożyła okulary słoneczne i usiadła wygodniej. Czekala.

Po mniej więcej piętnastu minutach na zewnątrz pojawił się Arnussen. Dużymi krokami podszedł do ciężarówki, otworzył tylną klapę. Spojrzał na wóz Jackie, ale ona zdążyła osunąć się na fotelu. W cieniu można było ledwie zauważyć czubek jej głowy.

Arnussen był ubrany jak do pracy - w dżinsy i ciężkie buty, niebieską koszulę i swoją baseballówkę, z którą się nie rozstawał. Sprawdził coś wewnątrz ciężarówki, opuścił klapę i rozejrzał się dookoła. Jego oczy raz jeszcze spoczęły na nieoznakowanym wozie policyjnym, lecz nie rozpoznał go. W końcu okrążył swój samochód, usiadł za kierownicą i odjechał.

Gdy zniknął, Jackie podjechała do przodu i zaparkowała na miejscu, które właśnie zwolnił.

Zastanawiała się, jak ma rozumieć to, co widziała przed chwilą. W żaden sposób nie potrafiła sobie wytłumaczyć obecności chłopaka w domu Philpsów.

Zdjęła okulary słoneczne i rzuciła je na tablicę rozdzielczą, wzięła swój nieodłączny notes i wysiadła. W ostatniej chwili zdecydowała się przejść na tył domu.

Ogród był tak samo ładny, jak go zapamiętała; brązowa chorągiewka leniwie obracała się na lekkim wietrze, ogromna ilość kwiatów cieszyła oczy feerią barw, zielony dywan trawy wilgotny był od podlewania. Helen,

w słomkowym kapeluszu z wielkim rondem i w szerokich szortach, które odsłaniały szczupłe, piegowate nogi, podwiązywała właśnie krzaczki pomidorów.

- Dzień dobry - zawołała Jackie, osłaniając oczy ręką przed słońcem, by lepiej przyjrzeć się ogrodowi.

- Jak się pani miewa, pani Philps?

Helen podniosła się i zdjęła ogrodowe rękawice. Przeszła przez grządki kwiatów. Przywitała Jackie przy tylnych drzwiach. - Dzień dobry, pani detektyw. Proszę mówić do mnie po imieniu - powiedziała.

- Piękny dzień mamy dzisiaj.

Sposób, w jaki to powiedziała, zaprzeczał sugerowanej przez słowa pogodzie ducha. Helen Philps wyglądała tak jak większość innych ludzi zaplątanych w tę sprawę. Jej delikatne zmarszczki wyraźnie zaznaczały się na twarzy. Oczy miała mocno podkrążone. Zdjęła słomkowy kapelusz. Długi warkocz opadł na plecy.

- Przekleństwo rudowłosych - powiedziała do Jackie. - Gdybym nie nosiła kapelusza, wyglądałabym jak ugotowany homar.

Jackie kiwnęła głową ze zrozumieniem.

- Czy dowiedzieliście się czegoś o Michaelu? - zapytała Helen.

- Robimy pewne postępy - powiedziała Jackie. - Możemy wejść na chwilę do środka?

- Oczywiście, zrobię lemoniadę.

- Dzięki - Jackie poszła za nią do kuchni. - Mam tylko kilka pytań do ciebie, nie rób sobie kłopotu.

Helen nie spierała się. Umyła ręce i usiadła przy stole, naprzeciw Jackie.

- Gdy przyjechałam tutaj kilka minut temu - powiedziała Jackie - właśnie odjeżdżał stąd jakiś mężczyzna. Czy rozmawiałaś z nim?

- Masz na myśli Arnussena?

- Tak - Jackie wyjęła fotografię. - Gdy ostatni raz tu byłam, pokazałam ci to zdjęcie. Miałaś wrażenie, że rozpoznajesz twarz mężczyzny, ale nie mogłaś sobie przypomnieć jego nazwiska.

Helen przyjrzała się fotografii najwyraźniej zaskoczona. - To ten sam człowiek - powiedziała, zerkając na Jackie. - Zupełnie o tym zapomniałam - znów spojrzała na zdjęcia.

- Co go do ciebie sprowadziło, Helen?

- Będzie naprawiał dach. Pojawił się po raz pierwszy kilka dni temu. Powiedział, że dach jest bardzo zniszczony, a on szuka pracy.

- I tak po prostu go wynajęłaś?

- Ależ nie. Wymienił nazwiska kilku innych osób w sąsiedztwie, u których pracował. W większości to nasi przyjaciele albo znajomi. Zadzwoiłam do kilku z nich, żeby zapytać, czy to dobry fachowiec. Wszyscy dali mu wyśmienite referencje, a cena jaką podał, wydała mi się umiarkowana. Ten stary dach rzeczywiście wymaga naprawy. Dziś rano podpisałam z nim umowę.

Jackie zrobiła notatkę. - Kiedy zaczyna pracę?

- Jutro.

269

- W sobotę rano?

Helen kiwnęła głową. - Powiedział, że nie ma nic przeciwko pracy w weekend, ponieważ potem chce pojechać na długie wakacje.

- Rozumiem.

Helen spojrzała na Jackie, zaskoczona jej ponurym głosem. Nagle zadzwonił dzwonek u drzwi.

Kobieta poruszyła się nieznacznie na krześle i zerknęła na zegar.

- To musi być gazeciarz - mruknęła. - Zawsze przychodzi, żeby zabrać... Cholera, nic nie przygotowałam. - Popchnęła krzesło do tyłu, rozglądając się w roztargnieniu. - Czy mogę przeprosić na minutę?

- Oczywiście - powiedziała Jackie. - Poczekam tutaj i uzupełnię notatki.

Do kuchni weszła Grace Philips. Staruszka ubrana była w bawełnianą suknię w kwiaty, kamizelkę i skórzane mokasyny. Podeszła do lodówki, szurając nogami po twardej drewnianej podłodze.

Zatrzymała się na widok Jackie.

- Jest tą policjantką?

- Tak.

Jackie przedstawiła się głośniejszym głosem i staruszka kiwnęła głową.

- Ma pistolet? - zapytała i nachyliła się bliżej. Jackie poczuła delikatny zapach maści pomieszany z jakimiś perfumami.

Odchyliła połę kurtki, by pokazać kaburę. Grace Philips wpatrzyła się w kolbę pistoletu najwyraźniej zafascynowana, a następnie z satysfakcją kiwnęła głową.

270

- Chciałabym, żeby go zastrzeliła - wymamrotała zerkając przez ramię na drzwi. - Powinna go zabić jak psa.

- Zastrzeliła kogo, pani Philips?

Jackie posłyszała dźwięk kroków na schodach. Helen widać poszła na górę po pieniądze dla gazeciarza.

- Tego mężczyznę - powiedziała Grace chrapliwym szeptem. - Wie. On znów tutaj był.

- Mówi pani o człowieku, który będzie naprawiać dach?

- To zły człowiek - ciągnęła Grace. - On nie ma prawa przychodzić tutaj po zmierzchu i wślizgiwać się do jej pokoju. To grzech i ona to wie.

W głowie Jackie zaczęło się coś układać: - Ten mężczyzna przychodzi tutaj w nocy?

- Dzieją się złe rzeczy. - Staruszka skrzywiła się żałośnie. Łzy wolno popłynęły jej po policzkach - Boję się.

- Przejedźmy się moim samochodem. Porozmawiamy o tym, co panią niepokoi.

- Nie! - stara kobieta skuliła się i rzuciła jej gniewne spojrzenie - Nie chcę z nią o niczym rozmawiać.

- **Ale...**

- Nie! - krzyknęła Grace. Twarz poczerwieniała jej ze złości.

Jackie wyjęła wizytówkę z kieszeni. Spojrzała ukradkiem na korytarz, później wsunęła wizytówkę w żyłastą dłoń Grace i przysunęła usta do jej ucha:

- Jeżeli będzie się pani czegoś bała, proszę do mnie

zadzwoń, a ja natychmiast przyjadę - powiedziała wyraźnie. - Rozumie pani?

Staruszka kiwnęła głową. Spojrzała na Jackie pustym wzrokiem.

- Nawet jeżeli tylko będzie chciała pani ze mną porozmawiać - ciągnęła z desperacją, słysząc szybkie kroki Helen. - Zadzwoń pani, prawda, Pani Philips?

- Mama? Co ty tutaj robisz? Myślałam, że oglądasz teleturniej.

- Ten teleturniej jest głupi - powiedziała Grace nadąsanym głosem. - Oni wszyscy są głupi. Jestem głodna. W tym domu nigdy nie ma nic do jedzenia.

Na twarzy Helen pojawił się wyraz zniecierpliwienia. Westchnęła i podeszła do lodówki. Gdy odwróciła się tyłem, Grace wsunęła wizytówkę do kieszeni kamizelki.

Jackie obserwowała dwie kobiety kłócące się w dużej staroświeckiej kuchni. Patrzyła na potargane włosy matki Helen i zastanawiała się, czy staruszka ma przewidzenia. Trudno było uwierzyć, że Paul Arnussen zakradał się do tego domu w nocy i kochał z jej córką. Ale jest przecież wiele rzeczy w tej sprawie, w które trudno uwierzyć, pomyślała ze znużeniem.

ROZDZIAŁ 21

W sobotę rano Jackie przyjechała do pracy wcześniej. Usiadła przy biurku i z uwagą zaczęła przeglądać swoje kartoteki. Próbowała przypomnieć sobie każdy szczegół, ułożyć w jakiś logiczny ciąg wszystkie przeczące sobie opowieści.

- Jedenaście dni - wymamrotał Wardlow i przysunął się do jej krzesła
- Hmm? - Jackie zmarszczyła brwi, czytając zeznania Leigh Mellon.
- To już jedenaście dni od czasu, gdy mieliśmy wolne.
- I ponad tydzień od czasu zniknięcia Michaela - dodała. - Co u ciebie?
- W życiu zawodowym czy prywatnym? - uśmiechnął się gorzko.
- Obu - Jackie wyprostowała się na krześle i wyciągnęła ręce nad głową.
- No cóż, w domu nie najlepiej. Ledwo widuję się z żoną.
- I dalej z nią nie rozmawiasz?
- Do diabła, nawet gdyby udało mi się znaleźć kilka minut, nie wiedziałbym, co powiedzieć.

273

- Brian...

- I ta cholerna sprawa - ciągnął, patrząc wściekle na biurko. - Doprowadza mnie do szaleństwa. Żyłoby można sobie wypruć, a i tak wszyscy krzyczą i żądają natychmiastowych rezultatów. Prasa, ci z komendy, nawet Mi-chelson mnie pogania.

- Pokłóciliście się. W czym problem? Wardlow machnął tylko ręką i włączył komputer.

- Nie jest mu łatwo - powiedziała Jackie po krótkiej przerwie. - To na jego głowę sypią się gromy.

- Co nie oznacza, że nasz szef...

- Jackie - Alice zamknęła drzwi za sobą i żwawym krokiem przeszła przez pokój. - Mam dla ciebie wiadomości.

- Dziękuję, Alice - Jackie sięgnęła po kartki z wiadomościami.

Przeleciała je wzrokiem, ale żadna nie wydawała się pilna. Jedna z nich zawierała tylko numer telefonu i suchy komentarz „proszę oddzwonić”.

- Co to jest, Alice ? - zapytała, lecz sekretarki już nie było. Położyła kartki na brzegu biurka i wzięła telefon. Wystukała numer w Los Angeles. Jak zwykle Lorna McPhee odebrała po pierwszym sygnale.

- Czy ty nigdy nie masz wolnego? - zapytała Jackie.

- A ty co, siedzisz teraz w domu w szlafroku i objadasz się czekoladą? - zadrwiła.

Jackie roześmiała się. - Odwiedziłaś moją babcię? -zapytała już poważnie.

- Byłam w czwartek. U nich wszystko w porządku.
- Naprawdę?
- O tyle, o ile - dodała opiekunka społeczna. - Joe ma tuzin starych samochodów, które znalazł porzucone w jakichś zaroślach. Mówi, że będzie je rozbierać na części.
- Nie są trefne? - zapytała Jackie z niepokojem.
- Nie sprawdzałam, kochanie. Są na widoku publicznym, więc to prawdopodobnie legalne. Albo przynajmniej półlegalne.
- A co z Carmelem?
- Wrócił do domu i szuka pracy, ale robi to dość wolno. Gra z twoją babcią w karty. Po pięć centów. Kiedy ostatnio byłam u nich, ograła go na cztery dolary.
- Jak ona się czuje?
- Słaba, ale w zasadzie w porządku. Już nie będzie młodsza, Jackie. Kiedy sięga po butelkę, pije do dna, a to niszczy zdrowie.
- Powinnam wziąć ją stamtąd, prawda? - Jackie poczuła nagłe dźgnięcie wyrzutów sumienia.
- Nie powinnaś - powiedziała opiekunka. - Nie zmienisz jej. Ona sama odpowiada za siebie.
- Ale zabija się w ten sposób.
- To jej wybór. Złożyłaś propozycję i odmówiła. Musisz ją tam zostawić. Piłka jest na jej polu, a nie na twoim.
- Czy ona... czy babcia pyta o mnie? - zapytała Jackie ze smutkiem. - Gdy ostatnio rozmawialiśmy, była na mnie zła.

- Nie, kochanie - powiedziała Lorna niespodziewanie delikatnym głosem. - Ona nic nie mówi. Jackie milczała przez chwilę. - Chciałabym porozmawiać z tobą o czymś jeszcze, Lorna - powiedziała w końcu.
- Śmiało, słucham.
- Jackie opowiedziała o Alex, o tym, jak znalazła dziewczynę, dzwoniła do jej matki i martwi się teraz, bo nie wie, co dalej.
- Jak to w tej chwili wygląda?
- Tak jak powiedziałam. Zatrzymała się u mnie, a ja wciąż próbuję podjąć jakąś decyzję. Wydaje się spokojniejsza. Jest mi wdzięczna, ale nadal jest zupełnie rozbita. To biedne dziecko przeszło piekło.
- Dziewczyna potrzebuje terapii albo przynajmniej kogoś, kto skłoniłby ją do mówienia.
- Wiem - powiedziała Jackie. - Tylko że ja ledwie znajduję czas, żeby powiedzieć jej cześć i do widzenia. Całe dni spędza sama, harując w moim domu jak sprzątaczką. To nie jest w porządku, Lorna.
- No cóż, nie możesz odesłać jej do domu. To nie ulega wątpliwości. W ciągu dwudziestu czterech godzin wróci na ulicę. Widziałam zbyt wiele dziewczyn w podobnej sytuacji.
- Nie mogę też trzymać jej u siebie w domu. W moim mieszkaniu jest tylko jedna sypialnia. Sytuacja jest trudna.
- Wiesz dobrze, Jackie, jakie jest wyjście. Sama pracujesz z takimi dziećmiakami.

- Rodzina zastępcza, coś w tym rodzaju?

- To nie jest złe rozwiązanie. Dużo lepsze wyjście niż inna ewentualność - dodała ponuro.

- Wiem, tylko że Alex jest... - Jackie pomyślała o nieśmiałej, subtelnej dziewczynie, o jej talencie i zapale. - Ona rozpaczliwie chwyta się wszystkiego, co mogłoby zapewnić jej trochę bezpieczeństwa. O Boże, po prostu chcę, żeby miała normalny dom, jak inne dzieci. Ona na to zasługuje. Ja nie mam warunków. Może jesteś w stanie coś zaproponować.

- Co na przykład?

- Jestem pewna, że jej matka zapłaciłaby za jakąś prywatną szkołę, żeby tylko mała trzymała się z dala.

- A gdzie pojedzie na wakacje? - zapytała Lorna

- Nie stworzysz jej życia poza szkołą.

- Wiem - Jackie nawinęła kabel telefonu na palec.

- Sprawdzę kilka miejsc i oddzwonię, gdy tylko będę coś wiedziała, dobrze? - powiedziała Lorna. - Może będziemy w stanie znaleźć coś dla twojej dziewczyny.

- Dziękuję - powiedziała Jackie z wdzięcznością.

- Jesteś aniołem.

- O tak, z pewnością.

Jackie roześmiała się pogodnie w odpowiedzi na słowa przyjaciółki. Odłożyła słuchawkę nieco podniesiona na duchu i wróciła do pliku kartek z wiadomościami. Tę bez nazwiska pozostawiła na koniec. Gdy wykręciła numer, jakaś kobieta podniosła słuchawkę po czwartym sygnale.

- Halo - powiedziała zdyszana i zła.

- Helen? - zapytała Jackie zakłopotana.
- Kto mówi?
- Detektyw Kaminsky. Czy dzwoniłaś do mnie w jakiejś sprawie?
- Oczywiście, że nie - powiedziała Helen Philps. - Dlaczego miałabym dzwonić?
- Myślałam - Jackie spojrzała na żółtą kartkę. Dopiero teraz przypomniała sobie, że dała swoją wizytówkę Grace Philps.
- To musi być jakieś nieporozumienie - powiedziała Helen wrogo. - Przepraszam, że jestem niegrzeczna, ale nie mogę teraz rozmawiać. Już jestem spóźniona. Właśnie wychodziłam z domu, gdy zadzwonił telefon. Muszę być z powrotem w domu za godzinę, ponieważ pan Arnussen przychodzi i zaczyna naprawę dachu.
- W porządku - powiedziała Jackie. - Przepraszam, że przeszkadzam.
- Ale dlaczego do mnie dzwonicz? - zapytała Helen niespodziewanie ostrożnym głosem.
- Głupi błąd - Jackie skłamała ze swobodą. - Właśnie sobie to uświadomiłam. Dzwoniłam pod numery z listy i musiałam wykręcić twój zamiast innego. Przepraszam.
- Nie ma sprawy - powiedziała Helen z ulgą. - Daj mi znać, jeśli w jakikolwiek sposób będę mogła pomóc. Za mniej więcej godzinę powinnam być w domu.
- Przepraszam - powtórzyła Jackie. - Idź na spotkanie. Wkrótce porozmawiamy.

Odłożyła słuchawkę i wróciła do swojej papierkowej roboty. Z trudem odczekała dwadzieścia minut, by nabrać pewności, że Helen jest już daleko od domu. W końcu wystukała jeszcze raz ten sam numer, modląc się, aby Grace Philps usłyszała dźwięk telefonu. Już chciała dać za wygraną, gdy w słuchawce odezwał się chrapliwy głos.

- Grace, to pani? - zapytała Jackie - Detektyw Kaminsky.

- Boję się - powiedziała staruszka bez wstępu. - Chcę, żeby tutaj przyjechała.

Najwyraźniej doskonale słyszała głos Jackie. Widać telefon był wyposażony w jakiś rodzaj wzmacniacza, który pozwalał Grace prowadzić normalną rozmowę pomimo osłabionego słuchu.

- Zaraz przyjadę - Jackie oparła słuchawkę na ramieniu i zaczęła zbierać notatki.

- Nie dzisiaj - powiedziała Grace. - Nie dzisiaj. Ona zaraz wróci do domu.

- Kiedy mogę z panią porozmawiać?

- Jutro. W niedzielę rano ona zawsze wychodzi do kościoła. Nie będzie jej przez dłuższy czas.

- Ale skoro pani się boi, Grace...

- Nie dzisiaj - powtórzyła staruszka zdecydowanie. - Ona uczy w szkółce niedzielnej i śpiewa w chórze. Wychodzi z domu o wpół do dziesiątej. Nie wróci przed dwunastą. Niech przyjdzie rano, to usłyszy kilka rzeczy o niej - dodała tajemniczo. - Strasznych rzeczy.

Jackie znów zaczęła się zastanawiać, czy kobieta nie

cierpi na demencję albo czy oskarżenia nie są po prostu częścią gry, jaką Grace Philips prowadzi z córką.

- Będę - przyrzekła. - Przyjadę najszybciej, jak tylko będę mogła, po wpół do dziesiątej.

- Dobrze. Będę czekać. - Grace rozłączyła się bez dodatkowych wyjaśnień.

Jackie odłożyła słuchawkę i spojrzała na swojego partnera. - Wiesz coś o rodzinie Philipsów?

- Co na przykład?

- Nie wiem. Przeszłość, sytuacja finansowa, coś w tym rodzaju.

- Niewiele - spojrzał na notatki w kartotece. - Mówiłaś przecież, że opiekunka do dziecka nie odgrywa w tej sprawie większej roli.

- Wiem. Teraz nie jestem już taka pewna. - Jackie opowiedziała mu o telefonie Grace i jej „strasznych rzeczach”.

- Ojciec był przemysłowcem - Wardlow wzruszył ramionami. - Zasłużony dla miasta. Umarł jakieś dwadzieścia lat temu i zostawił pokaźną fortunę, z której żyją matka z córką. Nie mają żadnych problemów finansowych. Helen Philips rok w rok ofiarowuje dwa tysiące dolarów na lokalne towarzystwo sztuki. Nic więcej o nich nie mam. No i to, że niektórym sąsiadom przykro z powodu biednej Helen, kontrolowanej, jak mówią, całe życie przez matkę. Wszyscy uważają, że stara ma sklerozę.

- Ponure.

Włączyła swój komputer i zaczęła porządkować notatki, podczas gdy jej partner pracował obok w milczeniu.

Ciemne chmury zasnuły niebo. Padało do wpół do dwunastej. Zimna, zacinająca ulewa bębniła o zniszczony dach starego domu i spływała rynnami, tworząc na dole błotniste kałuże.

Helen Philps leżała w łóżku, nasłuchując zawodzenia wiatru i uderzeń deszczu o szyby. Patrzyła na czerwone cyfry zegarka. Palce nerwowo zaciskała pod kołdrą.

Za dziesięć dwunasta wysunęła się z łóżka naciągnęła szlafrok i kapcie. Wymknęła się z pokoju.

Zatrzymała na korytarzu, nasłuchując przy drzwiach matki. Nie dochodził stamtąd żaden odgłos.

Helen popchnęła delikatnie drzwi i zajrzała do środka.

Dochodzące z korytarza blade światło oświetlało masywne łóżko, na którym leżała robiona na drutach narzuta. Grace Philps była tak drobna, że ledwo było ją widać. Staruszka lekko chrapała przez otwarte usta. Na stoliku nocnym szczyrzyła zęby proteza w szklance.

Helen zamknęła drzwi i stanęła na zniszczonym chodniku w turecki wzór. Nerwowo splotła ramiona.

W końcu zeszła po kręconych schodach, kurczowo trzymając się wypolerowanej dębowej poręczy.

Pobiegła w stronę kuchennych drzwi. Otworzyła je.

Czekał na schodach, pachnący deszczem i męskością. Na jego czole lśniły krople deszczu. Wciągnęła go do

środka i otrzepała deszcz z jego płaszcza, a potem objęła i pocałowała żarliwie.

- O Boże - wyszeptała, dotykając pożądliwie jego włosów, twarzy i uda. - Umierałam z tęsknoty, czekając na ciebie.

Odwzajemniał pocałunki, zanurzając palce w jej rozpuszczonych włosach. Szlafrok zsunął się z ramion Helen, odsłaniając piersi. Oderwała się od kochanka z westchnieniem i wciąż go pieszcząc, osunęła na podłogę. - Pragnę cię - wyszeptała.

Roześmiał się miękko i pociągnął ją w stronę schodów. Wspięli się po nich gnani pożądaniem.

- Bądź cicho - szepnęła. - Ona ostatnio śpi jak zajac.

- Nic jej nie dałaś?

- Bałam się. Robi się po tym nieznośna. Wczoraj... Weszli do pokoju Helen i zamknęli drzwi. Ściągnął jej

szlafrok z ramion i spojrzał na nią w słabym świetle nocnej lampki. - Co zrobiła? - zapytał, sięgając pod koronki koszuli nocnej. Dotknął jej sutków. Pociągnął je lekko opuszkami palców, aż Helen zaczęła drżeć z rozkoszy.

- Zagroziła... że powie tej policjantce.

Jego dłoń zamarła. Twarz stężyła w złości. - Mówisz o Kaminsky?

- Jestem pewna, że mama nic nie powiedziała. - Helen chwyciła jego dłoń, mocno pocierając nią o swoją pierś. - Nie były same.

- Co mogłaby powiedzieć? - zapytał. - Staruszka nic nie wie, prawda? Byłaś chyba ostrożna.

Odsunął się od niej i przystanął przy oknie. Helen znów przylgnęła do niego i niecierpliwie chwyciła go za ramiona. Czuła jego twarde mięśnie pod koszulką.

- Jesteś piękny - szepnęła, obsypując pocałunkami jego kark. - Taki piękny.

Nie odpowiedział. Stał tylko i z zaciętym wyrazem twarzy patrzył przez okno.

- Czy ona coś wie? - powtórzył

- Oczywiście^ że nie. Nawet nie wie o tobie. Byłam ostrożna, .kochanie. Tak jak obiecywałam.

- Jesteś pewna?

- Jak najbardziej. Proszę, nie bądź dla mnie taki okrutny. Wiesz, jak bardzo cię kocham.

Złagodniał i wziął ją w ramiona, obejmując mocno, niemal brutalnie. Uwielbiała to. Po chwili puścił ją. Pozwolił, by go rozebrała. Stał spokojnie, gdy ściągnęła mu koszulę. Rozpięła dżinsy i zsunęła.

Wyszedł z nich i stanął na wprost niej w aroganckiej męskiej postawie. Powoli ściągała mu slipy, klęcząc przed nim w uwielbieniu.

- Och - szepnęła, podczas gdy on patrzył na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy. - Och, spójrz na niego, mój kochany. Taki cudowny.

Czule, z rozkoszą, wzięła go w dłoń, potem do ust, aż zadrżał pod wpływem jej pieszczot. Helen przylgnęła do mężczyzny. Wdychała jego zapach, smakowała ustami jedwabiste ciepło skóry.

W końcu wziął ją w ramiona i zaniósł do łóżka. Po-

łożył ją na wznak i wdrapał się na nią. Mrucząc, objęła go kurczowo.

- Jesteś dziwną kobietką - rzekł z rozbawieniem. - Lubisz robić to ostro, prawda?

Wbiła mu paznokcie w plecy. Skomlała z rozkoszy i bólu. Ból był konieczny. Pozwalał jej przenosić się poza siebie samą w szalone zakazane obszary, gdzie mogła być taka, jaką zawsze chciała być: wolna od wszystkiego z wyjątkiem uczucia. W końcu nasyceni opadli na poduszki. Leżeli spleceni rękami i nogami.

- Niezła jesteś - szepnął. Oczy błyszczały mu w ciemności. - Zdumiewająca. Będzie mi ciebie brakować.

- Co masz na myśli? - Helen zeszywniała i uniosła się na łokciach.

- Nie mogę wziąć cię ze sobą. Wiesz o tym.

- Przecież powiedziałeś...

- Już to przerabialiśmy - mruknął. - Nie denerwuj mnie.

Przeraziła ją jego złość i ten cynizm, jakiego już kilka razy wcześniej doświadczyła. Ale bardziej bała się, że go straci.

- Chcę jechać z tobą - powiedziała płaczliwym głosem. - Powiedziałeś, że wszystko tak zorganizujesz, żebym mogła z tobą jechać. Proszę. Proszę, nie zostawiaj mnie. Umrę bez ciebie.

Przewrócił się na wznak i wlepił wzrok w sufit. Na jego twarzy pojawił się wyraz zniecierpliwienia.

- Nie będę dla ciebie ciężarem - ciągnęła. - Zrobię

wszystko, by cię nie zawieść. Tylko pozwól mi jechać z tobą. Zrobię wszystko, co zechcesz. Już tyle ci pomogłam. - błagała. Wiedziała, że doprowadza kochanka do furii, ale nie potrafiąc się pohamować. - Zrobiłam wszystko, o co prosiłeś. Wiesz przecież, wszystko, co chciałeś.

- Jesteś histeryczką - rzekł chłodno. - To nie wchodzi w rachubę. Nie możesz jechać ze mną i dobrze o tym wiesz. Może wrócę po ciebie za jakiś czas, gdy wszystko się skończy. - Wstał i podszedł do okna, wkładając po drodze spodnie.

Helen spojrzała na niego z lękiem. Nagle wyskoczyła z łóżka i naga, trzęsąc się z zimna, padła przed nim na kolana. Odepchnął ją ze zniecierpliwieniem, gdy próbowała złapać go za nogi.

- Proszę. Proszę, kochanie...

Nawet w ciemności spostrzegła wyraz obrzydzenia na jego twarzy.

- Powiem - szepnęła. - Jeśli mnie zostawisz, wszystko powiem.

- Co powiedziałaś? - nagle zeszywniał.

- Powiem policji - powtórzyła szybko. Łzy popłynęły jej po policzkach. - Powiem im, co zrobiłeś.

- Posłuchaj, suko... - Chwycił ją za włosy i mocno pociągnął. - Nic nie powiesz - rzekł, szarpiąc jeszcze mocniej. - Rozumiesz?

- To boli - jęknęła i spróbowała oswobodzić się z uścisku. - Przestań. Proszę.

- Nic nie powiesz.

Gwałtownie pociągnął ją jeszcze raz za włosy. Krzyknęła z bólu. Nagle poczuła, że zwolnił uścisk i odwrócił się. Drzwi do pokoju były otwarte. Stała w nich Grace Philps - drobna, trzęsąca się figurka we flanelowej koszuli, z potarganymi siwymi włosami.

- Co się tu dzieje? - zapytała drżącym głosem. - Helen, co się tu dzieje?

Grace rzuciła okiem na nagi tors mężczyzny i przeniosła wzrok na nagą córkę. Ruszyła z furią w stronę mężczyzny.

- Wynoś się stąd! Ale już!

Postąpił krok w jej stronę. Grace ogarnęła niepewność, a potem lęk. Stanął tak, że Helen nie widziała matki. Zobaczyła jedynie konwulsyjne trzepotanie jej rąk. Potem Grace osunęła się na podłogę.

ROZDZIAŁ 22

Przed świtem deszcz przeszedł w ostrą mżawkę, sprawiając, że niedzielny poranek był szary i zimny. Jackie zjadła z Alex świąteczne śniadanie. Dziewczyna zaplanowała, że spędzi dzień na sprzątaniu salonu i poukłada kompakty w porządku alfabetycznym. W mieszkaniu było tak miło i przytulnie. Jackie musiała stoczyć walkę z sobą, by wyjść z domu i przebijać się przez całe miasto na spotkanie z Grace Philips.

Tuż po wpół do dziesiątej wjechała w boczną alejkę i zaparkowała samochód za domem Philipsów. Otworzyła drzwi samochodu i narzuciła na siebie starą dżinsową kurtkę, aby osłonić ramiona przed deszczem. Weszła przez tylną bramę i ruszyła w stronę domu. Po drodze omiotła wzrokiem wiązki drewnianych gontów, które Paul Arnussen złożył przy garażu.

Przystanęła w progu, drzwi wiodące do kuchni były nieznacznie uchylone. Najwyraźniej Helen wyszła tędy do kościoła. Jackie zadzwoniła i spojrzała przez ramię na mgłę snującą się po kwiatkach i krzewach.

Zadzwoniła raz jeszcze, lecz znów nikt nie zareagował na dzwonek. W końcu popchnęła drzwi i weszła do środka-

ka. Zatrzymała się przy stole kuchennym i nasłuchiwała jakichś odgłosów. Nic. Dom wydawał się opustoszały. Przez chwilę zastanawiała się, co robić. W końcu ruszyła w stronę holu. Przeszła przez pokoje na parterze, głośno nawołując.

W dalszym ciągu żadnego śladu Grace Philips. Jackie spojrzała na zegarek i zmarszczyła brwi.

Dziewiąta trzydzieści - tak chciała staruszka. Teraz była już prawie za piętnaście dziesiąta.

Przystanęła przy schodach. Zerknęła w górę. W domu panowała martwa cisza. Jąkie słyszała tykanie antycznego zegara w holu za nią i delikatny szmer deszczu spływającego po szybach.

- Grace - zawołała, patrząc na schody. - Jest pani tam? Cisza była nie do zniesienia. Zaczęła wspinać się po

stopniach, wyjmując jednocześnie pistolet z kabury. Gdy dotarła na górę, chwyciła się rzeźbionego słupka balustrady i spojrzała na korytarz. Zamarła. Przez otwarte drzwi zobaczyła bosc nogi kobiety na tureckim chodniku. Odbezpieczyła broń i przebiegła przez korytarz. Przekroczyła nogi kobiety i przywarła do drzwi.

- O Boże - szepnęła. Opuściła pistolet. Ogarnęła ją fala mdłości. - O Boże.

Grace Philips leżała na podłodze z szeroko otwartymi oczami, głowę miała groteskowo przekrzywioną. Flanelowa koszula zawinęła się wokół jej ud. Staruszka wyglądała jak wynędzniały mały biały kotek zabity w napadzie szału i niedbale odrzucony precz.

Helen Philips leżała naga na łóżku; włosy miała dziko splątane, sinoblada twarz pokryta była zakrzepłą krwią, szyja posiniaczona. Z ust wystawał obrzmiały język. Zanim umarła, musiała stoczyć chyba ostrą walkę, bowiem na jej ciele pozostały ślady poważnych obrażeń. W pierwszym odruchu Jackie chciała nakryć ciało pledem, lecz powstrzymała się. Lepiej niczego nie dotykać.

Uniosła pistolet i wróciła na korytarz. Ostrożnie posuwała się do przodu. Otwierała kolejno drzwi i zaglądała do każdego pokoju. Gdy w końcu stwierdziła, że nie ma tu nikogo ani żywego, ani umarłego, zeszła na dół i zajrzała do innych pokoi. Otworzyła drzwi na końcu korytarza przy kuchni. Prowadziły do ciemnej piwnicy.

Zamknęła je i przystanęła przy stole kuchennym. Oddychała głęboko, zbierając siły. Odłożyła pistolet i wyjęła z torebki telefon. Zadzwoiła do Wardlowa. Powinien być w przytułku w centrum miasta i przesłuchiwać potencjalnego świadka - Waldemara Kozika, który sypiał tam od czasu do czasu.

Wardlow miał zawsze nosić przy sobie telefon, by natychmiast przybyć z odsieczą, gdyby Jackie potrzebowała pomocy. Czekala niecierpliwie, słuchając sygnału w słuchawce. Nikt nie odpowiadał. Zaklęła soczyście i jeszcze raz wystukała numer. W końcu zrezygnowała i zadzwoniła na posterunek. Próbując opanować drżenie głosu, podała swoją lokalizację, opisała krótko sytuację i poprosiła o natychmiastową pomoc. Rozłączyła się. Ręce jej drżały.

Nagle usłyszała czyjś oddech i przytłumiony odgłos dochodzący gdzieś z dołu. Odwróciła się na pięcie, wyjęła pistolet i utkwiała wzrok w drzwiach prowadzących do piwnicy. Zauważyła wcześniej okna osadzone na wysokości gruntu. Morderca mógł być teraz na dole, przygotowując się do ucieczki przez jedno z tych okien, i zwać, zanim Jackie doczeka się wsparcia. Czas uciekał, a ona stała i nic nie robiła.

Wzięła kilka głębszych oddechów i wyjęła z torebki małą latarkę. Włożyła ją do kieszeni żakietu. Uniosła pistolet i otworzyła drzwi do-piwnicy. Ostrożnie, w napięciu, zaczęła schodzić, trzymając broń w obu dłoniach przed sobą.

Otoczyła ją cisza i zapach stęchlizny. Jedynymi dźwiękami były odgłosy padającego deszczu dobiegające zza małych okien i bulgotanie wody wylewającej się z rynny. Zatrzymała się na ostatnim stopniu. Jej oczy powoli przywykły do półmroku.

Pokryte patyną czasu ściany piwnicy zbudowane były z piaskowca i wypalanej cegły. Wszędzie leżały porzucone rupiecie: stare puszki i butelki obok wybrzuszonych kartonów obwiązanych sznurkiem, a także wiele innych rzeczy, które musiały tu trafić podczas remontu domu.

Przy jednej z wewnętrznych ścian, obok nowoczesnego pieca, stał, schowany w cieniu jak wieloreki potwór, ogromny bojler. Wychodziły z niego odarte z izolacji przewody.

Za bojlerem było jeszcze jedno pomieszczenie, czę-

ściowo zatarasowane ciężkimi belami i starymi półkami. Wokół panowała przeraźliwa cisza, a jednak Jackie miała wrażenie, że nie jest sama. Ktoś czeka i ją obserwuje. Zebrała się w sobie, gotowa zareagować na pierwszy, najdrobniejszy sygnał. Czuła niemal czyjaś groźną obecność. I słyszała bicie serca kogoś czającego się w cieniu.

Ruszyła przez rupiecie porozrzucane na podłodze. Wiedziała, że każdy jej krok powoduje skrzypienie starej podłogi. Ale też wciąż miała przed oczyma przerażający obraz w sypialni na piętrze.

- Policja - zawołała, starając się, by jej głos brzmiał zdecydowanie. - Wyjdź z rękoma do góry. Wyjdź na środek, żebym mogła cię widzieć.

Cisza poraziła ją. Deszcz bił o parapet okna. Rozpryskiwał się na grząskich rabatach. Mdły promień światła dochodzący z jednego z zachlapanych okien padł na czarnego pająka, który powoli przedzierał się przez postrzępione koronki pajęczyny. Kropla potu spłynęła jej po karku.

- Wyjdź - powtórzyła.

Przeszła wolno obok bojlera i skierowała się w stronę ciemnego pokoju. Wzięła pistolet w jedną rękę i wyjęła latarkę. Rzuciła promień światła na ściany i leżące na środku drewniane deski.

Nagle zatrzymała się zaniepokojona. Coś było nie tak ze stosem drewnianych kratek. Wszystko w piwnicy pokrywała gruba warstwa kurzu, lecz one wyglądały, jakby niedawno ktoś je przesunął.

Jeszcze raz sprawdziła po-

mieszczenie, a później zaczęła ciągnąć i przesuwać nogą drewniane kratki. W prawej ręce wciąż trzymała pistolet, niezgrabnie więc posługiwała się lewą. Nagle znieruchomiała.

- Co do diabła? - spojrzała na podłogę.

Do betonu przymocowana była drewniana klapa. Miała mniej więcej metr kwadratowy. Przy klapie umocowane było metalowe kółko. Jackie pociągnęła za uchwyt, pokrywa się podniosła. Zawiasy były dobrze naoliwione. Zobaczyła prowadzące w dół drewniane schody.

Przykucnęła i zaświeciła latarką. Światło latarki omiotło stary okrągły zbiornik szeroki na mniej więcej trzy metry. Bez wątpienia służył w czasie budowy domu do gromadzenia deszczówki ściekającej z dachu. Od dawna już nieczynny, wciąż wyposażony był w rurę, kiedyś przymocowaną do rynny na zewnątrz domu. Przy podłodze znajdował się odpływ prowadzący zapewne do ręcznej pompy w kuchni.

Trzymając kurczowo pistolet, oświetliła latarką przepastne wnętrze. Ściany były świeżo wyłożone grubą pianką izolującą w niebieskim kolorze przypominającym niebo w gorący letni dzień. Na ziemi leżała wykładzina, a na niej okrągła pleciona mata. Małe łóżko przykryte było grubą kołdrą i kocem. Obok stał mały fotel bujany, na którym leżał stos bajek dla dzieci. W zbiorniku znajdowały się też pokryta białym plastykiem komódka i półka z zabawkami.

- Jezu - szepnęła.

Jackie przesunęła się na kolanach i omiotła światłem latarki pozostałą przestrzeń zbiornika. Coś ją przestraszyło. Oddech, szmer świadczący o czyjejś obecności. Szybko schowała latarkę do kieszeni i chwyciła broń w obie ręce, wyciągając ją przed siebie. Zaczęła powoli schodzić, z uwagą obserwując drugi koniec pomieszczenia, częściowo zasłonięty starymi deskami.

- Wyjdź stamtąd!

Nie było odpowiedzi. Jackie przykucnęła i wychyliła się do przodu. Jej oczy zaczęły się przyzwyczajać do mdłego światła. Już była w stanie odróżnić kształt postaci ukrytej za zwojem starych drutów. Ktoś stał, kurczowo przywierając do ściany.

- Wiem, że tam jesteś - powiedziała z lodowatym spokojem, któremu kłam zadawały uderzenia jej serca. - Mam cię na muszce. Wyjdź kilka kroków i zatrzymaj się. Trzymaj ręce przed sobą, żebym mogła je widzieć.

Postać poruszyła się. Wychyliła głowę zza skrzyżowanych kabli. Zamurowało ją, gdy rozpoznała Paula Arnussę. Był ubrany w dżinsowe spodnie i kurtkę. Podeszedł do zbiornika i spojrzał spokojnie, bez żadnego wyrazu na twarzy.

- Na kolana - powiedziała. - Ręce na głowę. Stał bez ruchu, wciąż ją obserwując.

- Już!

- Nie zastrzelisz mnie, Jackie - powiedział. - Idę o zakład, że nie pociągniesz za spust w samoobronie.

- A tu się pan myli, panie Arnussen - powiedziała chłodno. - Na kolana!

- Czy już kiedyś kogoś zastrzełaś?

- Na kolana!

Uślucał w milczeniu. Klęknął na twardej betonowej podłodze i położył ręce na głowę.

- Masz prawo do milczenia - Jackie ruszyła w jego stronę, nie opuszczając lufy pistoletu. - Wszystko, co powiesz, może zostać użyte przeciwko tobie. Masz prawo do adwokata. Jeśli...

- Aresztujesz mnie?

- Tak - powiedziała kończąc regulkę. Włożyła rękę za pasek i wyjęła kajdanki.

- A to po co? Dlaczego jestem aresztowany?

- Na początek bezprawne wkroczenie na teren prywatny. Potem porozmawiamy o morderstwie - stanęła za nim i mocno ściągnęła jego ręce w dół, a potem zatrzasnęła kajdanki na nadgarstkach. - Wstawaj.

- Morderstwo? - wstał i spojrzał na nią zdziwiony - O czym ty mówisz?

- Myślę, że wiesz, o czym mówię. Gdzie jest Michael Panesivić?

- Nie mam pojęcia.

- Lepiej, żebyś mi powiedział. Gra już się skończyła.

- Nie wiem, gdzie Michael jest teraz, ale myślę, że przez jakiś czas był w tej dziurze - Arnussen głową wskazał zbiornik. - Nie sądzisz?

- To ja zadaję pytania, Arnussen. Co zrobiłeś z chłopcem?

Usłyszeli odgłos otwieranych drzwi, kilka głosów i ciężkie kroki.

- Policja - zawołał męski głos - Jest tu ktoś?

- Na dole - odpowiedziała z ulgą. - Jestem w piwnicy!

Dwaj umundurowani policjanci zeszli po stopniach. W poszukiwaniu Jackie przeszli do drugiego pomieszczenia, gdzie znaleźli ją przy pustym zbiorniku, trzymającą Arnussena na muszce.

- Chował się tutaj, gdy zeszłam na dół - wskazała ręką na ciemny kąt. - W sypialni na pierwszym piętrze są dwa ciała.

- Dwa ciała - Arnussen pokiwał głową i przeniósł wzrok z Jackie na policjantów. - O czym ty mówisz? Jakie ciała?

- A to - powiedziała do policjantów, ignorując Arnussena i wskazując na zbiornik - jest miejsce, gdzie przez ostatni tydzień był przetrzymany Michael Panesivić.

Młodszy oficer spojrzał na nią z zakłopotaniem i wychylił się, by zerknąć w głąb ciemnej czeluści. - Dzieciak wciąż tam jest?

- Nie, ale jestem pewna, że pan Arnussen powie nam, gdzie go znaleźć.

Drugi oficer ruszył do przodu i położył rękę na ramieniu Amuiaena. - Czy powiedziała mu pani, jakie ma prawa, detektywie?

- Tak. Ale lepiej zróbcie to jeszcze raz, zanim go stąd weźmiecie.

Patrzyła, jak wyprowadzają Arnussena. Był wyższy od nich, gibki i silny, nawet z rękoma wykręconymi do tyłu.

Jackie została sama w ciemnym pomieszczeniu. Dopiero teraz ręce zaczęły jej drżeć, a całym ciałem wzdry-gały konwulsyjne spazmy. Położyła pistolet na ziemi i usiadła na belce, oddychając głęboko.

Czekała, aż serce przestanie jej łomotać.

W końcu schowała pistolet do kabury. Jeszcze raz zajrzała do pustego zbiornika, potem wspięła się po schodach i weszła do kuchni.

Na miejscu było już kilku mundurowych i ekipa z wydziału zabójstw. Rozpakowywali aparaty fotograficzne oraz sprzęt do pobierania odcisków palców.

Przez okno w kuchni zobaczyła szerokie ramiona Arnussena i jego wyblakłą kurtkę dżinsową, ciemną już od deszczu. Policjanci maszerował z nim do policyjnego wozu na skraju posiadłości. Jeden z nich otworzył tylne drzwi i wsunął rękę, by ochronić głowę Arnussena, gdy wsiadał do środka. Po chwili samochód odjechał.

- Dobra robota, pani detektyw - oficer zatrzymał się w drzwiach. - Rozumiem, że to pani znalazła ciała i dokonała aresztowania.

- Chował się w piwnicy.

- Trzeba było sporo odwagi, by zejść tam samej - powiedział starszy mężczyzna głosem pełnym uznania. - Jest pani dobrym gliną, Kaminsky.

296

- Chyba czeka pan na moje sprawozdanie. Jeszcze nie miałam okazji napisać nawet jednego zdania.
- Powinna pani wyjść na dwór i zaczerpnąć świeżego powietrza - rzekł ciepło. - Porozmawiamy za kilka minut.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością i wyszła do ogrodu. Kwiaty kołysały się w deszczu. Trawnik błyszczał jak szmaragdowy dywan. Powiał lekki wiatr, który sprawił, że chorągiewka wskazująca pogodę delikatnie się obróciła. Błyszczała od wilgoci.

Jackie spojrzała w górę zszokowana, zastanawiając się, jak mogła przeoczyć to wcześniej. Przecież Paul Ar-nussen mówił, że widział w swojej wizji kureczaka.

Chorągiewka była wycięta w kształt dumnie wypiętego dużego koguta ze złotymi piórami.

ROZDZIAŁ 23

- Gdzie byłeś?! - zapytała Jackie wściekłym głosem. Spojrzała przez ramię na uchylone drzwi do pokoju Michelsona i rzuciła swojemu partnerowi, który żałośnie chował się za biurkiem, pełne furii spojrzenie.

Był poniedziałek rano. Minęła niemal doba od czasu, gdy w wilgotnej piwnicy domu należącego do Helen Philips aresztowała Paula Arnussena. A wciąż jeszcze nie doszła do siebie po szoku i horrorze, jaki przeżyła, znajdując dwa ciała i człowieka chowającego się w piwnicy.

Właściwie dopiero teraz zaczęła odreagowywać. Czuła się jeszcze gorzej. Wściekłość potęgował fakt, że zamiast po aresztowaniu Paula Arnussena znaleźć miejsce przetrzymywania Michaela, ich śledztwo stanęło w martwym punkcie. Tymczasem wydział zabójstw prowadził wstępne dochodzenie dotyczące morderstw. Pojawiły się nawet wątpliwości, czy zespół Jackie będzie dalej pracować nad sprawą uprowadzenia dziecka. Już w niedzielę po południu Michelson zadzwonił na posterunek i przestrzegł ich przed dalszymi krokami, dopóki nie zostaną rozdzielone następne zadania.

- Wardlow. Byłam sama w tym cholernym domu

z dwoma ciałami na górze i mordercą chowającym się w piwnicy. I nie mogłam się do ciebie dodzwonić. Jak sądzisz? Jak się czułam?

- Przepraszam - schował twarz w dłoniach i potarł skronie.

- Przepraszam! Do cholery, lepiej znajdź sobie jakieś dobre wytłumaczenie! Powinnam zgłosić Michelsonowi, że mi nie pomogłeś.

- Proszę, nie rób tego.

- A to dlaczego?

- Bo nie mogę stracić pracy. Ciężko harowałem. Nie chcę dostać dyscyplinarki i z powrotem wylądować w patrolu. Przysięgam, Jackie, nigdy więcej nic podobnego się nie zdarzy.

- Gdzie byłeś? Miałeś być na mieście i mieć przy sobie telefon.

- Wiem.

- Więc gdzie byłeś?

- Jechałem do przytułku, gdy nagle zobaczyłem białego chawy. Zawróciłem i zacząłem go śledzić.

- Dlaczego?

- Ponieważ w tym samochodzie była Sarah. Z facetem.

- Twoja żona?

- Moja żona.

- Co się stało?

- Pojechałem za nimi do jednego z moteli przy autostradzie. Wyszli z samochodu, wyjęli walizkę i poszli

do recepcji. Spotkałem ich w holu, gdy czekali na windę. Myślę, że właśnie w tym momencie zostawiłem telefon w samochodzie. Jest mi naprawdę przykro, Jackie.

- I zaskoczyłeś ich?

- Do diabła, byłabyś ze mnie dumna. Zimny jak ryba powiedziałem cześć Sarah i przedstawiłem się temu facetowi jako jej mąż. Nawet uścisnąłem mu rękę i chwilę porozmawiałem o pogodzie.

- Mój Boże, Brian...

- A potem Sarah.

- Detektyw Kaminsky, Wardlow. - Michelson stał w progu swojego pokoju. - Pozwólcie na chwilę, proszę.

Jackie i jej partner wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Michelson zamknął drzwi i usiadł za biurkiem z miną nie zwiastującą nic dobrego.

- Właśnie dowiedziałem się o wczorajszej akcji - powiedział w końcu. - Kaminsky, jesteś skończoną idiotką.

- Ja? Dlaczego?

- Schodzić do piwnicy w pustym domu, bez wsparcia, gdy dopiero co została tam popełniona zbrodnia? Przecież to ciężki kretynizm.

- Postępowałam według normalnej w takich sytuacjach, procedury. Zgodnie z wytycznymi - obruszyła się Jackie. - Ten paragraf brzmi: „Oficer, który znalazł się na miejscu zbrodni, powinien podjąć wszystkie uzasadnione czynności w celu zatrzymania podejrzanego lub podejrzanych, zanim zdołają oni opuścić miejsce przestępstwa. Aresztowanie winno być poprzedzone formułą o przysługują-

cych prawach, z wyjątkiem przypadku, gdy odniesione rany wymagają natychmiastowej pomocy".

- Rozumiem. Co jest słowem kluczowym w całym tym fragmencie?

Jackie bez słowa spojrzała na swoje dłonie.

- To słowo, Kaminsky, brzmi „uzasadnionych”. Dlaczego nie poczekałaś na wsparcie? -Michelson przeniósł wzrok na jej partnera - A ty, Wardlow? Gdzie, do diabła, byłeś, gdy Kaminsky robiła z siebie bohaterkę?

Wardlow poprawił się na krześle.

- Brian był na spotkaniu z potencjalnym świadkiem. Mieliśmy przy sobie telefony komórkowe.

Wiedziała, że wsparcie przybędzie za kilka minut, więc nie sądziłam, bym tak bardzo ryzykowała, schodząc do piwnicy. Nie mogłam siedzieć na górze, czekać aż nadjadą posiłki i ryzykować, że facet zwieje przez okno.

Wardlow odetchnął z ulgą. Posłał Jackie uśmiech pełen wdzięczności. Zignorowała to. Michelson zajrzał tymczasem do swoich notatek.

- Mamy teraz dwa śledztwa: porwanie dziecka i podwójne morderstwo, najwyraźniej powiązane z sobą. Morderstwo należy do koleśków z wydziału zabójstw. My wciąż zajmujemy się porwaniem. Musimy zdecydować, jaki kierunek działań teraz przyjmujemy.

- Jeżeli dalej zajmujemy się tą sprawą, to czy możemy porozmawiać z Arnussenem? - zapytała Jackie.

- Arnussen nie mówi. Spędził noc w areszcie i nawet słowem do nikogo się nie odezwał.

- Wzywał adwokata?

- Mówię przecież, że z nikim nie rozmawia. Po prostu siedzi i gapi się w ścianę.

Jackie wyobraziła sobie Paula Arnussena w celi więziennej. Z jakiegoś powodu ten obrazek zaniepokoił ją. Nie czuła triumfu, jedynie smutek.

- Co już wiemy? - zapytał Wardlow. Michelson zerknął do notatek.

- Mocz w nocniku stał tam nie dłużej niż jeden dzień. Możemy założyć, że dzieciak żył przynajmniej do ubiegłej nocy.

- Ale już nie żyje? - zapytała Jackie niskim głosem.

- Nie ma szans?

- Dlaczego nie? - wtrącił Wardlow.

- To klasyczny przypadek - powiedział Michelson.

- Jeśli mały widział porywacza albo został przeniesiony, to najprawdopodobniej nie żyje. Zgadzam się z Kaminsky. Nie ma wielkich szans na to, że Michael przeżył tę noc.

- Myślisz, że on rozpoznał Arnussena? - dopytywał się Wardlow - Przecież nawet nie wiemy, jak został uprowadzony.

- Przeanalizujmy kilka możliwości. Arnussen mógł znać Helen Philips już od dłuższego czasu i być jej kochankiem. Wiadomo, że miała stosunek przed śmiercią. Może chciał porwać chłopca, a ona była w stanie zapewnić kryjówkę i dostarczyć mu małego. Można powiedzieć, że było to coś w rodzaju prezentu dla kochanka.

Zbiornik jest dźwiękoszczelny, więc mogli być pewni, że nikt nie usłyszy krzyku dzieciaka.

- Mój Boże - wyszeptał Wardlow.

- A Helen mogła bez problemu uprowadzić małego - powiedziała Jackie. - Michael dobrze ją znał.

Była jego opiekunką.

- A inny scenariusz?

- Zaanżowany przez Arnussena? - W głosie Michaelsona zabrzmiał sceptycyzm.

- Miał z nią romans i odkrył, co zrobiła. Nie jest głuchy jak Grace. Może usłyszał krzyk Michaela, gdy odwiedził Helen w nocy. Przestraszył się, że ona może być psychicznie chora i wyrządzi chłopcu krzywdę. Ze strachu, że zostanie uznany za współwinnego, nie chciał się w to mieszać. Dlatego udawał, że jest jasnowidzem. Opowiadał o kurczakach, i ziemiance, mając nadzieję, że uda mi się powiązać to z chorągiewką i zejść do piwnicy, tak jak na farmie Panesiviciów.

- To wszystko trzyma się kupy. Z tym wyjątkiem, że dzieciak znów zniknął i teraz mamy dwa trupy.

- Czy została już ustalona przyczyna śmierci? - zapytał Wardlow.

- Staruszka miała skręcony kark. Facet musi mieć diabelską siłę. Córka została uduszona. Broniła się przed śmiercią. Lekarz orzekł, że śmierć nastąpiła około północy z dwugodzinnym przesunięciem w jedną lub drugą stronę.

- Arnussen nie miał żadnych śladów na twarzy i rękach - powiedziała Jackie w zamyśleniu.

- Widziałas go. - Michelson spojrzał na nią przenikliwie. - Znałaś Helen Philps. Czy to możliwe, żeby ten facet wyszedł z tego bez śladu?
- Wyjaśnij najpierw dokładnie, co się stało.
- Przebieg wydarzeń? - Michelson zerknął na nich spoza okularów i wrócił do swoich notatek. - Ciało zostało znalezione w pokoju córki. Ci z wydziału zabójstw zakładają, że ona i Arnussen dość głośno się zachowywali albo on już usiłował ją zabić. Staruszka weszła sprawdzić, co się dzieje. To był poważny błąd - dodał z ponurą miną.
- Więc według nich Arnussen zabił obie około północy, zabrał Michaela z piwnicy i zabił, a potem odjechał i porzucił ciało? - zapytała Jackie.
- Bardzo prawdopodobne, że tak właśnie było. Pytano sąsiadów, czy ktoś nie zauważył samochodu podjeżdżającego albo odjeżdżającego w nocy.
- To dlaczego wrócił w niedzielę rano na miejsce zbrodni? Czy to nie idiotyzm, szczególnie, że nie miał pewności, czy ciała nie zostały już odkryte?
- Miał doskonałą wymówkę, by tam się znaleźć. Pracował na dachu. Ci z wydziału zabójstw mają teorię, że zostawił jakieś obciążające dowody i wrócił najszybciej jak mógł, by je uprzątnąć. Nie przyszło mu jednak do głowy, że Kaminsky zejdzie do piwnicy i złapie go prawie na gorącym uczynku.
- Musimy znaleźć Michaela. Sprawdzić każde miejsce, w którym Paul Arnussen się pojawiał - mówiła Ja-

kie. - Z pewnością mamy już dość dowodów, by otrzymać nakaz przeszukania domu. Powinniśmy zorganizować ludzi do przeszukania kanionu na północ od miasta, gdzie często jeździł na spacer.

- Zarośla i okolice miasta - zgodził się Michelson, notując. - To całkiem dobre miejsce, żeby porzucić ciało. Szczególnie tak małe.

- Kiedy powiemy rodzinie chłopca o morderstwach?

- Nie możemy zachowywać informacji w tajemnicy zbyt długo. Mamy dwadzieścia cztery godziny. Media są krok za nami. Komunikaty policyjne zostały utajnione i jak dotąd trzymamy to w ukryciu. Kapitan Alvarez miał nadzieję, że uda nam się uzyskać zeznanie Amussena, zanim przekazemy rodzinie wiadomość, lecz ten drań nie chce mówić.

- Zatem musimy... Zadzwoił telefon.

- Tak? - odebrał Michelson.

Słuchał przez chwilę, a potem odłożył słuchawkę i zwrócił się do detektywów.

- Na koń, dzieci. Arnussen jest gotów mówić, lecz chce, żebyś ty tam była, Kaminsky. Właściwie odmawia zeznań, dopóki ciebie nie będzie.

- Co teraz zrobisz? - zapytała Jackie, gdy w tłoku usiłowała wyprzedzać kolejne samochody. Spieszyli się do komendy policji w centrum miasta.

- Z czym?

305

- Ze swoim małżeństwem. Z Sarah i tym facetem, ze wszystkim - zakończyła nieskładnie. - Chcesz z nią porozmawiać?

- Już za późno na rozmowy - Wardlow patrzył przez okno. Jackie widziała tylko jego profil. - Spakowałem się w nocy i wyprowadziłem.

- Och, Brian - szepnęła. - Tak mi przykro. Gdzie się zatrzymałeś?

- U brata. Śpię w salonie.

- I szukasz czegoś dla siebie?

- Nie mogę zostać u brata długo. Kiedy leżę, mój mały bratanek wspina się na mnie i gra w gry telewizyjne. To raczej niewygodne.

Jackie uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Przecież ty też masz łóżko rozkładane, prawda?

- Przykro mi. Już jest zajęte, Brian.

Jackie zaparkowała, położyła okulary słoneczne na tablicy rozdzielczej i wzięła wszystkie swoje rzeczy z tylnego siedzenia. - Myślisz, że Michael nie żyje?

- Dlaczego nie zapytasz swojego przyjaciela, Arnussena? - powiedział Warlow ze złośliwym grymasem na twarzy. - W końcu to przecież on powinien wiedzieć.

Jackie pokiwała tylko z naganą głową. Weszli do komendy, przedarli się przez zatłoczony korytarz i znaleźli w pokoju przesłuchań.

Paul Arnussen siedział z rękoma na stole. Naprzeciwko niego siedzieli Dave Kellerman i Ozzie Leither - de-

tektywi przydzieleni do śledztwa nad morderstwem matki i córki Philps.

Jackie zapukała i otworzyła drzwi. - Kaminsky i Ward-low - powiedziała, gdy Kellerman odwrócił się i spojrzał w jej stronę. - Możemy wejść?

- Tak - Kellerman wzruszył ramionami znużonym gestem. - Czekaemy na was.

Jackie usiadła. Spojrzała na Paula Arussena i przeraziła się jego wyglądem. Wciąż miał na sobie dzinsy i tę samą koszulę. Jego włosy były potargane. Wyglądał strasznie. Zerknął w stronę Jackie, gdy siadała, a potem odwrócił głowę i wbił wzrok w przeciwległą ścianę, ponad głowami detektywów.

Jackie pomyślała o jego schludnym małym mieszkaniu, o dzikich koniach galopujących na tle zachodu słońca z rozwianymi grzywami i uniesionymi ogonami.

- No cóż, ona już tu jest, Arnussen - powiedział detektyw Leither. - Czy teraz możemy zacząć? Arnussen kiwnął głową.

- Czy jesteś w pełni świadom, że masz prawo do obecności adwokata i że możesz odmówić składania zeznań?

- Znam swoje prawa. Wiem, że mam prawo do milczenia i do obecności adwokata podczas przesłuchania.

Chociaż w pokoju znajdowała się kamera, Kellerman położył na stole dyktafon. Przewinął kasetę i podyktował czas, datę oraz inne okoliczności przesłuchania.

- Pierwsze pytanie - zaczął Leither - Co robiłeś w piwnicy?

- Mówiłem, że będę odpowiadał tylko na pytania detektyw Kaminsky - zareagował gwałtownie Arnussen.

- Zawrzyjmy drobną umowę. Detektyw Kellerman i ja prowadzimy śledztwo, które dotyczy nieco innej strony tej sprawy - powiedział Leither spokojnie. - Jeśli odpowiesz na kilka naszych pytań, resztę śledztwa poprowadzi detektyw Kaminsky. Dobrze?

Arnussen przeniósł wzrok z jednego na drugiego, oceniając to, co usłyszał.

- Dobrze - zgodził się wreszcie.

- Co robiłeś w piwnicy?

- Rozglądałem się. Chciałem zobaczyć, co tam jest.

- Dlaczego?

- Coś podejrzewałem.

- Co?

Mężczyzna spojrzał na Jackie, lecz nie odpowiedział.

- Dlaczego zabiłeś Helen Philips i jej matkę? - Detektyw Kellerman pochylił się i uśmiechnął.

- Nikogo nie zabiłem. Spotkałem panią Philips tylko raz. A jej matki nie znałem.

- To co robiłeś w piwnicy?

- Już powiedziałem. Rozglądałem się.

- Czego tam szukałeś?

- Zbiornika - rzekł Arnussen. - Szukałem zbiornika.

- Dlaczego?

- Pamiętasz, jak wówczas przyjechaliśmy do tego domu? - zapytał Arnussen, spoglądając na Jackie.

Kiwnęła głową i potwierdziła głośno - Pamiętam

- Coś mnie w nim niepokoiło. Nie wiem co. Pomyślałem że jest... intrygujący.

- Intrygujący, Arnussen? Coś takiego - uśmiechnął się Leiter.

Arnussen zignorował mężczyznę i ciągnął, zwracając się do Jackie:

- Zauważyłem, że dach jest miejscami bardzo zniszczony, a ja potrzebowałem pracy po skończeniu werandy. Pomyślałem, że to może być dobra okazja, żeby wejść do środka i przyjrzeć się z bliska.

Przyszedłem następnego dnia i zapytałem ją, czy nie chciałaby mieć naprawionego dachu.

- Helen Philps? - zapytał Kellerman. - Z nią rozmawiałeś?

- Tak.

- I nigdy wcześniej jej nie spotkałeś?

- Była mi absolutnie obca.

- Co powiedziała, gdy zaproponowałeś jej naprawę dachu?

- Powiedziała, że popyta innych, u których pracowałem, i oddzwoni.

- Oddzwoniła?

- Tak. Tego samego wieczora.

- Chciałbyś się czegoś napić? - zapytał Leither z nagłą troską w głosie. - Może papierosa?

- Nie palę.

- Kawa?

- Doprowadźmy to do końca, dobrze? - Arnussen machnął ręką ze zniecierpliwieniem.
- Jasne, Arnussen. - powiedział Kellerman miękko. - Co się stało po tym, gdy powiedziała, że chce, byś wykonał tę pracę?
- Pojechałem tam w piątek rano i rozejrzałem się po domu. Sporządziłem kosztorys. Dogadaliśmy się co do ceny i wróciłem w piątek po południu z umową do podpisania.
- To prawda - powiedziała Jackie. - Widziałam jego samochód w piątek po południu pod domem Philpsów, gdy przyjechałam tam porozmawiać z Helen.
- Arnussen znów spojrział na nią bez wyrazu.
- Czy widziałeś panią Philps jeszcze po podpisaniu umowy?
- Krótką chwilę. W sobotę po południu przywiozłem narzędzia i materiał. Wyszła do mnie, żeby porozmawiać.
- O której to było?
- Nie pamiętam. Może około drugiej.
- Co powiedziała?
- Niewiele. Wydawała się jakaś spięta. Pamiętam, że pytałem ją, czy mogę wejść do środka i sprawdzić prąd, by upewnić się, czy instalacja wytrzyma podłączenie moich urządzeń.
- Co powiedziała?
- Odmówiła.
- Helen Philps nie pozwoliła ci wejść do domu?
- Zgadza się.

- Dlaczego?

- Mówiła coś o przeszkadzaniu matce podczas drzemki. Ale nie rozumiem, jak pani Philips mogło przeszkadzać to, że zszedłbym na dół sprawdzić bezpieczniki.

- Co zrobiłeś potem?

- Chciałem tylko wejść do piwnicy. Zwłaszcza po tym, co zobaczyłem w ogrodzie.

- Dlaczego? Co takiego szczególnego było w tym ogrodzie?

- Gdy rozpakowywałem paczki z gontami, zauważyłem chorągiewkę - spojrzał na Jackie. -

Zauważyłaś to?

Kiwnęła głową.

- Co z tą chorągiewką, Paul? - zapytał Kellerman.

- Ja... już ją widziałem. Wiedziałem, że ona ma jakiś związek z uprowadzeniem chłopca. Miałem odczucie, że on jest tam na dole. Chciałem wejść do piwnicy i się rozejrzeć.

Detektywi wymienili spojrzenie. - Czy to jedna z twoich paranormalnych wizji? - Leither zapytał łagodnie. - Detektyw Kaminsky mówiła nam, że jesteś jasnowidzem.

- Nie jestem jasnowidzem. Tylko... czasami wiem. Ale nie chcę o tym mówić.

- Więc nigdy dotąd nie współpracowałeś z policją jako jasnowidz?

- Nie - Arnussen rozejrzał się wokół z ponurą miną. - I wątpię, abym kiedykolwiek to zrobił.

- Czy zabiłeś jeszcze kogoś? - zapytał Leither. - Na przykład dziewczynkę w Billings albo chłopca w Boise?
- O czym wy, do diabła, mówicie? - Arnussen, blednąc, wytrzeszczył oczy.
- Zostawmy to na razie - Kellerman pochylił się. - Chciałeś się dostać do piwnicy, tak?
- Tak.
- Jak to zrobiłeś?
- Nijak. Wróciłem do domu i położyłem się spać. Pomyślałem, że wrócę w niedzielę i jeśli nadal będę czuł niepokój, zadzwonię do detektywa Kaminsky i powiem, by przeszukała piwnicę.
- Ale tego nie zrobiłeś.
- Nie. Wróciłem w niedzielę rano, gdy przestało padać. Chciałem upewnić się, czy gonty nie zamokły. Okazało się też, że drzwi są otwarte. Pod wpływem impulsu postanowiłem sprawdzić, czy mogę dostać się do środka, nie będąc widzianym.
- Podsumujmy, Arnussen. Wpadłeś do domu klientki w deszczowy niedzielny poranek. Zdecydowałeś się na drobne włamanie i wtargnięcie, ot tak z ciekawości?
- Wiedziałem, że ona nie pozwoli mi zejść do piwnicy. Musiałem wiedzieć, co tam jest. Pomyślałem, że jeśli ktoś przyłapie mnie w domu, zawsze będę mógł powiedzieć, że musiałem rzucić okiem na kable. Ale nikt nie odpowiedział na moje pukanie.
- Innymi słowy, chciałeś skłamać.
- To prawda - odparł chłodno Arnussen. - Chciałem

skłamać. Jeśli stawką miało być życie chłopca, sądziłem, że jest to uzasadnione.

- Co zrobiłeś potem? - Kellerman coś zanotował.

- Popchnąłem drzwi i wszedłem do środka. W kuchni nie było nikogo. Wydawało mi się, że mogę bezpiecznie wślizgnąć się do domu.

- Nigdy wcześniej nie byłeś w środku domu?

- Tylko w kuchni, tam podpisywaliśmy umowę.

- Skąd wiedziałeś, gdzie jest piwnica?

- Pracowałem w wielu podobnych domach. Wszystkie są jednakowe. Wiedziałem, że drzwi na końcu kuchni prowadzą do piwnicy.

- I nie wchodziłeś na górę?

- Oczywiście, że nie. Nie chciałem, by ktokolwiek mnie widział. Na palcach przeszedłem przez kuchnię i wszedłem do piwnicy.

- Co tam zobaczyłeś?

- Same śmieci. Piec i stary bojler na węgiel, przerobiony na gazowy. I drewnianą klapę na środku podłogi.

- Kiedy przyjechałeś, klapa była w tym samym położeniu, w jakim znalazła ją detektyw Kaminsky?

- Raczej tak. Gdy usłyszałem jej kroki na górze, zamknąłem klapę i schowałem się w kącie przy tablicy rozdzielczej.

- Wróćmy na chwilę, Arnussen - Leither zerknął do swoich notatek. - Dlaczego przesunąłeś kratki? Skoro nigdy wcześniej nie byłeś w tym domu, w jaki sposób domyśliłeś się, że pod podłogą jest pusty zbiornik?

- Już powiedziałem. Byłem w wielu podobnych domach. Cały czas w takich pracuję. Tu klimat jest suchy, a pod koniec wieku nie mieliśmy kanalizacji miejskiej. Przynajmniej jedna czwarta domów na South Hill ma coś w rodzaju piwnicznego zbiornika na wodę.

Jackie patrzyła mu w twarz, starając się przeniknąć, co kryje spojrzenie tych ciemnych oczu.

- Podniosłeś wieko i zajrzałeś do zbiornika.

- Tak. I zobaczyłem to, czego się spodziewałem.

- Co takiego?

- Mały pokój. Wiedziałem, że chłopiec został tam ukryty.

- I co z tym chciałeś zrobić?

- Nie byłem pewien. Wiedziałem, że powinienem powiedzieć o tym detektyw Kaminsky, ale nie wiedziałem, jak to zrobić.

- Dlaczego po prostu do niej nie zadzwoniłeś?

- Znalazłem się tam bezprawnie. Poza tym ona już mnie podejrzewała o porwanie. Zastanawiałem się, jak jej powiedzieć o zbiorniku, a równocześnie nie rzucić cienia winy na siebie.

- Czy to w porządku, Arnussen, że byłeś dużo bardziej zainteresowany sobą i swoim bezpieczeństwem niż Michaeliem?

- Ależ nie. Gdyby jednak policja nabrała przekonania, że to zrobiłem, przestalibyście szukać prawdziwego porywacza. Wiedziałem, że chłopcu grozi niebezpieczeństwo. Nie wiedziałem jednak, co zrobić.

314

- Co zdecydowałeś?

- Nie zdążyłem nic zdecydować, bo detektyw Ka-minsky weszła do domu. Schowałem się w kącie, mając nadzieję, że ona wyjdzie i mnie nie zauważy. Ale - rzucił Jackie jeszcze jedno spojrzenie - tak się nie stało.

- Jak zabiłeś Helen Phipps?

- Nie zabiłem jej.

- Byliście kochankami?

- Nigdy wcześniej jej nie spotkałem.

- Znalaziono spermę w jej ciele. - głos Kellermana nagle przybrał ostry ton. - Poddajemy ją testom. Nie będziesz w stanie się z tego wywinąć. Gdy przyjdą wyniki testów, będziemy mieli cię jak na dłoni. Proponuję, żebyś od razu powiedział, co zaszło.

- Nigdy nie tknąłem tej kobiety.

- Przejdźmy do sobotniej nocy.

- Chcę porozmawiać z detektyw Kaminsky. Nie odpowiem na żadne inne pytanie, dopóki z nią nie porozmawiam.

Leither i Kellerman przysunęli się do siebie i zamienili kilka słów. Kellerman odwrócił się do Jackie:

- Proszę, pani detektyw.

Jackie siedziała po prawej stronie Arnussena. Spojrzała mu prosto w oczy: - Czy to ty umieściłeś Michaela w zbiorniku?

- Nie. I wiesz, że tego nie zrobiłem.

Jackie spojrzała na niego zafascynowana. Nagle poczuła się tak, jakby ktoś ją szarpał i ciągnął, próbując

wedrzeć się do jej umysłu. Wrażenie było niemal zatrważające.

- Czy wiesz, gdzie on jest teraz?

- Gdybym wiedział, powiedziałbym. Myślę... Pochyliła się w jego stronę, hipnotyzowana ciemnym zniewalającym spojrzeniem. Jej wypracowana i naturalna ostrożność, nawet racjonalne myślenie, nagle opuściły ją. Nie była niczego świadoma. Zdawała sobie sprawę tylko z siły osobowości tego człowieka.

Próbował jej coś powiedzieć, przekazać. Wdarł się wprost do jej umysłu. W pierwszej-chwili poczuła się zrelaksowana, a nawet szczęśliwa. Wiedziała jednak, że jej odczucia są osobliwą formą odpowiedzi na to, co się działo w tym pokoju. Tuż po odprężającym ciepłe przyszło wrażenie niepokoju. Niemal ją to sparaliżowało.

Patrzyła w oczy Paula wstrząsana nieznanymi emocjami, jakby walczyła o zrozumienie tego, co starał się jej przekazać.

- Powiedz mi. Czy coś widzisz - szepnęła. - Wiem, że tak.

Wardlow był zażenowany. Kellerman uśmiechnął się szyderczo. Leither spojrział sceptycznie.

Zignorowała ich wszystkich.

- Tak - powiedział Arnussen.

- Co widzisz?

Jego twarz zmieniła się nieznacznie. Malowało się na niej zakłopotanie. Nawet jego głos zmienił się, jakby ochrypł.

- Siedzi na łóżku i trzyma żółtą kaczkę. Jest bardzo przestraszony, płacze. Biedny, mały chłopiec. Ktoś pakuje walizkę.

W pokoju zapanowała cisza. Jackie wzięła długopis i ścisnęła go w dłoni tak mocno, że zaboląły ją palce.

- Żyje? - szepnęła. - Michael wciąż żyje?

Twarz Arnussena stężała. Kiwnął głową. Cała jego delikatność zniknęła.

- Musimy się śpieszyć. Nie mamy czasu - powiedziała Jackie.

- Arnussen - zaczął Kellerman.

Jackie jednym gestem uciszyła detektywów. - Gdzie powinnam się udać, Paul? - zapytała - Nie wiem, gdzie mam jechać.

- Farma - powiedział. - Jedź na farmę.

- Jaka farma?

- Już tam byliśmy. Z konikami na łące i cebulą zwisającą z dachu.

- Czy Michael jest tam?

- Nie - oparł się o tył krzesła i drżącą ręką przeczesał włosy. Wyglądał na jeszcze bledszego i bardziej wyczerpanego. - Nie. Tam go nie ma, ale od tego miejsca trzeba zacząć. Jeżeli tam pojedziesz, to będziesz wiedziała, co dalej.

- Chryste, to bez sensu - powiedział Leither ze złością. - To najbardziej szalona rzecz, o jakiej kiedykolwiek słyszałem. Sądzisz, że uwierzemy, że właśnie...

- Czy pan nie rozumie - Arnussen spojrzał na po-

317

licjanta. - Gówno mnie obchodzi, czy wierzycie. To nie ma znaczenia. Jedyne, co ma znaczenie, to chłopiec. I nie zostało wiele czasu. Chwycił Jackie za rękę i ścisnął mocno. - Jedź!
Kiwnęła głową. Wstała i wybiegła z pokoju. Pozostali policjanci stali wokół stołu w głuchoj ciszy.

ROZDZIAŁ 24

Gdy Jackie dojeżdżała na farmę Panesiviciow, słońce schowało się za ciężkimi chmurami. Niebo pociemniało i znów zaczęło padać. O szyby samochodu uderzał deszcz, na poboczu zrobiły się kałuże. W ogrodzie nie było nikogo. Zaparkowała i ruszyła w stronę. Otworzył Mirosław. Spojrzał na nią zaskoczony, a potem przestraszony. Automatycznym gestem uściśnął jej dłoń. Srebrne wąsy nie były w stanie ukryć napięcia na jego twarzy.

- Nie - powiedziała odpowiadając na jego nieme, pytanie. - Chciałam tylko zobaczyć, co u was słychać.

Mirosław uspokoił się i jeszcze raz uściśnął jej dłoń. , - Proszę wejść i przywitać się z mamą - rzekł, patrząc, jak Jackie ściąga buty i stawia je na macie przy drzwiach.

Ivana była w kuchni. Wyciągała z pieca blachę świeżo upieczonych ciasteczek. Wyprostowała się i odgarnęła włosy z czoła. Spojrzała na Jackie i przeniosła zatrwożone spojrzenie na męża.

- Żadnych nowych wieści, mamuśka - powiedział delikatnie, biorąc ją w ramiona. - Detektyw przyjecha-

ła zobaczyć się z nami. Może poczęstujesz ją swoimi - ciastkami.

Ivana stłumiła łkanie i jeszcze mocniej chwyciła się ramion męża. Jackie poczuła się jak intruz.

Odwróciła się. Mała Deborah siedziała z poważną miną w kącie. Nie odrywała od niej ciemnych oczu.

- Cześć, skarbie - powiedziała Jackie. Przeszła przez kuchnię i kucnęła przy dziewczynce. - Co robisz?

- Dom. Dziadek pomaga mi go zbudować.

W kącie kuchni stało kilka dużych kartonów połączonych ze sobą taśmą klejącą. Deborah ścisnęła w ręce pudełko z pisakami, którymi rysowała niezbyt równe kwadraty.

- Co to?

- Okna. Tu jest dużo okien. A to drzwi.

- Rozumiem. - Jackie uśmiechnęła się na widok starannie nałożonej pokrywki kartonu z pinezką udającą klamkę. Pochyliła się, by obejrzeć rzędy różowych i żółtych plamek na dnie największego pudełka.

- Co to jest?

- Kwiaty. To ogród w domu.

- Bardzo ładny. A kto w nim mieszka?

- Mój kotek.

Promieniejąca radością Deborah uniosła pokrywę kartonu. Jackie zajrzała do środka. Czarny kotek leżał na ręczniku przytulony do jednego z boków pudła. Spojrzał w górę. Żółte oczy błysnęły w mroku.

Pomyślała o Paulu Arnussenie skulonym w ciemnej,

starej piwnicy i ciałach zamordowanych kobiet na piętrze domu. Wzdrygnęła się na to wspomnienie.

- Jest mu bardzo wygodnie - powiedziała i pogłaskała dziewczynkę po włosach. - Musi mu być przyjemnie, że siedzi w swoim domku w taki deszczowy dzień.

- Czy wiesz, gdzie jest Michael?

Jackie spojrzała zaskoczona. Deborah zmarszczyła brwi i narysowała kilka okien na pudełku.

- Dziadek mówi, że Michael zaginął, ale ty i twoi przyjaciele pomożecie nam go znaleźć.

- Tęsknisz za nim?

Deborah kiwnęła głową. Oczy zaszyły jej łzami. - Chcę się bawić z Mięhaelem. Chcę, żeby zobaczył domek dla kotka.

- Deborah, chodź, - Ivana wzięła dziewczynkę na ręce. - Zjesz trochę ciasteczek.

- Czy ta pani też będzie jadła ciasteczka?

- Oczywiście. I dostanie kubek czekolady z bitą śmietaną.

- Jackie już chciała protestować, lecz powstrzymała się, gdy zobaczyła twarz Ivany.

Kobieta cierpiała. Zmizerniała. Ciemne oczy miała podkrążone od bezsenności i strachu. Jedynym sposobem, by Ivana Panesivić mogła przetrwać ten koszmar, było ciągłe karmienie swoich bliskich.

Jackie znów pomyślała o wilgotnej piwnicy, o dziurze w podłodze i dziecięcych meblach, o dwóch zamordo-

wanych kobietach na piętrze i złowieszczej więzi między nimi i małym Michaeliem.

Zastanawiała się, jak Ivana Panesivić zniesie tę wiadomość. Wiedziała, że należy powiedzieć dziadkom o morderstwie, nim przeczytają o tym w gazecie. Nawet Michelson uważał, że zanim dzień się skończy, dziennikarze dowiedzą się o śmierci Helen Philps i jej matki.

Miała zamiar wziąć Mirosława na bok i powiedzieć mu, co się stało w domu Helen Philps. Chciała, by sam zdecydował, w jaki sposób przekazać tę wiadomość -Ivanie.

Stefan Panesivić, Leigh Mellon i jej rodzina mogli przecież usłyszeć o tym już dziś rano i być może wszyscy już wiedzą o zbiorniku pod piwnicą.

- Dziękuję - powiedziała machinalnie i usiadła przy dużym stole. Wzięła kubek gorącej czekolady z czapą bitej śmietany.

- Wygląda bardzo zachęcająco.

Deborah usiadła na wprost niej na drewnianym wysokim krzeselku. Patrzyła tęsknym wzrokiem na talerz gorących ciastek, które babcia stawiała na stole.

- Jesteś szczęściarą - Jackie uśmiechnęła się. - Przyjechałaś odwiedzić babcię i dziadka. Żałuję, że nie mogę zostać z wami przez cały dzień.

- Deborah zostanie z nami dłużej. - Ivana przystanęła przy wysokim krzeselku dziewczynki i pogłaskała ją po głowie. - Zostanie z babcią przez prawie dwa tygo-

dnie, podczas nieobecności mamy i taty. Prawda, kochanie?

- A gdzie są rodzice?

- Zan i Mila wylatują dzisiaj. - Mirosław zamieszał czekoladę. - Mam nadzieję, że nie będą mieć żadnych problemów na lotnisku z powodu tego deszczu. - Spojrzał na zegarek i uśmiechnął się do Ivany. - Samolot startuje za pół godziny, mamuśka. Lecą do Londynu, a potem do Zagrzebia.

- Myślałam. - Jackie podniosła kubek, marszcząc brwi. Dzwonek alarmowy odezwał się w jej głowie.

- Planowali wziąć Deborah ze sobą - powiedziała Ivana. - W ostatniej chwili zdecydowali, że ta podróż będzie dla niej zbyt ciężka. Zan przywiózł ją tutaj wczoraj wieczorem, by spędziła z nami wakacje.

Jackie poczuła .suchość w ustach. Coś ścisnęło ją w gardle, gdy spojrzała na staruszków. Nagle zyskała całkowitą jasność sytuacji. Przypomniała sobie wszystkie szczegóły, które od ponad tygodnia wciąż jej umykały.

- Mój Boże - szepnęła.

Odsunęła krzesło i wstała gwałtownie - Przepraszam. Proszę wybaczyć, Ivano. Muszę uciekać.

Włożyła buty, wymamrotała pod nosem przeprosiny i wybiegła z domu.

Mirosław i Ivana stali w drzwiach, chowając się przed mżawką, gdy Jackie wsiadała do samochodu.

Wykręciła na podwórzu i wyjechała na drogę, rozpryskując wodę kołami.

Sięgnęła po telefon komórkowy. Głowę miała pełną myśli i wspomnień. Przypominała sobie, jak siedziała z Zanem Paneshdciem na werandzie, jak opowiadał jej

o planach wyjazdu do Chorwacji, że chcą wziąć Deborah i pokazać ją rodzinie Mili niedaleko Dubrownika.

Obrazy docierały do świadomości Jackie, nie dając jej spokoju. Teraz już wszystko było jasne. Już rozumiała cały plan. Dziwiła się, że nie wpadła na to wcześniej. Nacisnęła jeden z przycisków pamięci telefonu.

- Alice - powiedziała. - Gdzie jest Brian?

- W centrum.

- Złap go, niech siedzi przy telefonie. Prawdopodobnie za kilka minut będzie mi potrzebny. Niech się skontaktuje ze mną przez radio, dobrze? I niech wyślą kilku ludzi na lotnisko. Natychmiast.

- Dobrze. Coś jeszcze?

- Tak. Znajdź numer telefonu do biur na lotnisku. Pośpiesz się, Alice.

Gdy dostała numer telefonu, natychmiast go wystukała, trzymając telefon w jednej ręce, podczas gdy drugą prowadziła samochód. Wiejska droga była niemal pusta. Nacisnęła gaz. Szybkościomierz wskazywał sto dziesięć, potem sto dwadzieścia kilometrów na godzinę.

- Chcę rozmawiać z Johnem Shephardem - powiedziała po chwili do telefonu. - To pilna sprawa policyjna. Proszę mu powtórzyć, że dzwoni detektyw Kaminsky.

Zacisnęła dłoń na telefonie, modląc się, by Shephard - szef odprawy lotów - był w pracy. Jakiś rok albo dwa

lata wcześniej pomogła jego nastoletniemu synowi wyjść z poważnej opresji.

- Jackie? O co chodzi?

- Dzięki Bogu jesteś - Jackie wjechała na szosę, zwolniła, przepuszczając ciężarówkę i ruszyła w stronę autostrady. - Jestem w drodze. Potrzebuję informacji na temat najbliższego lotu do Londynu. Mam nadzieję, że jest opóźniony.

W słuchawce zapadła cisza. Shephard pytał o odloty United Airlines.

- Odlatuje punktualnie o jedenastej czterdzieści pięć.

- Jezus. - Spojrzała na zegarek. - Zostało tylko kilka minut.,

Skreśliła na autostradę i mocno wdusiła pedał gazu. Mineła szpaler samochodów, włączyła syrenę i ustawiła koguta na dachu.

- Sprawdź listę pasażerów w komputerze, John.. Czy na pokładzie są Zan i Mila Panesivić?

- Tak - powiedział po krótkiej przerwie. - Lecą z córką.

- Czy możesz zatrzymać samolot? - Zjechała z autostrady na drugim zjeździe i pojechała prosto w stronę lotniska.

- Nie, Jackie. Przecież dobrze wiesz.

- Nie możesz dać mi chociaż kilku minut? - poprosiła. - Znajdź jakąś wymówkę, żeby opóźnić start.

- Nie ma takiej możliwości. Nawet dla ciebie, Jackie. Wszyscy są już na pokładzie i samolot zaraz bę-

dzie kołował na pas startowy. Odlatuje za - przerwał - sześć minut.

- Cholera - zakłęła cicho, ściskając kierownicę i jeszcze mocniej dociskając pedał gazu.

Gdyby tylko policja miała taką władzę, jak wszystkim się wydaje. Jackie nie była w stanie zatrzymać samolotu. Co więcej, nie mając żadnych dowodów, mogła tylko narobić sobie kłopotów, gdyby zdecydowała się na formalne opóźnienie lotu do Londynu.

- Rozłączam się, John. Będę przed terminalem za jakieś trzy, cztery minuty. Oczyść mi drogę i czekaj w gotowości, pokażesz mi, które to wyjście.

- Dobrze.

Rzuciła telefon na siedzenie i skupiła się na drodze. Budynki lotniska majaczyły we mgle. Wieże wysyłały wiązki światła w deszczowe niebo. Jackie zatrzymała się przy wejściu do terminalu.

Zatrzasnęła drzwi samochodu i wbiegła do środka. Shephard czekał przy wejściu.

- Wyjście dwudzieste szóste - powiedział, gdy podbiegła do niego. - Masz dwie minuty.

Rzuciła się w stronę bramy, migając swoją odznaką przed oczyma celników i ochrony, minęła miejsce odpraw i pobiegła długim rękawem do samolotu. Steward właśnie zamykał drzwi.

- Policja - zawołała zdyszana. - Muszę wejść na pokład. Proszę o kilka minut.

Stanął zaskoczony i wpuścił Jackie do środka. Weszła do pierwszej klasy i przystanąła na chwilę, by złapać od-

326

dech. Pasażerowie patrzyli na nią zaskoczeni. Przeszła przez małą kabinę i rozsunęła zasłonę, zaglądając do klasy turystycznej.

Od razu zauważyła Zana Panesivicia. Siedział obok żony. Drugie siedzenie było puste. Jackie spojrzała na puste miejsce skonsternowana. Zrobiła kilka kroków do przodu, serce zaczęło jej szybciej bić.

Mila Panesivić trzymała w ramionach zawinięte w kocyk dziecko.

ROZDZIAŁ 25

Zan Panesivić objął żonę ramieniem. Mila kurczowo trzymała zawiniątko. Oboje spojrzeli przestraszeni na Jackie.

- Wstańcie i spokojnie wysiądźcie z samolotu - powiedziała, pochylając się nad nimi. - Nie róbmy tutaj scen, dobrze?

Starszy pilot przybiegł wściekły z tylnej części samolotu.

- Proszę natychmiast opuścić pokład. Przygotowujemy się do startu - napadł na Jackie.

Jackie pokazała odznakę w taki sposób, że inni pasażerowie tego nie zauważyli. - Ci państwo idą ze mną - powiedziała. - Już wychodzimy.

- Nie może pani zabronić nam odlotu. - Mila zaprotestowała. - Nie ma pani prawa.

- Jesteście obywatelami amerykańskimi i znacie swoje prawa - Jackie uśmiechnęła się krzywo. - Czy chcecie, bym wygłosiła je przy tych wszystkich ludziach? Macie prawo zachować milczenie...

- Aresztuje nas pani? - kobieta zbladła.

- Właśnie taki mam zamiar.

328

- Czy mogłaby pani... - Pilot zbliżył się do Jackie, rzucając nerwowe spojrzenie.
- O co chce nas pani oskarżyć? - zapytała Mila.
- O porwanie. Z pewnością znajdzie się jeszcze kilka innych rzeczy.
- To moja córka - Mila trzymała blisko siebie dziecko owinięte kocykiem. - Paszport Deborah został sprawdzony przez odprawę. Lecimy do Europy odwiedzić rodzinę.
- Doceniam twoją odwagę, Milu. - Jackie pokręciła głową. - Jakieś dwadzieścia minut temu byłam na farmie.

Twoja córka siedzi na podłodze w kuchni, je ciasteczka i buduje z kartonów domek dla kota.

Zan opuścił ramiona w obronnym geście. Podniósł się z siedzenia, otworzył pojemnik nad głową i wyjął torby. Mila patrzyła na niego ponuro.

- Dalej, Milu - powiedział. - Wszyscy przez nas czekają.

Wstała, trzymając kurczowo dziecko, i ruszyła między fotelami z wysoko podniesioną głową.

- Nic nie możemy zrobić z ich bagażem - powiedział pilot. - Już jest za późno, by go wycofać.
- W porządku. Sprowadzimy go z powrotem. Dziękuję za cierpliwość.

Wyszli z samolotu i przeszli w milczeniu przez pusty rękaw.

- Chwileczkę - Jackie zatrzymała ich w połowie drogi.

Zbliżyła się do Mili, która odsunęła się gwałtownie, lecz po chwili pozwoliła Jackie odgiąć róg kocyka. Michael Panesivić spał spokojnie w ramionach ciotki. Policzki miał zarumienione, spocone czoło. Ciemne loki przykleiły się do skóry. Był ładnym dzieckiem i wyglądał zdrowo mimo koszmaru, przez jaki przeszedł. Jackie dość długo przyglądała się jego buzi. Zakłęła i odwróciła się.

- Idziemy.

John Shephard czekał w hali. Nikt inny nie zauważył ich obecności, ani też nie przyglądał się im z jakimś szczególnym zainteresowaniem, gdy przechodzili przez terminal i kierowali się w stronę do biura.

Jackie spojrzała na zawiniątko w ramionach Mili i nagle poczuła w sobie całkowitą pustkę. To powinien być moment triumfu. Wszyscy tak ciężko pracowali. A ona potrafiła myśleć jedynie o tym, jak niewiele było trzeba, by przegrać. Dosłownie kilka minut. I Michael przepadłby na zawsze. Tylko łut szczęścia ocalił chłopca. Przypomniała sobie Paula Arnussena. Weszli do biura Johna Shepharda.

- W lodówce mam wodę i sok - powiedział do Jackie. - Jeżeli będziesz czegoś potrzebować, daj znać mojej sekretarce.

- Dziękuję. - Stała przy drzwiach. - Wkrótce przyjedzie jeszcze kilku ludzi. Wpuść ich, niech czekają tutaj na korytarzu, będę ich potrzebować. Mogę skorzystać z telefonu?

- Oczywiście.

Zamknęła drzwi i spojrzała na parę siedzącą w pokoju. Mila położyła Michaela na skórzanej kanapie. Spał głęboko pod kocykiem. W ramionach tulił kaczkę.

- Czy on jest chory? Dlaczego cały czas śpi?

- Dostał środki uspokajające. - wyjaśnił Zan, gdy Mila nie odpowiedziała. - Myśleliśmy, że tak będzie dla niego lepiej. Czekaliśmy na długą podróż.

- I bezpieczniej dla was - powiedziała Jackie chłodno. - Nie chcieliście, żeby z kimkolwiek rozmawiał, -prawda?

Zan tylko opuścił głowę.

- Jak to się stało? - zapytała Jackie. - Jedno z was śledziło Leigh, a drugie wykradło Michaela ze sklepu z zabawkami?

- Nie! - zaprzeczył Zan - To nie my. Nie mieliśmy pojęcia, gdzie jest Michael. Tak samo jak wszyscy martwiliśmy się, gdy zniknął.

- Byliśmy pewni, że Mellonowie go trzymają - Mila w końcu przemówiła. - Czuliśmy się okropnie z uwagi na Stefana i dziadków.

- Jak to się stało, że wzięliście go do samolotu? Chcecie mi powiedzieć, że to nie było zaplanowane? Że po prostu tak się zdarzyło?

Mila i jej mąż wymienili przestraszone spojrzenia. - W pewnym sensie tak - powiedziała Miła. - Chcieliśmy zabrać Deborah. Nawet kupiliśmy jej nowe rzeczy i zabawki, żeby mogła się bawić w samolocie. Ale wczoraj...

- To było późnym popołudniem - Zan wszedł jej w słowo, kontynuując opowieść. - Stefan przyszedł do nas i powiedział, że ma poważne kłopoty. Przyznał się, że wykradł Michaela i chce natychmiast wywieźć go z kraju. Wszyscy wiedzieli, że dzisiaj lecimy do Chorwacji. Zapytał, czy moglibyśmy wziąć Michaela na paszport Deborah.

Jackie kiwnęła głową w zamyśleniu. To oczywiście był ten szczegół, który tak ją dręczył od wielu dni. Dzieci Panesiviciów były podobne do siebie. Miały takie same ciemne oczy i jasnokasztanowe włosy. W wieku trzech lat nie ma dużej różnicy w rysach twarzy chłopca i dziewczynki. A służby graniczne nie sprawdzają przecież płci dziecka podróżującego ze swoimi rodzicami.

- Co zrobiliście, kiedy was o to poprosił?

- Nie chciałem brać w tym udziału - powiedział Zan. Jackie spojrzała w jego szczerze niebieskie oczy. Wierzyła mu.

- Wiedziałem, że to przestępstwo, ale Stefan był zdesperowany - ciągnął. - Powiedział, że jeśli tego nie zrobimy, nigdy już nie zobaczy swojego dziecka.

- Mówił, że nie ma innego wyjścia - dodała Mila. - Powiedział, że Mellonowie chcą wpakować go w kłopoty, oskarżając o serię przestępstw, i że musimy wziąć Michaela, skoro nadarza się okazja.

Twierdził, że Michael będzie bezpieczny dopiero, gdy samolot oderwie się od ziemi. Obiecywał, że za kilka dni do-

łączy do nas w Zagrzebiu - spojrzała na męża i znów na Jackie. - Ale Zan nie chciał. Kłóciliśmy się przez kilka godzin. W końcu przekonałam go do planu Stefana. Dla dobra rodziny.

Jackie przyglądała się im przez chwilę, rozważając to, co usłyszała. - Czy Stefan powiedział wam, o jakie kłopoty chodzi?

- Nie było czasu wnikać w szczegóły. Musieliśmy wszystko zaaranżować; zawieźć Deborah do dziadków tak, żeby nie nabrali podejrzeń.

- Nie wiecie, gdzie Michael był przetrzymywany przez dziesięć ostatnich dni?

- O niczym nie wiemy - powiedział Zan. - Nie pytaliśmy, a Stefan nam nie powiedział.

I znów Jackie mu uwierzyła. Stefan manipulował tymi ludźmi, tak jak manipulował wszystkimi innymi. Grał na icfi życzliwości i poczuciu jedności rodziny oraz na nienawiści Mili do Mellonów. Bez wątpienia od samego początku miał zamiar podmienić Michaela w czasie lotu do Chorwacji. I prawie mu się udało.

- Michael był trzymany w pustym zbiorniku pod podłogą w piwnicy domu jego opiekunki - powiedziała Jackie. - Przez ponad tydzień ten mały chłopiec był trzymany w zamknięciu jak zwierzę. Zan i Mila spojrzeli gwałtownie na zaspaną twarz dziecka i żółtą maskotkę leżącą przy jego policzku.

- W sobotę w nocy opiekunka dziecka i jej matka zostały zamordowane. W tym czasie chłopiec został za-

brany ze zbiornika - ciągnęła Jackie. - Stefan powiedział wam, że ma kłopoty. I nie przesadzał. Jest podejrzany

o podwójne morderstwo.

Na twarzy Mili i Zana pojawił się wyraz prawdziwego szoku.

- Biedna mama - szepnął Zan. Jego oczy wypełniły się łzami. - To zabije rodziców. To ich zabije.

Jackie wykręciła numer posterunku i poprosiła Ward-łowa do telefonu.

- Co się dzieje? - zapytał natychmiast. - Siedzę tutaj

i czekam na twój telefon.

- Skontaktuj się z Michelsonem i załatw po drodze kilka spraw.

- Jakich?

- Trzeba znaleźć Leigh Mellon. Powiedz Michelso-nowi, że mam dla niej dobre nowiny. Sprawdź w domu Adrienne Calder i u jej rodziców albo w biurze Harlana Caldera, szukaj jej wszędzie. Powiedz, żeby przyjechała na posterunek i czekała na mnie. Wrócę najszybciej, jak tylko będę mogła.

- Powiedziałaś, że są jakieś dobre wieści?

- Naprawdę dobre. Najlepsze - Jackie uśmiechnęła się do śpiącego chłopca. - Brian...

- Tak?

- Powiedz Leitherowi i Kellermanowi, że najprawdopodobniej to Stefan Panesivić zamordował obydwie kobiety. Jego stary adres znajduje się w komputerze, nowy również. Powiedz im, żeby się pośpieszyli, bo zare-

zerwował lot do Europy na jutro, a może nawet na dziś wieczór. Właściwie powinni zacząć od sprawdzenia na lotnisku.

- Okay. Kaminsky?

- Tak?

- Kellerman właśnie dostał raport z FBI. Odciski palców Arnussena zostały sprawdzone przez wszystkie komputery w kraju. Jest czysty jak łąza. Nawet żadnego mandatu za przekroczenie szybkości.

Jackie była zaskoczona, że tak bardzo ucieszyła ją ta wiadomość. - Wiem - powiedziała. - Powinam była to wiedzieć od samego początku. Pospiesz się, Brian. Wszystko to przekaz Michelsonowi. Powiedz mu, że postaram się wrócić do biura w ciągu godziny.

- Dobra robota, Kaminsky. Jesteś świetna.

- Dzięki, partnerze. - Odłożyła słuchawkę i wyszła na korytarz. Na lawce siedzieli już dwaj policjanci.

- W tym pokoju jest dwoje ludzi - powiedziała. - Współwinni uprowadzenia dziecka.

Policjanci weszli do środka. Zan i Mila siedzieli przygarbieni na krzesłach. Milczeli.

- A co z dzieckiem? - zapytał jeden z policjantów, wskazując ręką śpiącego chłopca. - Czy mamy zabrać go na posterunek?

- Nie - Jackie wzięła Michaela na ręce. - Sama się nim zaopiekuję. Nie spuszczę go z oka, dopóki nie oddam matce.

Deszcz wciąż mżył, gdy Jackie dotarła na posterunek. Wysiadła z samochodu i pochyliła się nad tylnym siedzeniem, by odpiąć pasy, którymi zapięty był Michael.

Wzięła małego w ramiona, upewniając się, czy pluszowa kaczka jest na swoim miejscu pod kocykiem, i zniosła chłopca na posterunek. Alice Polson zerwała się od swojego biurka i przebiegła przez recepcję z twarzą zalaną łzami. Poprowadziła Jackie przez korytarz do pomieszczenia, gdzie znajdował się stary tapczan i automat ze słodyczami.

- Biedne maleństwo. Nic mu się nie stało? - zapytała odkrywając kocyk, by spojrzeć na zaróżowione policzki chłopca.

- Dali mu jakieś środki uspokajające, ale oddech ma normalny.

Spojrzała zamyślona na zamknięte oczy Michaela. - Alice, możesz sprawdzić, kto jest jego lekarzem? Zadzwoń i poproś go, aby przejechał tutaj natychmiast. Nie chcę oddawać tego dziecka, nie mając pewności, że wszystko z nim w porządku, a nie chcę go już nigdzie wozić.

- Dobrze. Zaraz zadzwonię.

- Co z jego matką?

- Nie wiem - Alice zatrzymała się w korytarzu. - Nie mogli jej znaleźć.

- Dlaczego?

- Sierżant Michelson ci powie. Czeka na ciebie w swoim biurze.

Alice zawróciła, by jeszcze raz pogłaskać chłopca po policzku, i szybko poszła do swojego biurka. Jackie zaniosiła chłopca do pokoju Michelsona. Położyła Michaela na ławce i usiadła obok niego. - Dobra robota, Jackie. - Na twarzy sierżanta pojawił się szeroki uśmiech. Wstał i podszedł do chłopca. Pochylił się nad nim i dotknął potarganych kędziorków. - Nie sądziłem, że kiedykolwiek jeszcze zobaczymy tego małego.

- Ani ja - spojrzała na zarumienioną twarz dziecka. - Gdzie jego matka?

- Pojechała na spacer z siostrą. Wardlow sprowadzi szwagra, by z tobą porozmawiał.

- Okay. Co jeszcze?

- Kilka minut temu media dowiedziały się o śmierci pań Philps. Nazywają to brutalnym morderstwem i wiążą z zaginięciem chłopca.

- Nic nie wiedzą o zbiorniku?

- Ani słowa, ale nie możemy liczyć, że nie będzie przecieku. Mam nadzieję, że uda się trzymać matkę z dala od tego.

- Złapali Stefana Panesevicia?

- Jeszcze nie. Współpracuje z nami FBI i patrole policyjne w sąsiednich stanach. Nie ucieknie nam.

- Mam nadzieję. - Jackie spojrzała na Wardlowa wchodzącego do biura w towarzystwie Harlana Caldera.

Prawnik przystanął i spojrzał na siostrzeńca. Nieświadomie przetarł oczy. Dotknął twarzy chłopca, a potem delikatnie pogłaskał go po policzku. Jackie obserwowała

Caldera poruszona tym widokiem. Mężczyzna odwrócił się do niej i powiedział z prostotą:

- Dziękuję, pani detektyw Kaminsky.

- Nie tylko mnie - odpowiedziała. - Wiele osób było zaangażowanych w poszukiwania. Mieliśmy diabelnie dużo szczęścia.

- Nie możemy ściągnąć Leigh - powiedział Wardlow. - Wyjechała z miasta na całe popołudnie.

- Gdzie?

- Adrienne zaczęła się o nią niepokoić - rzekł Calder. - Leigh coraz bardziej pograżała się w depresji. Pomyślała więc, że wyjazd z miasta jej pomoże. Pojechały do Idaho. Planowały powrót do domu około czwartej.

- To prawie dwie godziny. - Jackie spojrzała na zegarek - Może pan je jakoś zawiadomić?

- Adrienne nie wozi telefonu w samochodzie - mężczyzna potrząsnął głową. - Musimy poczekać, aż wrócą do domu.

- I mieć nadzieję, że nie będą słuchały radia - dodał Michelson.

- Dlaczego? - Calder spojrział na trójkę policjantów. - Co mówią w radio?

Michelson opowiedział krótko o morderstwach, o zbiorniku pod piwnicą domu Helen Philips i pościgu za Stefanem Paneseviciem.

- Mój Boże - powiedział adwokat wstrząśnięty. Opadł na najbliższe krzesło i przetarł twarz rękoma. Spojrział na Jackie.

Wiedziała, o czym myśli. Jego żona, kobieta, którą ubóstwiał, miała romans ze Stefanem Paneseviciem. Spała z mężczyzną, który popełnił dwa brutalne morderstwa zaplanowane z zimną krwią oraz porwał i ukrył własnego syna.

Jackie spojrzała na Caldera z sympatią. Pokręcił głową, nie mogąc otrząsnąć się z oszołomienia, i odwrócił się w stronę sierżanta. - Znajdą go?

- Mamy taką nadzieję.

Zadzwoił telefon. Michelson odebrał, powiedział kilka słów i odłożył słuchawkę. - Jest już lekarz.

- Szybko - zdziwiła się Jackie.

- Pracuje w klinice, kilka przecznic stąd. Alice mówi, że był bardzo podekscytowany. Rzucił wszystko i natychmiast przyjechał.

Do pokoju wszedł wysoki młody mężczyzna ubrany w dżinsy i tweedową kurtkę. Miał ze sobą czarną skórzaną torbę. Spojrzał na wszystkich, przywitał się szybko i rzucił się w stronę chłopca leżącego na ławce.

- No, no - powiedział, ściągając koc. - To nasz Michael. To naprawdę on.

Otworzył torbę, z której wyjął stetoskop i ciśnieniomierz, odpiął chłopcu koszulę i posłuchał bicia serca, a potem sprawdził oczy i uszy.

- Ten mały jest pod działaniem sporej dawki środków uspokajających - zawyrokował w końcu. - Chyba stracił na wadze. Prawdopodobnie przez cały czas był faszerowany lekami.

Jackie pomyślała o ciemnej, dusznej norze w piwnicy. I o tym, że Michael nie mógł się głośno zachowywać. A jednak Grace Philps podejrzewała, że w domu dzieją się „straszne rzeczy”.

Nagle Jackie uświadomiła sobie, że prawdopodobnie Michael był w piwnicy wówczas, gdy po raz pierwszy wstąpiła porozmawiać z Helen Philps. Siedziały w kuchni i zajadały ciastka, a przez cały ten czas...

- Czy wszystko z nim w porządku? - zapytał Michelson.

- Tak myślę - doktor kontynuował badanie. - Nie ma żadnych śladów. Może mieć mdłości, gdy się obudzi, i pewnie przez kilka dni będzie bardzo głodny, ale nic poważnego mu się nie stało.

- A jaki jest jego stan psychiczny?

- W tym problem. Podejrzewam, że będziemy musieli trochę powalczyć.

- Czy możemy odesłać chłopca do matki?

- Ależ naturalnie - lekarz spojrzał z uśmiechem. - To będzie najlepsza terapia dla nich obojga.

Poprawił ubranie Michaela, nakrył go kocem po szyję i wyszedł. Telefon Michelsona znów zadzwonił. Po krótkiej rozmowie policjant spojrzał na Jackie i Wardlowa z wyrazem satysfakcji na twarzy.

- Patrol na autostradzie zatrzymał Stefana Panesivicia jakieś pięćdziesiąt mil za miastem. Jechał do Seattle. Stamtąd miał zarezerwowany lot do Paryża na siódmą dziś wieczorem.

- Dzięki Bogu - szepnęła i opadła z ulgą na krzesło.

- Wiozą go do komendy - Michelson zerknął na Wardlowa. - Lepiej tam jedź. Wszystko wskazuje na to, że jest gotów składać zeznania.

Warlow zerwał się na nogi, na chwilę zatrzymał się jeszcze w progu. - A Kaminsky?

- Jestem opiekunką - uśmiechnęła się, klepiąc lekko Michaela po udzie. - Poza tym Panesivic należy do Leithera i Kellermana. Wystarczy im tylko jedno z nas jako świadek przy zeznaniach. Idź, Brian. Możesz zadzwonić po mnie, jeżeli będę potrzebna.

Kiwnął głową z wdzięcznością, a później cofnął się i niezgrabnie położył rękę na ramieniu Jackie.

Dopiero teraz spostrzegła, że jej partner wygląda dzisiaj nieco lepiej. Był wciąż przygnębiony, lecz sprawiał wrażenie bardziej pewnego siebie. Nie był już tak rozbity jak wcześniej.

Ludzi są dziwni, pomyślała. Posiadają nieprawdopodobną elastyczność i najwyraźniej nieograniczoną zdolność adaptacji. Wystarczy dać im nieco czasu na konfrontację z rzeczywistością. Na wszystko przecież trzeba czasu. I sporo odwagi. Życie wymaga tyle odwagi.

- Brian...

- Tak? - zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na nią.

- Wiem, że Paul Arnussen został zwolniony, lecz gdyby przez przypadek jeszcze nie wyszedł, mógłbyś powiedzieć mu...

Przerwała, bo uświadomiła sobie, że koledzy patrzą na nią z ciekawością.

341

- Nic - powiedziała speszona. - Nieważne.

- Chciałbym zamienić słowo z detektywem Wardlowem - powiedział Michelson do Jackie i adwokata, wstając. - Zaraz wrócę.

Gdy drzwi zamknęły się za sierżantem, Harlan Calder odwrócił się w stronę Jackie. - Stefan to potwór

- wydusił z siebie. - Nigdy go nie lubiłem, ale o coś takiego nigdy bym go nie podejrzewał.

- Ani ja. Gdybym wiedziała od samego początku, wszystkim oszczędziłoby to wielu cierpień. -

Spojrzała na śpiącego chłopca. - Leigh próbowała mi to powiedzieć, ale jej nie słuchałam.

Milczeli przez chwilę.

- Biedna kobieta. Nie dziwi mnie, że sama próbowała uprowadzić Michaela - ciągnęła Jackie. -

Musiała odchodzić od zmysłów, wiedząc do czego Stefan jest zdolny.

- Zadzwoń do pani - Calder wstał i chrząknął

- gdy tylko Adrienne i Leigh wrócą do domu.

- Dziękuję. Będę czekać.

Przeszedł przez pokój, by spojrzeć na Michaela.

- Obudzi się, zanim wróci jego matka? Jeśli pani chce, mogę wziąć go ze sobą.

- To szczęście popatrzeć na niego przez kilka godzin.

- uśmiechnęła się. - Proszę mi wierzyć, patrzenie na niego jest dużo przyjemniejsze niż szukanie go.

- Raz jeszcze dziękuję, pani detektyw. - Calder uścisnął jej dłoń. - W imieniu całej rodziny, z głębi serca.

Wstała i ruszyła z nim w stronę drzwi. Zawahała się. - Panie Calder - powiedziała pod wpływem impulsu. - Czy pan i Adriannę będziecie dzisiaj wieczorem w domu?

- Z pewnością.

- Czy mogłabym wpaść na kilka minut? Chciałabym z wami o czymś porozmawiać.

- W związku z czym?

- Chodzi o... pewną sprawę, którą muszę doprowadzić do końca.

- Oczywiście. Będziemy szczęśliwi, jeżeli będziemy w stanie pomóc.

- Około ósmej?

- Dobrze. Oczekujemy pani.

Jackie patrzyła na jego szczupłą, wyprostowaną sylwetkę i łysiejącą głowę, dopóki nie zniknął za rogiem. Wtedy wróciła do pokoju i położyła się obok Michaela.

Nagle poczuła się tak wyczerpana, że nawet oddychanie zdawało się przychodzić jej z wysiłkiem. Położyła rękę na nodze chłopca, głowę na jego ramieniu i zamknęła oczy.

ROZDZIAŁ 26

Adrienne patrzyła przez szybę samochodu. Były blisko miasta, gdy deszcz z mżawki znów przeszedł w smagającą ulewę.

- Przepraszam za tę pogodę, kochanie. Myślałam, że będziemy miały miłą przejażdżkę po okolicy, a mogłyśmy tylko popatrzeć na wycieraczki. Paskudny dzień.

Leigh siedziała skulona na miejscu pasażera. Spoglądała w zalaną deszczem szybę. - W porządku. Nie obchodzą mnie widoki. Dobrze, że udało nam się na chwilę wyrwać.

- Mówisz szczerze? - Adrienne chwyciła mocno kierownicę. - Czujesz się lepiej?

Leigh kiwnęła głową apatycznie, tuląc w ramionach misia. - Szkoda, że musimy wracać do domu. Nie wiem, czy jestem w stanie wytrzymać jeszcze jeden dzień czekania. Chyba tego nie zniosę.

- Przestań, nie wolno ci tak myśleć - Adrienne spojrzała na mikrobus, który wynurzył się z mgły. - Minął raptem tydzień, Leigh. W każdej chwili mogą go znaleźć. Może Jackie znalazła go dzisiaj?

Leigh zamknęła oczy. Oparła głowę o miękkie skórzane siedzenie.

- Jesteś tego pewna?

- Czego?

- Ze chcesz wrócić do domu? Może zostaniesz u nas jeszcze kilka dni?

Leigh potrząsnęła głową, nie otwierając oczu. - Muszę wrócić. Muszę jakoś żyć, Rennie. Nie mogę przez cały czas ukrywać się w twoim domu. Jestem u ciebie już sześć dni.

- Nikt tego nie liczy, Leigh - Adrienne powiedziała spokojnie. - Masz wakacje i nic się nie stanie, jeśli zostaniesz u mnie kolejny tydzień, albo i dłużej. Oboje z Harlanem niepokoiimy się o ciebie.

- Poradzę sobie. Jesteście wspaniali. Ale ja już muszę wrócić do domu. Muszę nauczyć się być sama.

- A może powinnaś odwiedzić mamę i Monikę, pomóc tacie przy orchideach. Nie byłoby ci miło?

- Mama jest w gorszym stanie niż ja. Nie zrobiłoby nam to dobrze.

Adrienne nie próbowała się sprzeczać. Dalej jednak rzucała zatroskane spojrzenie w stronę siostry.

Widziała jej bladą twarz i drżące ręce. Szare, majaczące kształty miasta zaczęły tymczasem wynurzać się z deszczu.

- Już prawie jesteśmy w domu - oznajmiła Adrienne z wymuszoną radością. - Mówiłam Harlanowi, że będziemy z powrotem przed czwartą, no i będziemy. Chcesz wstąpić do nas po coś?

345

- Chyba nie. Nie zostawiłam tam wiele, z wyjątkiem spódnicy i szczoteczki do zębów. Możesz mi to jutro podrzucić. Chcę wrócić do domu.

Adrienne otworzyła usta, by zaprotestować, lecz powstrzymała się. Niechętnie skręciła na północ, przejechała przez mokre ulice i zatrzymała się przed biało-zielonym domem Leigh.

- Chcesz, żebym wstąpiła na kawę? Zadzwońię do Harlana i powiem mu, gdzie jesteśmy.

- Wolę być sama, Rennie. - Leigh z uśmiechem dotknęła ramienia siostry. - Rozumiesz mnie, prawda? Doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

- Och, skarbie - Adrienne uścisnęła ją mocno.

- Zadzwońię - obiecała Leigh, biorąc torebkę i misia Michaela. Chwyciła za klamkę. - Zadzwońię chyba jeszcze dzisiaj wieczorem. Dzięki za przejażdżkę.

- Nie ma za co - Adrienne spojrzała na wysiadającą siostrę. - Leigh, jesteś pewna...

- Tak - Leigh przystanęła w otwartych drzwiach i zmusiła się do jeszcze jednego uśmiechu. - Dziękuję raz jeszcze. Pobiegła do domu, szperając w torebce w poszukiwaniu kluczy.

Adrienne poczekała, aż siostra znajdzie się wewnątrz, włączyła silnik i odjechała.

Gdy Leigh weszła do środka, przez kilka pierwszych minut nie mogła dojść do siebie. Ból był nie do zniesienia. Czuła jak dusi ją, wypełnia głowę, płuca, całe cia-

lo. Stała nieruchomo w pustym domu, próbując nie eksplodować i nie rozpaść się na tysiące kawałków.

Stopniowo przyzwyczajała się do ciszy. Powoli była nawet w stanie poruszać się po domu. Zrobiła sobie filiżankę kawy, podlała kwiaty zaniedbane w czasie nieobecności, a później dotykała książek i ozdób, w zadumie głaskała ścięg na tapicerce krzesła w jadalni.

W końcu, trzymając pod pachą misia Michaela, wspięła się po schodach i weszła do swojej sypialni. Panował w niej przedziwny półmrok. Deszcz uderzał o parapet. Pokój przypominał jaskinię.

Powiesiła sweter w szafie, zdjęła džinsy i włożyła dres. Związała włosy w koński ogon i przejrzała się w lustrze. Zobaczyła w nim obcą kobietę.

Wreszcie zmusiła się, by wejść do pokoju Michaela. Usiadła na jego łóżeczku, a łzy znów wypłynęły jej z oczu. Nie była w stanie znaleźć ich źródła, ciemnej i bezkresnej studni smutku.

Jej ręce pragnęły przytulić syna. Aż zabołało, gdy kon-wulsyjnie ścisnęła w ramionach pluszową zabawkę. Wstała i przetrząsnęła szufladę w poszukiwaniu śpioszków Michaela. Szybko, niemal szaleńczo owinęła nimi misia i mocno przytuliła zabawkę, chowając twarz w miękkiej wełnie.

- Och, Michael - zaszlochała - Kochanie moje.

Nagle coś usłyszała. Jakiś dźwięk, który echem roznosił się po domu. Uniosła twarz i otarła łzy, nasłuchując.

Dźwięk powtórzył się. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że dzwoni telefon.

Odłożyła pluszową zabawkę na łóżko Michaela i pobiegła przez korytarz do swojego pokoju, szukając telefonu. Wszystko było jakieś inne, jak gdyby znalazła się w obcym domu.

- Halo - powiedziała w końcu.

- Leigh? Tu detektyw Kaminsky. Mamy go. Jestem...

- Co? - Leigh ścisnęła słuchawkę.

- Mamy Michaela. - Głos policjantki niewyraźnie dochodził z oddali. Połączenie nie było najlepsze. - Jestem w samochodzie. Jadę do ciebie. Będę za kilka minut.

Ogarnęło ją takie uniesienie, że nie mogła z siebie wydusić ani słowa. Czy dobrze usłyszała? Czy naprawdę mają Michaela? Jackie mówiła coś jeszcze, ale Leigh nic nie słyszała. Ze złością potrząsnęła słuchawką.

- Jackie!

Połączenie zostało przerwane. Leigh odłożyła słuchawkę i zbiegła do salonu. Drżała tak bardzo, że ledwo mogła chodzić. Stała w oknie i czekała.

Policyjny wóz zatrzymał się przed domem. Jackie Kaminsky wysiadła. Miała na sobie długi płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem. Obeszła auto, otworzyła tylne drzwi i wzięła coś na ręce.

Oczy Leigh rozszerzyły się. Jak szalona próbowała wytrzeć parę skraplającą się na oknie. Pochyliła się, by spojrzeć jeszcze raz. Serce zaczęło jej łomotać.

Policjantka niosła jakieś zawiniątko w kocyku. Niosła

dziecko. Leigh krzyknęła i pobiegła do drzwi. Otworzyła je i wypadła na deszcz.

Jackie uśmiechnęła się do niej spod kaptura. Leigh nie była pewna, czy na twarzy policjantki pojawiły się łzy, czy był to deszcz.

- Przyniosłam go do domu - powiedziała. - Przywiozłam Michaela do domu.

Leigh przysunęła się blisko i delikatnym ruchem odwinęła kocyk. Zaszlochała, gdy zobaczyła buzię syna.

- O, moje maleństwo - szepnęła, dotykając jego policzka. - Och, kochanie.

- Wejdźmy do środka - powiedziała Jackie. - Przemokniesz do suchej nitki. Dopiero w domu podała jej chłopca.

- Jak... - odwróciła się do Jackie, która otrzepywała swój płaszcz. Stała w korytarzu i uśmiechała się. - Gdzie go znalazłaś?

Jackie opowiedziała o zbiorniku w domu Helen Philips i o tym, jak chłopiec był ukrywany do czasu, kiedy miał zostać wywieziony z kraju.

Ledwo słuchała, słowa docierały do niej z trudem. Jackie opowie jej wszystko później. Teraz chciała usiąść w starym bujanym fotelu, tulić Michaela, czuć jego zapach, ciepło jego skóry.

- Dlaczego on śpi? - zapytała. Zdjęła kocyk, by zobaczyć go całego. Pogłaskała go po nóżkach, rączkach, dotknęła palców, ścisnęła stópki.

- Dali mu silny środek uspokajający, zanim wsiedli

na pokład samolotu. Za chwilę zaczniesz dochodzić do siebie - powiedziała Jackie. - Już pół godziny temu przebudził się i pytał, gdzie jest.

- Och, Michael.

Chłopiec miał długie rzęsy, które jak wachlarzyki spadały mu na policzki. Nagle rzęsy zaczęły trzepotać i powoli podniosły się. Chłopiec spojrzał na Leigh wielkimi ciemnymi oczami, w których najpierw pojawiła się niepewność, a zaraz potem wstrząs i niedowierzanie.

- Mamusia? - zapytał ochryłym głosem. - Mamusia?

Leigh zaszlochła z radości. - Tak, mamusia - powiedziała przez łzy. - Mamusia. I trzymam cię tak mocno, jak nigdy dotąd. Nigdy, przenigdy nie pozwolę ci już zniknąć, skarbie.

Chłopiec przyglądał się jej uważnie, a potem przekręcił się w jej ramionach i rzucił na szyję. Objął ją mocno, przywarł całym ciałem. Drżał. Leigh tuliła go i głaskała po plecach. Kołysała go, mrużąc uspokajające słowa.

Jackie obserwowała ich. W końcu wyjęła z kieszeni chusteczkę, wytarła nos i przeszła przez korytarz. Zakrzętnęła się w kuchni; napełniła ekspres do kawy i wyjęła filiżanki. Od czasu do czasu docierały do niej strzępy wesołej piosenki.

Leigh uśmiechała się i z czułością kołysała syna, trzymając go mocno w ramionach.

Gdy Jackie wróciła wreszcie do domu, Alex czekała już z obiadem. Starania, by codziennie przygotować coś nowego, najwyraźniej wyczerpywały pomysłowość dziewczyny i jej kulinarne umiejętności. Tym razem zrobiła misę makaronu z serem i parówkami. Z grymasem na twarzy postawiła garnek na stole.

- Wygląda wspaniale - powiedziała Jackie. - Uwielbiam makaron z serem.

Alex uśmiechnęła się niepewnie. Zdjęła fartuszek i usiadła naprzeciwko.

- Co dzisiaj robiłaś? - Jackie spojrzała uważnie na bladą twarz dziewczyny. - Wiem, że padało, ale w ogóle nie wychodziłaś z domu?

- Po południu przez chwilę nie padało. Poszłam z Tiffany do parku. Tiffany lubi huśtać się na huśtawce.

- Carmen była w domu?

- Ona ma wolne poniedziałki - wyjaśniła Alex cierpliwie. - Salon jest wtedy zamknięty.

- To dzisiaj poniedziałek? - Jackie potrząsnęła głową. - Wciąż zapominam, jaki mamy dzień tygodnia.

- Carmen powiedziała, że możemy ją odwiedzić dzisiaj wieczorem. Toni przyniesie jakiś nowe gry planszowe.

- To świetnie, ale pójdziesz sama. Ja mam spotkanie - Jackie spojrzała na zegarek. - Właściwie powinnam się pospieszyć, bo będę spóźniona.

- Czy ty ciągle pracujesz? - Twarz dziewczyny skrzywiła się z niezadowolenia. - Myślałam, że jak znajdziesz chłopca, to weźmiesz kilka dni wolnego.

- Pracuję większość czasu, kochanie. Już ci mówiłam. Teraz do końca tygodnia będę jeszcze bardziej zajęta. Sporo rzeczy się nagromadziło, gdy pracowałam na tą sprawą.

Alex bawiła się widelcem. Wybrała kawałek kiełbasy i odsunęła go na brzeg talerza. Parówkę włożyła specjalnie dla Jackie.

- Czy ty w ogóle nie masz wakacji?

- Cztery tygodnie w ciągu roku. Myślę o tym, by w przyszłym tygodniu wziąć dziesięć dni wolnego.

- Świetnie! - Alex wyjaśniała. - Może mogłybyśmy...

- Muszę polecieć do Los Angeles, Alex^.- powiedziała łagodnie i dotknęła dłoni dziewczyny. - Jeżdżę tam co roku zobaczyć się z moją babcią.

- Dobrze, zostanę w domu i będę podlewać twoje kwiaty. - Alex spojrzała na talerz. Zmusiła się do uśmiechu. - Nie będziesz musiała się o nic martwić.

Jackie poczuła żal, lecz nie powiedziała już nic więcej o nadchodzących wakacjach. Zjadła szybko posiłek, przebrała się w dżinsy i koszulkę. Pojechała do Calderów.

Spędzali wieczór w salonie, czytając i słuchając muzyki. Harlan otworzył Jackie drzwi i wprowadził ją do przytulnego pokoju. Adrienne siedziała skulona na swoim ulubionym miejscu przy kominku.

Gdy Jackie weszła, wstała i szybko przeszła przez cały pokój, by ją mocno przytulić. Jackie poddała się uściskowi i poklepała Rennie po plecach, mile poruszona tą wylewnością. Odsunęła się i spojrzała na zarumienione policzki i zaczerwienione oczy Adrienne.

- Mój Boże - powiedziała. - Gdybym nie znała cię lepiej, powiedziałabym, że płakałaś.
Adrienne chwyciła ją za rękę i pociągnęła w stronę kanapy. - To wprost nieprawdopodobne. Leigh jest w siódmym niebie. W ekstazie. Dławi mnie w gardle, gdy tylko
- o tym pomyślę.
 - Byłaś już u niej?
- Adrienne pokręciła głową. - Michael jest wciąż słaby i ma mdłości po lekach. Leigh chce być z nim sama dziś wieczorem, ale jutro będziemy świętować u matki. Monika już zaczęła piec ciasto.
- Cieszę się waszym szczęściem. - Usiadła na kanapie i wyciągnęła nogi. - Naprawdę.
 - Może drinka, Jackie? - zapytał Harlan.
 - Z przyjemnością. Białe wino. - Chablis czy Chardonnay?
 - Po prostu białe wino - uśmiechnęła się szeroko. - Jakiegokolwiek.
- Uśmiechnął się w odpowiedzi i wyszedł z pokoju.
- Myślisz, że Leigh dojdzie do siebie po tym wszystkim?
 - Nie tak szybko. Boże, co za koszmar. - Adrienne zaszlochała i potrząsnęła głową.
 - Mnie samej trudno znieść myśl o tym, co się stało. Biedny chłopiec. Grace Philips starała się mnie ostrzec, że coś się dzieje w jej domu, ale wydawała się tak rozkojarzona, że jej nie zrozumiałam.
 - Stefan był zawsze taki. - Adrienne zamyśliła się,

patrząc na ogień. - Nie rozumiem, jak ta biedaczka mogła się z nim związać.

- Złożył dzisiaj szczegółowe zeznania - powiedziała Jackie. - Przygotował wszystko z zimną krwią. Potrzebował pomocy Helen, by jego plan się powiódł. Już kilka miesięcy wcześniej zaczął na nią polować.

- I uwiódł ją?

- Wówczas, gdy Leigh zakazała mi dostępu do chłopca. Błagał Helen, by pozwoliła mu go zobaczyć. Zrobiło jej się żal Stefana i pozwalala mu przychodzić, kiedy Leigh była w pracy. Chyba niewiele potrzebował, by przekonać Helen, że właśnie on powinien sprawować opiekę nad dzieckiem.

- Ale jak udało mu się doprowadzić do tego, że Helen pomogła mu przy porwaniu?

- Z jednego powodu - powiedziała Jackie. - Zaczął z nią sypiać. Ta biedna kobieta była całkowicie zamroczone. Obiecywał jej, że wyjadą razem do Europy i tam zamieszkają. Helen bardzo chciała zrzucić z siebie odpowiedzialność za matkę, gotowa była zrobić wszystko, by nie stracić Stefana. Zawładnął ją zupełnie.

- To dlaczego ją zabił?

- Kiedy powiedział, że nie weźmie jej ze sobą, wpadła w histerię i zaczęła grozić, że wszystko wyzna policji. Powiedział, że po prostu nie miał wyboru. Można odnieść wrażenie, że zamordowanie tych dwóch kobiet przyszło mu z taką łatwością jak zabicie dwóch gryzoni.

Adrienne spojrzała na swoje ręce. Wzdrygnęła się. - Harlan powiedział ci, prawda?

- O czym? - zapytała Jackie ostrożnie.

- O mnie i Stefanie. Nie patrz tak niewinnie, bo wiem, że tak. Ten biedny człowiek kocha mnie tak bardzo, że nie jest w stanie niczego przede mną ukryć.

Jackie zapatrzyła się w płomień, myśląc, co powiedzieć. - Nie gniewaj się - ciągnęła Adrienne. -

Wiem, że nikomu nie powiesz. Boże, nie rozumiem, jak mogłam być tak głupia. Ten człowiek miał w sobie jakiś zwierzęcy magnetyzm. A ja byłam taka nieszczęśliwa, że nie mogę mieć dziecka. Jakbym na jakiś czas straciła rozum, Jackie. Nienawidzę siebie, gdy o tym pomyślę. - Usta jej zadrżały.

Opuściła głowę.

- Ale powiedziałaś mężowi i skończyłaś z tym, prawdą? - Jackie objęła ją ramieniem. - Każdy może popełnić błąd. Jesteśmy tylko ludźmi.

- Jesteś wspaniała, Kaminsky. - Adrienne pokręciła głową. - Wiesz o tym?

Jackie odsunęła się. Posłała uśmiech Harlanowi, który pojawił się w drzwiach z butelką, tacą i kieliszkami do wina.

- Dziękuję - powiedziała, odbierając kieliszek. Rozejrzała się w zadumie, spojrzała na jasne płomień i dwoje spokojnych, odprężonych ludzi. - Miło tu u was.

Adrienne wzięła żółtą ceramiczną miskę. - Proszę, popij com - powiedziała. - Harlan zrobił go kilka minut temu. Jackie wzięła pełną garść. Wsłuchiwała się w muzykę.

- Lubię ten fragment z fletem - powiedziała. - Posłuchajcie, jaki jest piękny.
 - Uwielbiam tę babę - powiedziała Adrienne ze śmiechem do męża. - Naprawdę.
 - To dobrze - powiedziała Jackie. - Ponieważ chcę prosić was o przysługę. To dla mnie bardzo ważne.
 - Śmiało - powiedział Harlan. - Z przyjemności pomożemy, jeżeli tylko będziemy w stanie.
 - Proszę poczekać, aż powiem, o co chodzi - oznajmiła Jackie ponuro.
 - Śmiało. Zamieniamy się w słuch. - Adrienne schrupała garść popcornu i popiła winem.
- Słuchali w rosnącym oszołomieniu historii Alexandry Gerard. Jackie nic nie ukrywała, opowiedziała o wszystkim, co działo się od chwili, gdy po raz pierwszy spotkała dziewczynę na ulicy. O tym, jak ustaliła jej tożsamość, o telefonie do matki i wysiłkach Alex, by być perfekcyjną gospodynią, o jej strachu, że Jackie odeśle ją z powrotem.
- Gdy przytoczyła swoją rozmowę z matką Alex, Adrienne mocno zacisnęła dłonie, a jej twarz wykrzywiła się w grymasie bólu. Harlan uważnie wpatrywał się w żonę.
- Tak to wygląda - kończyła Jackie. - W przyszłym tygodniu wyjeżdżam na kilka dni do Los Angeles, by odwiedzić rodzinę. Nie mogę wziąć Alex z sobą, ani też nie mogę zostawić jej samej w domu. Ona i tak spędza zbyt wiele czasu sama.
 - Czy chcesz, aby została u nas podczas twojej nieobecności? - zapytał Harlan.

356

- Właściwie - powiedziała cicho - chciałabym, żebyście zostali jej prawnymi opiekunami.
- Jej opiekunami? -Adrienne szeroko otworzyła oczy. - Przestań, Jackie. Co ja wiem o wychowywaniu nastolatki?
- Sama byłaś nastolatką, i to trudną. Pamiętasz, jak to jest, prawda?
- Z pewnością pamiętam, jak to jest, kiedy matka jest bardziej zainteresowana swoim życiem niż tym, co się dzieje z jej córką.
- Wiem. Dlatego uważam, że potrafisz dać sobie radę z sytuacją. Alex jest bardzo kochana - Jackie powiedziała to poważnie, zwracając się do Harlana. - Jest spokojna i miła. Nigdy się nie skarży. Bardzo stara się być dobra.
- Przeszła przecież przez piekło - powiedziała Adrienne. - Potrafiła przetrwać. Prędzej czy później wszystkie negatywne doświadczenia dadzą o sobie znać. Teraz chyba powinna poddać się terapii, porozmawiać z kimś o tym, co czuje, i o wszystkim, co ją spotkało.
- Widzisz? - powiedziała Jackie - Już wiesz, co robić. Adrienne odwróciła się gwałtownie do męża, który obserwował ją spokojnie. - Harlanie? Myślisz, że moglibyśmy...?
- To byłoby wspaniałe - powiedział do żony. - Myślę, że jesteś w stanie zrobić mnóstwo dobrego dla tej dziewczyny.
- Zawsze chciałam mieć dziecko - szepnęła Adrienne. Uniosła ręce, po czym bezwładnie opuściła je i oparła

- o brzuch. - Ale nie myślałam, że zostanę zastępczą matką dla młodej uciekinierki. Będziesz musiał mi pomóc, Harlanie. Będziesz musiał bywać w domu na posiłkach i wieczorami. Możemy być prawdziwą rodziną, robić barbecue, wycieczki, wyjeżdżać nad jezioro.
- Nic przyjemniejszego - rzekł z prostotą. - Podoba mi się pomysł, byśmy zostali rodziną.
 - Macie przewagę - powiedziała Adrienne żałośnie.
 - Co za cholerna konspiracja.
 - Przywiozę ją jutro w drodze do pracy. - Jackie roześmiała się i uścisnęła jej dłoń. - Czekać na nas wcześniej rano.
 - Czy coś muszę przygotować? - Adrienne zbladła
 - Boże, Jackie, nie wiem, czy...
 - Bądź po prostu sobą. Myślę, że ty i Alex od razu się polubicie.
 - Powinniśmy chyba pomyśleć o tym, by złożyć podanie o przyznanie opieki - powiedział Harlan.
 - Na razie traktujcie ją jak gościa - powiedziała Jackie. - Zobaczycie, jak się wam ułoży. Jeżeli wszystko będzie dobrze, możecie zająć się legalną stroną sprawy. Jesienią trzeba zapisać ją do szkoły. Dam wam numer telefonu do opieki społecznej, która we wszystkim wam pomoże. Krok po kroku.
 - Nie wierzę, że to robię. - Adrienne chwyciła Jackie nerwowo za rękę. - Nie wierzę.
 - Nie denerwuj się. - Jackie poklepała ją po ramieniu. - Będziesz wspaniała.

ROZDZIAŁ 27

Wszystkie wieczory od czasu przeprowadzki Alex do Calderów Jackie spędziła w pracy na porządkowaniu swojego biurka. Uzupełniła niektóre kartoteki, zadzwoniła w dziesiątki miejsc i usilnie pracowała nad bieżącymi sprawami.

W końcu wzięła dziesięć dni wolnego i wyjechała na weekend, planując, że większą część tego czasu spędzi w Los Angeles z babcią.

Jednak już po kilku dniach pobytu w Kalifornii wykupiła poranny lot do Spokane i w przygnębieniu zastanawiała się nad perspektywą reszty długiego tygodnia. Przyjdzie jej chyba tłuc się po pustym mieszkaniu.

Był poniedziałek rano, pierwszy dzień po powrocie. Najpierw kręciła się w kółko bez celu przez kilka godzin, później pojechała na posterunek, by zobaczyć, co tam słychać. W pokoju wrzało jeszcze bardziej niż zazwyczaj, ale jej biurko było czyste. Z wyjątkiem dwóch zapisanych na kartkach informacji telefonicznych.

Jackie wzięła je i przeczytała z uwagą. Obie pochodziły od Adrienne Calder, która pilnie próbowała się z nią

skontaktować. Wykręciła numer telefonu do Calderów. Adrienne odebrała po drugim sygnale.

- Adrienne? Jackie Kaminsky. Cóż się stało?

- Jackie! Nie spodziewaliśmy się, że tak szybko wrócisz. Zostawiłam te wiadomości tak na wszelki wypadek.

- Chciałam zostać w Los Angeles dłużej, ale... nie udało się.

- Jackie...

- Tak?

- Czy możesz przyjść dzisiaj wieczorem? Koniecznie muszę z tobą porozmawiać. - Głos Reanie brzmiał niepewnie.

- Jakiś problem z Alex?

- Można tak powiedzieć.

- O nie. Co się stało? Mam nadzieję, że nie uciekła.

- Porozmawiamy później, dobrze? Mam nadzieję, że będziesz mogła przyjść na kolację. Będzie trochę gości.

- Z przyjemnością. O której?

- Około szóstej, jeśli to nie za wcześnie. Zjemy koło basenu. Włóż szorty i weź strój kąpielowy, jeśli chcesz.

- Dobrze. Do widzenia, Adrienne. - Jackie spojrzała na telefon.

Wardlow wyszedł z biura Michelsona z plikiem papierów w ręce. Przystanął zaskoczony na jej widok.

- Hej, a to co? Miało cię nie być przez cały następny tydzień.

- Wciąż mam wolne. Wróciłam do domu trochę wcześniej. To wszystko.

360

- Dlaczego? Nie lubisz kalifornijskiego słońca?

- Było w porządku. - Jackie postukała palcami po klawiaturze komputera.

- Znów pokłóciłaś się z babcią, prawda? Skrzywiła się i odwróciła. Wardlow zbliżył się i ciepłym gestem położył jej rękę na ramieniu.

- Co słyszeć? - uśmiechnęła się do niego. - Wyglądasz znacznie lepiej.

- Znalazłem małe mieszkanie w centrum. Wczoraj się przeprowadziłem.

- Chyba zaczynam akceptować to, że Sarah nigdy mnie nie kochała - rzekł, patrząc na kartoteki. - Miałem nadzieję, że to się zmieni, ale ludzie się nie zmieniają, Kaminsky. Bez względu na to, jak bardzo nam na tym zależy. Pozostają tacy sami.

- Pewnie masz rację. Co za ponura perspektywa - Jackie owinęła dłoń kablem telefonu. - Co poza tym? W robocie?

- Ciągle to samo. Zwyczajny nawał pracy. Jesteśmy dość zajęci.

- A co ze sprawą Paneshdcia?

- Nie zgodzili się wypuścić go za kaucją. Został przewieziony do więzienia na obrzeżach miasta.

Czeka na proces. Jego adwokat broni go w sprawie o porwanie, ale nie ma sprawy o morderstwa.

- Dlaczego? - zapytała Jackie zaskoczona - Mieliśmy go jak na dłoni, Brian. Jest DNA, jest zeznanie. Jak może nie być uznany za winnego?

- Powołuje się na czasową niepoczytalność, ponieważ Helen Philips usiłowała rozdzielić go z Michaeliem. Twierdzi, że jego syn liczy się dla niego bardziej niż wszystko inne na świecie, więc gdy Helen zagroziła, że doniesie o porwaniu, stracił na kilka minut kontrolę nad swoim działaniem.
- Nie żartuj. No cóż, musimy poczekać. Zobaczymy, co ława przysięgłych powie na taką argumentację. A co z Zanem i Milą?
- Zostali wypuszczeni za kaucją, w pełni współpracują z policją, więc ich wyrok będzie pewnie łagodniejszy. Może tylko dostaną nadzór.
- To dobrze.
- Dobrze? - powtórzył jak echo.
- Nie chciałabym, aby Miroslav i Ivana stracili w ten sposób całą swoją rodzinę - powiedziała Jackie. - Cierpią wystarczająco. Cieszę się, że Zan i Mila nie uczestniczyli w planach Stefana. Są ofiarami jego szaleństwa. Podobnie jak wiele innych osób - dodała, myśląc o Leigh Mellon, Adrienne, Harlanie Calderze, Helen Philips i jej matce.
- Chyba masz rację - powiedział Warlow - Ten facet jak nikt umie grać na ludzkich uczuciach. Jackie znów zaczęła się bawić kablem telefonicznym. Odchrząknęła. - Co z Paulem Arnussenem?
- Dlaczego pytasz?
- Widziałeś go od czasu, gdy został zwolniony?
- Wstąpiłem do niego przedwczoraj. - Wardlow po-

kręcił głową. - Nie miałem nic do roboty, szukałem towarzystwa. Pomyślałem, że może wybrałyby się ze mną na piwo. Ale nie było go.

- Nie było?

- Gospodyni powiedziała, że się wyprowadził. Odniosłem wrażenie, że jest jej z tego powodu przykro i że obwinia o to policję. Nie była zbyt wylewna. W zasadzie zamknęła mi drzwi przed nosem.

- Ciekawe, gdzie on jest?

- Chyba nikt nie wie - Wardlow zmarszczył czoło. - Myślę, że po prostu spakował narzędzia i przeniósł się do jakiegoś innego miasta, gdzie potrzebują cieśli-jasno-widza.

Jackie spojrzała na swoje biurko. W końcu potrząsnęła głową i wstała. - No cóż, będę cieszyć się urlopem. Do zobaczenia w przyszły poniedziałek, Brian. ^A - Głowa do góry, Kaminsky. - Wardlow delikatnie klepnął ją w ramię. - Życie nie jest takie złe.

- Wiem. Jest tylko samotne. Uważaj na siebie.

Gdy Adrienne powiedziała, że na obiedzie będzie „paru gości”, Jackie nie zdawała sobie sprawy, że zaproszona została cała rodzina. Przeszła przez tylną bramę i dotarła do basenu, niosąc ze sobą butelkę wina. To, co zobaczyła, zaskoczyło ją.

Harlan Calder stał przy barbecue. Obok znajdował się stół zastawiony bogato jedzeniem. Harlan miał na głowie czapkę żeglarską i czerwony fartuch. Smażył na grillu

steki w asyście Moniki, która czujnie obserwowała jego poczynania.

Jackie nigdy nie widziała gospodyni Mellonów w niczym innym jak tylko w szarym kostiumie i fartuchu. Tym razem Monika miała na sobie błyszczące pomarańczowe spodnie, żółtą bluzkę i szeroki słomkowy kapelusz z bukietem purpurowych goździków wpiętych za wstążkę.

Barbara Mellon siedziała pod parasolem w długiej spódnicy w kolorze khaki i bluzce w kratę.

Spokojnie zwijała wełnę w motek. Jej mąż siedział obok i z uśmiechem patrzył na dzieci.

Alex, opalona, w niebieskich krótkich, spodniach, z włosami zwiniętymi w kok, bawiła się z Michaeliem. Chłopiec doszedł już do siebie po ciężkich przejściach. Był ubrany tylko w spodenki kąpielowe, a jego małe ciało było opalone. Biegał cały czas wokół basenu, i śmiał się głośno, gdy Alex rzucała w jego stronę plażową piłkę.

Adrienne i Leigh krążyły między domem a grillem, nosząc tace i talerze pełne jedzenia. Leigh pierwsza spostrzegła Jackie. Postawiła talerz na stole i podbiegła, by ją uściskać.

- Tak się cieszę, że przyszedłeś. Jackie jest z nami! Powitał ją chór głosów. Nawet Alden Mellon spojrzał w jej stronę i uśmiechnął się do niej słodko, a później dalej obserwował wnuka.

- Chodź tutaj, Jackie - zawołała Barbara, wskazując wolne krzesło. - Usiądź koło mnie.

Jackie postawiła swoją butelkę wina na stole, uśmiechnęła się do wszystkich i usiadła pod parasolem ze starszą panią Mellon.

- Jeszcze nie miałam okazji podziękować pani - powiedziała Barbara i klepnęła Jackie po kolanie. - Cała nasza rodzina ma u pani ogromny dług wdzięczności.

- Ja tylko robiłam to, co do mnie należy, pani Mellon.

- Jackie wzruszyła ramionami skrepowana.

Starsza kobieta spojrzała na Michaela, który biegł za piłką. Oczy wypełniły jej się łzami. - Nigdy się nie odwdzięczymy - powtórzyła.

- Mam dla pani moje najpiękniejsze orchidee. - A1-den pochylił się w stronę Jackie i uśmiechnął nieśmiało.

- Są w lodówce.

- Dziękuję - powiedziała Jackie wzruszona. - To miło z pana strony.

Wstała z innymi, by nałożyć sobie jedzenie na talerz. Cała grupa rozsiadła się nad basenem, tocząc swobodną konwersację. Sporo było drobnych złościwości na temat kulinarnych zdolności Harlana, które ten przyjmował z rozbawieniem

Alex, trzymając za rękę Michaela, pochyliła się nad Jackie. - Część - mruknęła. - Jak było w Los Angeles?

- Gorąco i sporo spalin. Cieszę się, że jestem w domu. A co u ciebie, kochanie?

Alex uśmiechnęła się promiennie. - Dobrze - powiedziała i szepnęła Jackie do ucha: - Podoba mi się tu. Jest wspaniale.

Pogłaskała Jackie po ramieniu i odbiegła. Chłopiec chichotał i wił się, gdy Alex wciągała mu czerwoną koszulkę przez głowę. Jackie zaskoczona obserwowała zabawę. Niezależnie od tego, jaki problem miała Adrienne, Alex z pewnością nie była go świadoma.

Może Adrienne po prostu poczuła zbyt duży ciężar odpowiedzialności. Jeśli tak, Alex znów będzie musiała się przeprowadzić. Jackie westchnęła. Odwróciła się, gdy Leigh ustawiła sobie krzesło obok niej.

- Chciałam uciąć sobie krótką pogawędkę, zanim wszyscy inni zaczną cię okupywać - powiedziała z uśmiechem. - Jestem tak wdzięczna, Jackie.

- Nie zaczynaj od nowa. Czuję się skrepowana, gdy słyszę coś takiego.

Tym bardziej, pomyślała, że Paul Arnussen zasłużył na więcej zaufania.

Gdyby nie skromny cieśla ze swoim niezwykłym darem, mały Michael Panesivić przypadłby za granicą ze swoim ojcem, a dwa brutalne morderstwa pozostałyby bez kary.

Biorąc pod uwagę polityczne zamieszki w dawnej Jugosławii, biurokratyczne zabiegi o ekstradycję Stefana Panesivica i wydostanie syna Leigh z Chorwacji byłyby prawdopodobnie torpedowane przez lata, a może w ogóle spełzłyby na niczym. Zadrzała i objęła się rękoma, przerażona tym, jak niewiele brakowało, by przegrała.

- Zimno ci, Jackie? - zapytała Leigh, opacznie rozumiejąc dreszcze Jackie. - Dać ci sweter?

- Nie, dziękuję. Jak Michael?

Leigh uśmiechnęła się słodko i spojrzała na syna.

- Już prawie wrócił do formy. Od czasu do czasu śnią mu się koszmary i nawet w nocy nie mogę go zostawić samego, ale wydaje się, że wszystko będzie dobrze.

- Jak sobie poradzisz, gdy wrócisz do szkoły?

- Zdecydowałam się rzucić pracę na kilka lat. Wrócę, gdy i on pójdzie do szkoły i będziemy przyjeżdżać do domu o tej samej porze.

- Dasz sobie radę? Czy to nie... - Jackie przerwała w zakłopotaniu.

Leigh Mellon wywodziła się z jednej z najbardziej twardych rodzin w całym stanie. Mogła znieść wszystko. Lecz Jackie miała wrażenie, że Leigh zawsze pragnęła niezależności.

- Właściwie - powiedziała kobieta z uśmiechem

- mam inną pracę. Nie jest tak dobrze płatna, ale to coś, co ja i Michael możemy robić razem.

- Co to takiego?

- Będziemy pomagać Mirosławowi i Iwanie na ich farmie. Zaangażowali mnie jako nadzorcę, Jackie.

Będę codziennie jeździć tam z Michałem i pomagać im. Dadzą mi skromne wynagrodzenie, za które będę mogła spłacić hipotekę. Jesteśmy z tego powodu bardzo szczęśliwi.

- Jesteś miłą osobą, Leigh. - Jackie poklepała ją po dłoni.

- Ty też, Jackie Kaminsky. Zapadła krótka krępująca cisza.

- Jak oni się czują? - zapytała Jackie, myśląc o rodzicach Stefana. - Przeżyli to jakoś?
- Jest im trudno, ale wychowali się w kulturze, która potrafi radzić sobie z tragediami. Rodzina jest dla nich wszystkim. Uważają, że trzeba żyć dalej, bez względu na to, co się stało. Ivana była taka szczęśliwa, gdy okazało się, że ich nie zostawię i dalej będzie mogła widywać Michaela.
- A co myślą o Stefanie?
- Potępiają to, co zrobił, ale wciąż go kochają. Nigdy go nie opuszczą. Ivana pewnie będzie przez cały jego pobyt w więzieniu co miesiąc go odwiedzać.
- Już na samym początku powinnam była ci wierzyć, gdy powiedziałaś, że to potwór. Ale wydawał się taki...
- Wiem, jaki on jest. Wszystkich zwiódł. Nie obwiniaj się.
- Weźmiesz Michaela do niego? - zapytała Jackie niepewnie.
- Nie sądzę, bym była w stanie to znieść - mruknęła przez zaciśnięte usta. - Wiedząc, co zrobił tym biednym kobietom - przerwała. - Prawdopodobnie pozwolę Mirosławowi i Ivanie wziąć go po procesie. Wiem, co znaczy dla Stefana widok Michaela. Byłoby okrucieństwem z mojej strony, gdybym zakazała widzeń teraz, kiedy on... - nie dokończyła zdania.
- A co z Zanem i Milą? - Jackie dała jej lekkiego kuksańca w bok. - Jaki masz z nimi kontakt?
- Wierzę, że Zan dał się wciągnąć w coś, co jest cał-

kowicie wbrew jego naturze. Nie mogę występować przeciwko niemu... - Twarz Leigh stężała. - Więcej czasu zajmie mi wybaczenie Mili. Prawdopodobnie Ivana i tak nas z sobą pogodzi.

- Cieszę się, że nie zerwałaś stosunków z całą tą częścią rodziny. To istotne dziedzictwo Michaela. Rodzina to skarb - dodała Jackie, patrząc na falującą wodę w basenie. - Nie możemy odtrącać ludzi, którzy nas kochają. Tak niewielu ich mamy na tym świecie.

- Mamuś! - krzyknął Michael. - Alex mówi, że czas spać. Chodź tutaj i przeczytaj mi bajkę. Chodź, mamuś. - Jedną ręką trzymał Alex, drugą niecierpliwie machał do Leigh.

Leigh uśmiechnęła się, wstała i pochyliła, by pocałować Jackie w policzek. - Dzięki raz jeszcze - szepnęła.

Gdy tylko odeszła, Adrienne zajęła wolne krzesło. Wyglądała poważnie i ładnie w jedwabnych szortach i bawełnianej bluzce związanej w węzeł na brzuchu

- Jesteś cholernie popularna, nawet przez sekundę nie jesteś sama.

- W czym problem? Dlaczego chciałaś ze mną rozmawiać?

Adrienne zmarszczyła czoło. Przez chwilę wyglądała na o wiele starszą niż w rzeczywistości. - Słuchaj, Kaminsky, jeśli masz zamiar bywać w tej elicie, to muszę nauczyć cię sztuki błahej konwersacji. Najpierw zapytaj co u mnie słuchać?

369

- Co słytać, Adrienne?

- Dziękuję, kochanie. A u ciebie?

- W porządku.

- Teraz powiedz mi, że dobrze wyglądam.

- Te szorty są po prostu boskie - powiedziała Jackie, łapiąc, o co chodzi. — Wiesz, że delikatne linie na kracie są dokładnie tego samego koloru, co źrenice twoich oczu?

- Kocham cię, Kaminsky. - Adriannę zachichotała. - Naprawdę? Jak twoja podróż?

- Przygnębiająca - Jackie zakpiła. - Przypomniałam sobie wszystkie powody*, dla których chciałam uciec z domu, gdy miałam czternaście lat. Sama nie wiem, dlaczego wciąż tam wracam.

- Przykro mi.

- Jaki masz problem z Alex? Dlaczego dzwoniłaś? Spojrzały na dziewczynę, która po wymianie kilku zdań z Harlanem zniknęła w domu.

- Wygląda na szczęśliwą - Jackie zaryzykowała, gdy Adrienne się nie odezwała. - I powiedziała mi, że bardzo jej się tutaj podoba.

- Wiem. Kwitnie tutaj - Adrienne potarła dłonią wiklinową poręcz krzesła. - Zdarzają się trudne chwile. Odkąd tutaj przyjechała, załamała się dwa razy i płakała praktycznie całą noc. Wzięliśmy ją na rozmowę. Wydaje cię spokojniejsza, ale to biedne dziecko przeszło koszmar, Jackie.

- Dlatego zastanawiam się... Trudno byłoby jej znów się przeprowadzać, skoro tutaj już osiadła i wam zaufała.

370

- Dlaczego Alex miałyby się wyprowadzać? - Adrienne spojrzała na nią ostro.

- Czy nie mówiłaś - zaczęła Jackie w zakłopotaniu - że masz problem?

- Tak, ale nie z Alex. Ten problem mnie dotyczy.

- Mów.

Zabłyśło światło w. patio, oświetlając zarośla i pomarszczoną wodę w basenie. Adrienne spojrzała zamysłona na wodę.

- Jestem cholernie przerażona, Jackie - powiedziała w końcu.

T Dlaczego?

- Co się stanie, jeśli ją stracimy? Co będzie, gdy jej matka wróci i ją nam odbierze? Nie zniósłabym tego. Już teraz kocham tę dziewczynę tak bardzo, że umarłabym, gdybym ją straciła. Tak samo Harlan.

Jackie uspokoiła się i odetchnęła z ulgą. - To się nie zdarzy. Na pewno nie. Nie musisz się tym niepokoić.

- Cały czas czytam o ludziach, którzy latami wychowują dzieci, a potem naturalni rodzice im je odbierają.

- To dotyczy małych dzieci, Adrienne. Trzylatków, jak Michael. Alex na czternaście lat i z pewnością jest na tyle dojrzała, że sama może zdecydować, gdzie chce mieszkać. Nie ma takiego sądu, który byłby w stanie nakazać jej powrót do Seattle, jeśli ona tego nie będzie chciała.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Harlan z pewnością o tym wie.

- Mówił mi to samo, ale on zajmuje się prawem administracyjnym. Nic nie wie o sprawach opieki nad dziećmi. Chciałam to usłyszeć od ciebie.

- I usłyszałaś. Nikt nie odbierze ci Alex, dopóki ona sama tego nie będzie chciała. I tyle. - Spojrzała z uwagą na wciąż zakłopotaną Adrienne.

Alex wyszła z domu ze skórzanym futerałem i usiadła po turecku na brzegu basenu. W odpowiedzi na prośbę Harlana otworzyła futerał i wyjęła z niego srebrny flet. Zagrała „Danny Boy”.

Wszyscy słuchali z przyjemnością. Światła patio kładły się refleksami na opalonej skórze dziewczyny i jej złotych włosach. Muzyka roznosiła się łagodnie w ciepłym wieczornym powietrzu.

- I tak odejdzie - powiedziała Adrienne nieco zdławionym głosem. - Zapisaliśmy ją do szkoły. Skończy liceum i pójdzie do college'u.

- I co?

- Znów będziemy sami. I co wówczas zrobię? - zapytała Adrienne w desperacji. - Po tym, jak ta dziewczyna wypełni moje życie, co zrobię, jak odejdzie?

- Zaopiekujesz się następną - powiedziała Jackie łagodnie. - Jest tysiące dziewczyn takich jak Alex. Ty i Harlan macie sporo miejsca w sercach, a i dom wystarczy dla więcej niż jednej z nich.

- Myślisz, że mogę?

- Oczywiście - powiedziała Jackie. - Gdy już będziecie gotowi, a pokój Alex będzie pusty, obiecuję, że

372

znajdę kogoś, kto się do was wprowadzi. Jeżeli czujesz, że możesz być matką, mam dwie, a nawet trzy takie dziewczyny.

Adrienne rozważyła to nieco zaskoczona. A potem oparła głowę na poduszce i zaczęła się śmiać tak szczerze, że inni odwrócili się w jej stronę z ciepłym uśmiechem.

ROZDZIAŁ 28

Jackie wyszła z przyjęcia dość wcześnie. Dopiero zaczęło zmierzchać, choć gwiazdy jaśniały już na niebie. Jechała przez miasto do swojego mieszkania i obserwowała jak księżyc wędruje nad wzgórzami.

Pełnia była przed tygodniem. Teraz księżycowa tarcza zmniejszyła się i zbladła. Gdy zaparkowała i weszła się na schody, widziała jeszcze wąski rożek, który unosił się za oknem

Apatycznie chodziła po pustych pokojach, zbierając różne rzeczy i znów je odkładając, próbując myśleć o czymś, co pozwoli jej pozbyć się melancholijnego nastroju.

Było za wcześnie, by kłaść się spać. Nie miała jednak ochoty na spacer czy na przejażdżkę. Przez chwilę myślała o tym, by odwiedzić Carmen, lecz szybko zrezygnowała z tego pomysłu. Z pewnością jest u niej Tony.

W końcu włączyła telewizor. Skakała po kanałach, aż znalazła film dokumentalny o życiu tygrysów.

Wielkie zwierzaki leżały wyciągnięte w cieniu bananowca i lizały się nawzajem.

Jackie usiadła po turecku na kanapie. Objęła ramio-

nami poduszkę i zaczęła oglądać film. Kamera zostawiła stado pod drzewem i skierowała się ku spółkującej parze ukrytej w wysokiej trawie

Samiec przytrzymał samicę ciężkimi łapami i wdrapał się na nią, rycząc z głębi trzewi. Leżała uległa pod jego ciałem z lekko zmrużonymi oczami. Tygrys ugryzł ją w kark, by trwała spokojnie, a potem uwolnił uścisk i zaczął pieścić kocicę z zaskakującą czułością. Wiła się z przyjemności, drapała pazurami ziemię i odwracała głowę, by spojrzeć na partnera.

Jackie odrzuciła poduszkę na bok. Wstała i wyszła do kuchni. Zrobiła miskę popcornu i przez długą chwilę wycierała blat i zlew, choć były nieskazitelnie czyste.

Wreszcie wzięła popcorn i wróciła do pokoju z nadzieją, że scena już się skończyła. W chwili gdy siadała na kanapie, zadzwonił domofon. - Kto, do diabła? - pomyślała zaskoczona.

Paul Arnussem. Zapytał, czy może wejść. Sparaliżowana z zaskoczenia, nacisnęła przycisk domofonu. Po chwili otworzyła drzwi mieszkania.

- Cześć - powiedział z poważną miną. - Mam nadzieję, że nie za późno na wizytę?
- Nie - odsunęła się na bok, trzymając drzwi. - Właśnie oglądałam telewizję.
- I objadasz się popcornem - uśmiechnął się. - Czuję.
- Tak - powiedziała zakłopotana niczym nastolatka, która zapomniała języka w gębie.

375

Boże, jak świetnie wyglądał. Miał na sobie czyste sprane džinsy, białą koszulę i miękką skórzaną marynarkę. Był z gołą głową, a jego blond włosy jaśniały jak jedwab w świetle korytarza.

- Co oglądasz?

- Film o tygrysach.

- Lubię tygrysy. Są piękne.

- Wyglądają... przypominają mi mnie samą.

- Dlaczego?

Spojrzała na podłogę z zażenowaniem. Co za głupstwa wygaduje.

- Jesteś pewna, że nie zjawiam się w nieodpowiedniej chwili, Jackie?

- Ależ nie.

Zaprosiła go do salonu i wskazała duży miękki fotel. Sama pognęła do kuchni po jeszcze jedną miskę. Arnussen oglądał telewizję, podczas gdy ona przesypywała popcorn, dzieląc go na dwie równe części. Samica tygrysa uczyła swoje małe podkradania się. Inne wyskoczyły bezszelestnie z zarośli i pognały za stadem antylop.

- Myślałam, że wyjechałeś. - Jackie usiadła na kanapie z podwiniętymi nogami.

- Dlaczego?

- Któregoś wieczora Brian chciał zaprosić cię na piwo, ale twoja gospodyni powiedziała, że cię nie ma. Myśleliśmy, że się wyprowadziłeś.

- Nigdzie się nie wyprowadziłem. - Potrząsnął gło-

376

wą. - Po prostu zrobiłem sobie kilka tygodni wolnego i wyjechałem.

- Wakacje?

- Postanowiłem obejrzeć jakieś ranczo. Rozglądałem się w Idaho i Montanie.

- Naprawdę?

- Och, na razie nic nie kupię. Będę musiał jeszcze ze trzy lata oszczędzać, ale wciąż będę szukał - uśmiechnął się ponownie. - Marzenia trzymają nas przy życiu, prawda?

- Chyba tak - Jackie chrupała popcorn.

, Nadal nie mogła wyjść z podziwu, jak dobrze Paul wygląda. Czuł się swobodnie w jej mieszkaniu. Paul Ar-nussen miał taką naturalną moc, że wszystko, co go otaczało, wydawało się skupiać wokół niego, sprawiając, że on stawał się centrum.

- Ciebie też nie było - powiedział. - Kilka razy dzwoniłem na posterunek i powiedzieli mi, że wrócisz za dwa tygodnie. Nie spodziewałem się zastać cię dzisiaj w domu.

- Pojechałam do Kalifornii, do babci.

- I wcześniej wróciłaś do domu?

- Wizyta... nie bardzo się udała.

- Dlaczego?

Opowiedziała mu o swojej rodzinie, kuzynach i babci, i braku jakiegokolwiek porozumienia z nimi.

Słuchał w skupieniu, obserwując jej twarz.

- Zawsze gdy się tam wybieram, boję się spotkania

z nią. - Jackie spojrzała na srebrny księżyc za oknem. - A po krótkim czasie uświadamiam sobie, że ona udaje. Czeka, aż wyjadę, by wrócić do swojego zwykłego trybu życia.

- A ty wciąż walczysz o to, by nawiązać z nią kontakt.

- Wiem. To szaleństwo. Ale chyba się nie poddam, pomimo że jest wobec mnie okrutna. Mam wrażenie, że muszę ocalić coś z dzieciństwa, ponieważ... nie mam nic innego. W sensie emocjonalnym. To bardzo boli. - Spojrzała na niego i spróbowała się uśmiechnąć. - Pewnie cię zaskoczę, ale właściwie nie jestem tak twarda, jak się wydaję.

- Wiem to od samego początku, Jackie. Wiedziała, że on wie, i widziała współczucie na jego twarzy. Patrzyła na łagodny zarys jego ust i zastanawiała się, jak mogła podejrzewać, że ten człowiek popełnił jakieś okrucieństwo.

Odchylił się w fotelu i zaczął mówić. Opowiadał o swojej podróży, ranczu, którego szukał i marzeniach na przyszłość. Gdy mówił, widziała bezchmurne niebo, szeroki horyzont, zwierzęta i słońce, i falujący ocean trawy.

- To wszystkie takie piękne - westchnęła. - Trudno sobie wyobrazić taki świat.

- Wezmę cię jutro na przejażdżkę, jeśli chcesz. Wciąż masz wolne, prawda?

- Cały tydzień.

Jedźmy do Montany. Zobaczysz, gdzie się wychowałem i poznasz moich przyjaciół.

- Z przyjemnością, Paul.

Bariery między nimi zostały przełamane, zniknęła gdzieś relacja policjantka - podejrzany.

Dotąd podejrzania chroniły ją przed uczuciem. Teraz zapragnęła dotknąć jego twarzy, pogłaskać go po głowie i poczuć jego ramię na plecach.

- Spójrz - powiedział, zerkając na ekran telewizora. - Ta mała antylopa uciekła. Twoje tygrysy nie będą jadły, póki nie podszkolą się w polowaniu.

- Jak to się dzieje? - zapytała niespodziewanie.

- Co?

- Twój dar. Czy to przychodzi na zawołanie?

- Nie - pokręcił głową niepewnie. - Pojawia się i znika. Nie mam nad tym kontroli.

- Nie rozumiem.

Zmarszczył czoło, szukając odpowiednich słów.

- To tak, powiedzmy, jak szukanie programu w radiu samochodowym. Słyszysz nagle jakąś odległą stację, przez chwilę ją dostrajasz, a ona znika. Coś w tym rodzaju. To nie zdarza się częściej niż raz albo dwa razy w roku. I tylko wówczas, gdy ktoś cierpi. Z reguły nie wiem, o co chodzi, i ignoruję to.

- Ale w wypadku Michaela nie zignorowałeś.

- Boże, to było straszne. - Wzruszył ramionami i spojrzał na telewizor. - Biedny chłopiec.

- Teraz ma się dobrze, dzięki tobie.

Jackie zrelacjonowała mu swój wieczór, opowiadając pokrótce o każdym, kto był związany ze sprawą. Arnussen słuchał ze spokojem, zadał kilka pytań i obserwował ją w zamyśleniu.

Poczucie osamotnienia nagle rozplynęła się i odeszło w letnią noc. Jackie czuła ciepło przyjaźni i zaufanie, które przepelniały ją radością.

Wciąż patrząc uważnie, odstawił miskę z popcornem, wstał i zbliżył się do niej.

- Zrobię coś, co chciałem zrobić od chwili, gdy po raz pierwszy cię zobaczyłem - powiedział.

- Co takiego?

W odpowiedzi pochylił się, wziął ją w ramiona i usiadł obok. Był zadziwiająco silny. Jego ramiona zacisnęły się jak stalowe obręcze wokół jej ciała.

- Pocałuję cię, detektywie. Mam nadzieję, że nie aresztujesz mnie, gdy to zrobię?

- Nie mogę złożyć takiej obietnicy - wymruczała mu do ucha. Pachniał wodą po goleniu i słońcem, ciepłą bawełną i skórą. - Będziesz musiał sam to sprawdzić.

Przywarł do niej ustami, aż zabrakło jej tchu. Jak na tak silnego i muskularnego mężczyznę, miał zadziwiająco miękkie usta. Pocałunek trwał długo. Jackie rozkoszowała się nim, marząc, by trwał wiecznie. Po chwili odsunęła się od Paula z tajemniczym uśmiechem.

- Cholernie dobrze całujesz - szepnęła.

- Ty też, detektywie. Chyba całe życie na ciebie cze-

380

kałem. I co się stało, gdy cię w końcu znalazłem? Wsadziłaś mnie za kratki.

- Nie przypominaj.

Roześmiał się i czule przytulił ją do siebie. Spojrzeli na ekran telewizora. Tygrysy znów leżały wyciągnięte pod bananowcem.

- Wyglądają na zadowolone, prawda? - mruknął zdławionym głosem. - Jedna wielka, szczęśliwa rodzina.

- Wiesz, że tylko tego zawsze pragnęłam - powiedziała. - Być częścią rodziny, mieć kogoś, kto o mnie zadba.

- Ja również - posłał jej uśmiech. - Samotność to piekło. Ale tygrysom nie jest łatwo znaleźć partnera. Na to trzeba dużo, dużo czasu.

Oparła głowę na jego ramieniu i pocałowała go. - Słońce schowało się za bananowcem, a jego zachodzące promienie złociły gałęzie jasnym blaskiem. Tygrysy przytuliły się do siebie i zasnęły spokojnie. Wokół nich zbierały się ciemności.